wyborcza
KSIĄŻKI
DODATEK SPECJALNY

- **Co to znaczy: książka wybitna?**
- **Maroko i Francja** w jednej pisarce
- **Komiks** jako amerykańska terapia
- Premiera powieści **noblistki Han Kang**

Rafał Trzaskowski dla „Wyborczej" o Nawrockim, aborcji i Trumpie ▶7

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Szczepan Twardoch

Czy Ukraińcy się na mnie obrażą ▶22

FOT. DAWID GRZELAK

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o. nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 04>

Marcin Matczak Co ma lewica do Owsiaka ▶14

Grzegorz Braun Pogrąży Mentzena, pomoże Trzaskowskiemu? ▶11

WYSOKIEOBCASY
Od miesięcy nie widziałam syna **Porwany przez tatę**

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota-czwartek, 25-30 stycznia 2025 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 20.10817, 2 Nakład 80 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl b89c1dd19d

Michał Olszewski

Coś większego niż zarządzanie

Film na You Tube, otwierający nową stronę Białego Domu wygląda tak, jak chce wyglądać Trump: poważnie i symbolicznie. Widać na niej posągowego, zasępionego prezydenta, a potem szybującego bielika. Są helikoptery i myśliwce, jest racja stanu, tu nie ma żartów.

Prezydent rozumie siłę symbolu. Podczas inauguracji zapowiedział przemianowanie Zatoki Meksykańskiej na Zatokę Amerykańską. Najwyższy szczyt Ameryki Północnej nie będzie już Denali, jak nazywał go jeden z rdzennych ludów, tylko znów Mount McKinley. Ameryka ma być wielka również geograficznie, a McKinley pasuje do wizji Trumpa znakomicie – to prezydent, który inkorporował Hawaje, wypowiedział wojnę Hiszpanii, by wziąć Kubę i Portoryko pod amerykańskie skrzydła i zasłynął ostrą polityką celną. Gdzie wokół Trumpa nie spojrzeć, tam symbol, metafora, wielka sprawa.

To jedna ze składowych sukcesu nowego-starego prezydenta – i dojścia PiS do władzy. W obu przypadkach okazało się, że społeczeństwo potrzebuje nie tylko konkretnych rozwiązań, ale też wielkiej idei. W 2015 roku wstawała z kolan Polska, w 2025 Trump chce obudzić amerykańskiego giganta, przy okazji wystawiając sobie pomnik, a najlepiej zdobywając szczyt.

Gdzie wokół Trumpa nie spojrzeć, tam symbol, metafora, wielka sprawa. To składowa jego sukcesu – i dojścia PiS do władzy

Jak zauważył w „Wyborczej" Bartłomiej Kot: „Słowa, że walczył z systemem, który starał się go powstrzymać, to budowanie legendy męczennika, który musiał wiele przejść. A jego koncepcja Make America Great Again to boska sprawa, bo Bóg go uratował, kiedy do niego strzelano".

Trump sprawnie buduje swój mit, świetnie się sroży, znakomicie marszczy czoło i przybiera pozy. Jak będzie z zarządzaniem, nie wiadomo – na razie operuje wyssanymi z palca danymi o Ukrainie, a pytany o Gazę, odpowiada niczym polityczny majsterklepka, że „mają tam dobrą pogodę, więc mogliby robić różne wspaniałe rzeczy". Wybory w USA pokazały jednak, że liczby i spójność nie mają znaczenia. Dla wyborców kłamstwa okazały się drugorzędne, bo dostali obietnicę czegoś większego: zmartwychwstania kraju, powrotu do złotej ery.

Trump pokazuje, że gesty w polityce są ważne. Z jednym wyjątkiem. Na wiecu w Waszyngtonie podekscytowanemu Muskowi prawa ręka wymknęła się spod kontroli i wykonał gest identyczny jak rzymski salut, wprawiając amerykańskich neonazistów w ekstazę. Czy to celowe nawiązanie, czy miliardera poniosły emocje – to już nie ma znaczenia. Kamala Harris, która uważa Trumpa za faszystę i powiedziała o tym publicznie, pomyliła się w ocenie siły tego argumentu. Faszystowska symbolika i retoryka wyborców nie zniechęcają.

Liczą się bowiem: bielik, helikoptery, posągowa mina, obietnica wielkości. ●

Meksyk
Adios, nadziejo

FOT. REUTERS/ZAYDEE SANCHEZ

Pod murem oddzielającym Tijuanę od bliźniaczego San Diego Meksykanie protestują przeciwko polityce migracyjnej Trumpa. Wprowadzonej błyskawicznie – tuż po inauguracji ludzie prezydenta zablokowali rządową aplikację dla migrantów, służącą do umawiania spotkań w sprawie azylu z urzędnikami migracyjnymi na przejściach granicznych. Każdego dnia do CBP One logowało się 200 tys. ludzi. Już umówione rozmowy odwołano.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Nowy słownik Trumpa
Indian wybili, słowa zostały

Było Denali, będzie McKinley – Trump na dzień dobry zapowiedział, że przywróci poprzednią nazwę najwyższemu szczytowi Ameryki. To jeden – obok wyłączenia hiszpańskojęzycznych stron Białego Domu i strony Departamentu Zdrowia o prawach reprodukcyjnych obywateli – z symbolicznych gestów mających dowieść, że spełni obietnice powstrzymania zmian obyczajowych i powrotu do „Ameryki jak za starych, dobrych czasów". Tymczasem połowa nazw stanów USA pochodzi z języków rdzennej ludności – a nadali je biali koloniści, osadnicy i pionierzy. Podpowiadamy 47 prezydentowi kilka spektakularnych zmian:

Alabama • od plemienia indiańskiego pierwotnie zwanego Alabamami lub Alibamonami. Ci nadali nazwę rzece, od której pochodzi nazwa stanu

Alaska • od eskimoskiego słowa „alakshak" - półwysep lub „wielkie ziemie"

Connecticut • najpewniej od indiańskiego słowa „Quonoktacut", „długa rzeka"

Hawaje • angielski zapis rodzimego słowa „Owhyhee", oznaczającego „miejsce bogów" lub „ojczyznę"

FOT. REUTERS/CHIP SOMODEVILLA

Illinois • od indiańskiego słowa oznaczającego „mężczyźni" lub „wojownicy", uzupełnionego o francuską końcówkę „ois"

Kentucky • od irokeskiego słowa „kentake", oznaczającego łąkę lub prerię

Nowy Meksyk • może pochodzić od imienia azteckiego boga wojny, „Mexitli" lub oznaczać „miejsce zamieszkania boga wojny"

Oklahoma • słowo w języku Indian Czoktaw oznaczające „czerwonych ludzi"

Teksas • od indiańskiego „tejas", „przyjaciele" lub „sojusznicy"

Tennessee • Tanasse, wioski plemienia Cherokee Tanasse

Dominik Uhlig

A jakie słowa najczęściej padały w inauguracyjnych mowach Trumpa, sprawdzają analitycy „Wyborczej" ▶ Biqdata.wyborcza.pl

Andrzej rysuje

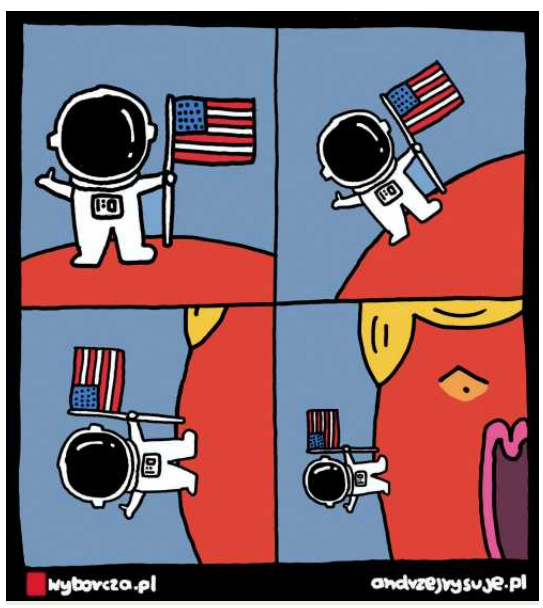

Cytat dnia

Razem pokonaliśmy ospę prawdziwą i razem niemal całkowicie wyeliminowaliśmy polio

Z APELU ŚWIATOWEJ ORGANIZACJI ZDROWIA DO TRUMPA
po jego dekrecie o natychmiastowym wycofaniu USA z WHO

Więcej ▶ Wyborcza.pl/nauka

Cyberprzestępcy świętują

1,5 TYS.

FOT. REUTERS/SDNY

skazanych za udział w szturmie na Kapitol ułaskawił prezydent Trump. – Ci ludzie zostali zniszczeni. Coś takiego nie miało jeszcze miejsca w historii naszego kraju – oznajmił. Ale największą sensację wzbudziło ułaskawienie jednego człowieka – Rossa Ulbrichta **(na zdjęciu)**, odsiadującego dożywocie założyciela Silk Road. Jego serwis działający w dark webie – części internetu niedostępnej z poziomu zwykłej przeglądarki – był największą przestępczą platformą handlu i wymiany usług. Można tam było kupić narkotyki, fałszywe dokumenty, wynająć hakera. „Dread Pirate Roberts" skazano za dilerkę, zarzutu zlecenia zabójstwa nie udowodniono. – Śmieci, które pracowały nad skazaniem go, to ci sami szaleńcy, którzy byli zaangażowani w wykorzystanie rządu przeciwko mnie – oświadczył Trump.

eprasa.pl b89c1dd19d

W niedzielę 33. finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej pomocy

Straszny sen Anny P.

Zdanie św. Augustyna – „Kochajta i róbta, co chceta” – jest bardziej niebezpieczne dla młodych ludzi niż zdanie przypisywane Jurkowi Owsiakowi.

Rusinek

Pani Anna Popek, niegdyś gwiazda TVP, obecnie TV Republika, zapytana, co myśli o Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy oraz akcji „Nie daję Owsiakowi, wspieram Republikę” odpowiedziała: „Cenię sobie wolność wyboru i sumienia, a taką mam. Wspieram tych, którym ufam i wierzę w ich wartości. Nie uważam, żeby dobrą radą dla młodych ludzi było »róbta, co chceta«”.

•

Była to tak zwana odpowiedź dyplomatyczna, czyli nie całkiem na to pytanie. Dotyczyła bowiem nie tyle idei akcji WOŚP, ile nazwy programu emitowanego przez TVP2, prowadzonego przez Jurka Owsiaka w latach 90. a dokładnie – części nazwy, bo pełna brzmiała: „Róbta, co chceta, czyli rockandrollowa jazda bez trzymanki”. W tym programie w 1991 r. po raz pierwszy pojawiła się nazwa oraz idea WOŚP. W czasie finałów zabrzmiały takie hasła, jak: „Siema”, „Gramy do końca świata i jeden dzień dłużej”, czy „Oj, będzie się działo” i nie ma się co dziwić, że przez te lata zyskały status skrzydlatych słów.

Oprócz nich funkcjonuje wciąż także „Róbta, co chceta”, choć trochę na zasadzie „Zagraj to jeszcze raz, Sam”, czyli cytatu, który nigdy nie padł w „Casablance”, ale i tak się z tym filmem kojarzy. Na stronie WOŚP możemy przeczytać, że: „Jurek wielokrotnie podkreślał, że jest to wyłącznie tytuł programu i absolutnym nadużyciem było i jest sugerowanie, że to motto życiowe Jurka”. Anna Popek widocznie nie zajrzała na stronę WOŚP i nie czytała wywiadów z Jurkiem. A może zajrzała i czytała, ale przyjęta strategia dyplomatyczna nie pozwoliła jej wziąć ich pod uwagę.

•

Rozumiem, że stwierdzenie, że wolno robić wszystko, co się chce, może wywoływać niepokój na różnych poziomach, także na pedagogicznym. Skrajny liberalizm w wychowywaniu dzieci – szkodzi dzieciom, podobnie jak wychowywanie skrajnie rygorystyczne. Również na poziomie etycznym jest to stwierdzenie ryzykowne i kojarzyć się może ze zdaniem z Dostojewskiego, że jeśli Boga nie ma, to wszystko jest dozwolone. Ponieważ fundacja Jurka Owsiaka jest fundacją świecką, ale zajmuje się działalnością charytatywną, na którą Kościół chciałby mieć monopol, więc ktoś mógłby połączyć świeckość z bezbożnością, a „róbta, co chceta” rozumieć jako „wszystko jest dozwolone” – i już Owsiak jawi się nam jako współczesny Iwan Karamazow.

•

Obawiam się, że taka aberracyjna wizja niepokoi Annę Popek. Gdyby natomiast zerknęła do pism Zygmunta Baumana, to znalazłaby tam tezę, że właśnie wtedy, kiedy założymy, że Boga nie ma, a więc nie istnieją żadne zewnętrzne ograniczenia etyczne, budzi się nasze „sumienie moralne – ów bodziec pierwotny wszelkich impulsów moralnych i korzeń najgłębszy moralnej odpowiedzialności”. Dopiero wtedy zaczynamy postrzegać innego i jego odmienność, która staje się dla nas przedmiotem szczególnej troski.

Ponowoczesne odrzucenie etyki łączy Bauman z pojawieniem się odpowiedzialności za drugą osobę, której chcemy pomagać nie po to, żeby zyskać punkty i po śmierci trafić do Nieba, ale całkowicie bezinteresownie. Może nieco zbyt optymistycznie, ale uważa on, że wprawdzie możemy robić wszystko, ale i tak w większości przypadków będziemy działać dla dobra innego, w duchu tolerancji i solidarności. Taka wizja mogłaby nieco uspokoić Annę Popek.

•

Swoją drogą, Jurek Owsiak jest w o wiele lepszej sytuacji niż np. św. Augustyn. Gdyby bowiem Anna Popek dowiedziała się, że Ojciec Kościoła napisał: „Dilige et quod vis fac” („In epistolam Joannis tractatus”, VII, 8, 416) – co można przetłumaczyć jako: „Kochajta i róbta, co chceta” – to odrzuciłaby zapewne nie tylko jego filozofię, ale i przy okazji Platona, Plotyna i Porfiriusza, dokonując straszliwej wyrwy w historii filozofii Zachodu. Być może w sporach św. Augustyna z manichejczykami, pelagianami, donatystami, pryscylianistami czy arianami stanęłaby po stronie schizmatyków.

Ba, zdanie św. Augustyna jest jeszcze bardziej niebezpieczne dla młodych ludzi niż zdanie przypisywane Jurkowi Owsiakowi, zawiera bowiem połączenie wolności z miłością, a to już zalatuje hippisami. To znaczy – zalatywałoby, gdybyśmy nie wiedzieli, że wyraz „dilectio” oznacza po łacinie taki rodzaj miłości, która wyraża się w życzliwości, akceptacji i bezinteresownej trosce o dobro drugiego człowieka. Innymi słowy, jeśli będziemy mieli takie nastawienie do ludzi, to możemy robić wszystko, co chcemy. I wszystko, co wybierzemy, będzie dobre – jak u Baumana.

•

Na stronie WOŚP czytamy, jaka filozofia towarzyszy działaniom Fundacji: „filozofia przyjaźni, dobra, wzajemnego zrozumienia i szacunku dla inności, ale także nietolerowania zjawisk dyskredytujących człowieka ze względu na jego rasę, wyznanie czy przekonania polityczne”. A więc św. Augustyn, Zygmunt Bauman i Jurek Owsiak mogliby sobie podać ręce. I byłby to straszny sen wszystkich, którzy grzmią z ambon, trybun i mediów, że WOŚP to samo zło. ●

Michał Rusinek

Hejt nas wzmocni

Szydło, Duda, Lech Kaczyński, nawet Jarosław wspierali WOŚP. Dlaczego PiS poszedł na wojnę z Owsiakiem?

Wielowieyska

W 2014 r. WOŚP cieszyła się zaufaniem na rekordowym poziomie 87 proc. Angażowało się w nią wielu polityków PiS. Beata Szydło jako burmistrzyni Brzeszczy mówiła mediom, że bardzo by chciała, aby Orkiestra zagrała w jej miejscowości. Jarosław i Lech Kaczyńscy oferowali fanty na aukcje WOŚP. Sam Owsiak trzymał się z dala od polityki. Interesowała go akcja, pomaganie i muzyczne imprezy, a nie wpływanie na wybory Polaków. Z prawej strony od lat dobiegały pomstowania na niby promiskuistyczne hasło programu Owsiaka z lat 90. – „Róbta co chceta” – ale to była obsesja niszowych polityków i publicystów narodowo-katolickich.

Aż Jarosław Kaczyński podjął decyzję o rozkręceniu polaryzacji, by utrzymać zdobytą w 2015 r. władzę.

Ostatnim Mohikaninem z obozu PiS, który próbował utrzymać kurs Lecha Kaczyńskiego, był prezydent Andrzej Duda, który z żoną także ofiarowywał dary na aukcję. Ale Duda był już wyjątkiem. Bo sprawa WOŚP stała się papierkiem lakmusowym pokazującym linie podziału w Zjednoczonej Prawicy. Sam prezes PiS i jego akolici spod znaku Jacka Kurskiego chcieli wojny z opozycją i jej zwolennikami, wewnątrzpartyjni oponenci byli sceptyczni.

Zamysł Kurskiego, realizującego plan Nowogrodzkiej, zasadzał się na przekazie antyelitarnym i antysystemowym. Nie ma wspólnoty. Jesteśmy „my” i „oni”. Polska miała być podzielona na bardzo konserwatywną, polski naród, prosty lód sól tej ziemi i zepsute, wywyższające się elity, LGBT, „lewaków”.

Owsiak, kolorowy w przenośni i dosłownie, ze swoimi koncertami, przekazem tolerancji i różnorodności idealnie nadawał się na wroga, który demoralizuje polską młodzież, więc po 2016 r. nieliczni krytycy Owsiaka w rodzaju publicysty Łukasza Warzechy czy posłanki Krystyny Pawłowicz zmienili się w zdyscyplinowaną armię. Owsiak stał się obiektem nieustających ataków na wielką skalę. Cała administracja rządowa stała się jego wrogiem, odcięto go od jakiejkolwiek pomocy.

To z kolei uruchomiło opór społeczny i jeszcze większą falę wsparcia ludzi, którzy nie ulegli propagandzie TVP. Szef WOŚP utrzymał też wsparcie samorządów. I zaczął oddawać ciosy, bo rzeczywiście był zaszczuwany. Ale że nie jest politykiem, lecz aktywistą i showmanem, który zaczął być traktowany jak polityk, że w samoobronie odpowiadał emocjonalnie – i wbrew sobie stał się symbolem obozu antyPiS. A Kaczyński z Kurskim odtrąbili sukces: zniszczyli konsensus wokół wielkiej akcji społecznej i charytatywnej.

Konrad Kołodziejski z „Sieci” pisał ostatnio: „Dziś weszliśmy w kolejną fazę – gwałtownej polaryzacji, która m.in. za sprawą samego Owsiaka, niekryjącego się zbytnio ze swoimi sympatiami politycznymi, z pełną mocą uderzyła w jego własną inicjatywę. Wpłata na WOŚP stała się rodzajem deklaracji światopoglądowej, a nawet politycznej”.

Kołodziejski uważa, że Owsiak zaszkodził wizerunkowi WOŚP, jawnie popierając Tuska. „Tuż przed wyborami w 2023 r. oblepił całą Polskę plakatami nawołującymi do walki z sepsą, co było wyraźną aluzją do rządów PiS. Ta akcja wzbudziła zrozumiałe oburzenie wśród elektoratu prawicy, który poczuł się urażony porównaniem do zarazy”. Wiele osób spoza PiS na tę narrację się łapie: „Owsiak wszedł w politykę”.

A było odwrotnie. Najpierw nastąpił atak na Owsiaka, by w oczach społeczeństwa związać z jedną stroną sporu. A potem przyszedł covid i Nowogrodzką potężnie zirytowało, że gdy rząd przepalał miliony złotych na nic niewarte respiratory i maseczki, WOŚP zmieniła Wielki Finał w akcję permanentną i wspomagała służbę zdrowia jak dobrze naoliwiona maszyna.

Gdy Paweł Adamowicz został zamordowany w trakcie imprezy WOŚP, PiS usiłował odwrócić narrację, by nikt nie powiązał tej śmierci z hejtem, który dotykał prezydenta Gdańska. Zwalił więc winę na Owsiaka, zarzucając złe zabezpieczenie imprezy.

Dziś przekaz „Owsiak jest winny” odkurzyła TV Republika. Hasło „Nie daję na Owsiaka, daję na Republikę” ma Tomaszowi Sakiewiczowi zapewnić jeszcze większe zyski. A skoro tak, to konkurencyjna telewizja braci Karnowskich też atakuje WOŚP. W efekcie Owsiak dostaje groźby śmierci.

Symetryści mówią: ale o co chodzi? Przecież to tylko pytania o rozliczenia. Ale PiS nie pyta, lecz powtarza kłamliwe oskarżenie, że Owsiak „skręcił” pomoc dla powodzian. Pod hasłem „sonda uliczna” Republika puszcza obrzydliwe wypowiedzi tzw. przypadkowych przechodniów.

„Mieliśmy czas, w którym no, można było się jednak dobrać. Za chwilę będę posądzona o hejt i mowę nienawiści. Można było sprawdzić, przyjrzeć się tej działalności” – stwierdziła na antenie Republiki Monika Rutke, była szefowa gabinetu politycznego Michała Wójcika, wiceministra w resorcie Ziobry.

Ta wypowiedź niechcący potwierdza, że zarzuty „Owsiak się nakradł” są propagandowym kłamstwem. PiS miał osiem lat, aby prześwietlić Owsiaka i to robił. Nic nie znalazł. ●

Dominika Wielowieyska

Cała analiza
▶ Wyborcza.pl/magazyn

eprasa.pl b89c1dd19d

WAŻNY TEMAT

Chcesz się skontaktować z człowiekiem?

Wymaga to sprytu

Zuckerberg złożył „hołd lenny" Trumpowi, wpłacając milion dolarów na fundusz inauguracyjny prezydenta elekta, Meta dyrektorem ds. globalnych zrobiła republikanina z kręgu Trumpa.

Krystian Buczek

Tak, pętla w socialach wokół tradycyjnych mediów zaciska się od lat. Jak się tu znaleźliśmy? Zaczęło się od przyjaznych relacji platform z mediami, potem była obojętność, dziś możemy mówić o otwartej wrogości Big Techów. Mimo to dziennikarstwo na platformach społecznościowych jeszcze żyje. Jeszcze.

Trudno to sobie wyobrazić, ale jeszcze trzy-cztery lata temu Meta, właściciel Facebooka, widziała siebie jako partnera światowych redakcji, a swoje platformy społecznościowe – Facebook i Instagram – jako miejsce, w którym dziennikarstwo może znaleźć bezpieczną przystań, merytoryczne wsparcie i szerszą niż kiedykolwiek widownię.

Ba, taka kolej rzeczy wydawała się zupełnie logiczna i naturalna. W 2017 roku firma Marka Zuckerberga uruchomiła dla dziennikarzy i redakcji Facebook Journalism Project (znany później jako Meta Journalism Project).

To nieprzypadkowa data – minął zaledwie rok od wyborów w 2016 roku wygranych przez Donalda Trumpa. Do jego zwycięstwa w ogromnej mierze miały przyczynić się wysiłki Cambridge Analytica, wykupywane przez Rosjan reklamy, fejki, które zalewały Facebooka.

To właśnie w kwietniu 2017 roku firma oficjalnie przyznała, że operacje przeprowadzone na platformie miały wpływ na amerykańskie wybory i że umacniające społeczne podziały, dezinformacyjne reklamy dotarły do 127 mln osób.

Na początku stycznia 2025 roku Meta dokonała kolejnej wolty – tym razem przyjmując narrację dokładnie odwrotną, protrumpowską i wymierzoną w tradycyjne media. Znaki i zapowiedzi poważnych zmian było widać zaraz po wyborach w USA: Zuckerberg złożył „hołd lenny" Trumpowi, wpłacając milion dolarów na fundusz inauguracyjny prezydenta elekta, Meta odwołała dyrektora ds. globalnych liberała, byłego wicepremiera Wielkiej Brytanii Nicka Clegga (funkcję dyrektora sprawował od 2018 roku) i na jego miejsce powołała Joela Kaplana, Republikanina z kręgu sojuszników Trumpa. W tym samym czasie do zarządu Mety włączono Dana White'a, przyjaciela Trumpa i szefa UFC (czyli… amerykańskiej federacji walk MMA).

Ogłoszenie nowej drogi przez technologicznego barona nastąpiło 7 stycznia: w 5-minutowym filmie Mark Zuckerberg ogłosił, że jego firma zamyka (najpierw w USA) program fact-checkingowy i zastępuje go na wzór X/Twittera „notatkami społeczności", czyli podejściem – „użytkownicy, walczcie z dezinformacją sami". Zasady zawarte w Standardach Społeczności, w szczególności w punktach dotyczących tematów tożsamości płciowej i imigracji, które

RYS. JAKUB PIOTROWSKI

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

są solą w oku Trumpa i jego zwolenników, zostaną rozluźnione.

W filmiku Zuckerberg w czarnym tiszercie i z zegarkiem za prawie 4 miliony złotych na ręku wprost uderza w prasę: „Po pierwszych wygranych przez Donalda Trumpa wyborach tradycyjne media pisały non stop o dezinformacji jako zagrożeniu dla demokracji. Próbowaliśmy w dobrej wierze odpowiedzieć na te obawy bez bycia arbitrami prawdy, ale zewnętrzni fact-checkerzy okazali się stronniczy i zniszczyli więcej zaufania niż go zbudowali". Certyfikowane międzynarodowo organizacje fact-checkingowe, z którymi Meta współpracowała, w Polsce jest to np. Stowarzyszenie Demagog, są w dużej liczbie powiązane z redakcjami, składają się z profesjonalnych dziennikarzy (swoją redakcję fact checingową ma np. Agence France Press czy Associated Press).

Strona Meta Journalism Project wciąż istnieje. Ale przypomina cmentarzysko (w styczniu przybył tam kolejny nagrobek: zakładka „Niezależna weryfikacja informacji"). W nagłówku strony czytamy: „Współpracujemy z wydawcami na całym świecie, aby wzmacniać więzi między dziennikarzami a społecznościami, którym służą". Poniżej punkty „Co robimy": „Budujemy społeczność – pracujemy z organizacjami, które wspierają jakościowe dziennikarstwo", „Odwiedzamy newsroomy i oferujemy kursy, które uczą dziennikarzy korzystać z narzędzi społecznościowych, by opowiadać ważne historie", „Jakościowe dziennikarstwo – partnerujemy wydawcom i NGO'som, by walczyć z dezinformacją i ulepszać dziennikarstwo na naszych platformach". Piękne i dobre idee. Mamy początek 2025 roku. Nic z nich nie zostało.

Budujemy społeczność – „Strony nie znaleziono"

Kres pięknej wizji współpracy naczelnej platformy socialmediowej z mediami tradycyjnymi położył ekonomiczny kryzys, który przetoczył się przez świat Big Techów.

Po pandemii, w której sektor IT zatrudniał na potęgę, przyszły wielkie zwolnienia – w przypadku Mety nie bez wpływu na finanse było na pewno pompowanie gigantycznych środków w ukochany projekt Zuckerberga, czyli Metaverse. I odejście Mety od newsów, które generują problemy (przede wszystkim z moderacją) i według władz firmy nie stanowią tzw. kontentu, po który przychodzi użytkownik Facebooka.

Pod koniec 2022 roku Meta zwalnia 11 tys. osób (13 proc. załogi!). W marcu 2023 – kolejne 10 tys. pracowników. Wiadomości o kolejnych redukcjach zatrudnienia – już bez publicznie ogłoszonej liczby – pojawiły się niedawno, w październiku 2024 roku.

Tak się składa, że ostatnie informacje o szkoleniach dla newsroomów czy skierowane do dziennikarzy „najlepsze praktyki" opublikowano na stronie Meta Journalism Project na przełomie 2022 i 2023 roku. Dziś strona tylko sprawia wrażenie funkcjonującej, w rzeczywistości jest martwa. O grantach, szkoleniach, ba, nawet uściskach dłoni z redaktorami naczelnymi – cicho sza. W zakładce „Zasoby" link do „Media Support Portal" wysyła nas do strony z błędem „Nie znaleziono" albo bezużytecznej podstrony wydmuszki. Co za ironia.

Nie ma się czemu dziwić. Newsy i sprawdzone informacje oraz silne organizacje medialne Mecie nie są potrzebne.

Od 2022 roku firma stawia przede wszystkim na twórców wideo, algorytm organizacji strumienia treści wyświetlanego użytkownikowi przyjmuje coraz bardziej tiktokowy kształt. Na Facebooku coraz rzadziej goszczą posty stron i znajomych, których obserwujemy, a posty z linkami wysyłające ruch poza platformę są marginalizowane.

Pod koniec 2023 i w kwietniu 2024 następuje rozmontowanie zakładki „News Feed" na Facebooku, która funkcjonowała od 2019 roku. Opierała się ona na wielomilionowych umowach z wielkimi wydawcami typu „The New York Times" czy „The Washington Post" i była w jakimś sensie symbolem zainteresowania Mety jakościowymi mediami i treściami dziennikarskimi.

W marcu 2024 roku Instagram i Threads domyślnie przestają uwzględniać treści polityczne oraz społeczne w rekomendacjach dla nowych użytkowników. Czy zapowiedziana przez Zuckerberga wizja „powrotu do korzeni i treści obywatelskich" zmieni sytuację tradycyjnych mediów? Wątpliwe.

Ważna kostka domina upadła kilka lat wcześniej. W 2021 roku Meta zwolniła zespół rozwijający narzędzie Crowdtangle, czyli niszowy, ale szalenie ważny dla medialnego ekosystemu produkt skierowany głównie do dziennikarzy i naukowców.

Darmowe (!) narzędzie, czyli start-up kupiony przez Facebooka dosłownie kilka dni po wygranych wyborach przez Trumpa w 2016 roku, pozwalało ocenić wiralowość postów, umożliwiało zaawansowane śledzenie rozwoju dziennikarskich tematów na Facebooku, Instagramie.

Od 2021 do 2024 r. narzędzie funkcjonowało w stanie zawieszenia – można było z niego korzystać, ale na stronie straszył komunikat, że wkrótce zostanie zamknięte. W sierpniu 2024 roku narzędzie zostało przez Metę oficjalnie uśmiercone.

Ponieważ Unia Europejska wymaga od dużych platform społecznościowych możliwości wglądu w publicznie dostępne dane statystyczne, Meta udostępniła kadłubkowe Meta Content Library oferujące część możliwości Crowdtangle. Ale jaką? Tego dokładnie nie wiemy. Dziennikarze nie mają do narzędzia bezpośredniego dostępu.

Być może przyszedł czas, żeby powiedzieć: „Byliśmy głupi". Przerażająco trafnie uchwycił koniec złudzeń dla mediów w sieci Ezra Klein, felietonista „New York Timesa". W podcaście Search Engine „How to Survive Media Apocalypse?" („Jak przetrwać apokalipsę mediów?") poświęconym fali bankructw amerykańskich redakcji (m.in. Pitchfork, Vice, Buzzfeed) opowiada o zachłyśnięciu się możliwościami sieci w dekadzie 2010-20.

Wydawało się, że wydawcy wypływają na ocean możliwości – efekt skali pozwalał dotrzeć do ogromnej publiczności. Po pandemii coś zaczyna się psuć. Klein podsumowuje upadki kolejnych redakcji: „Porażki kładziemy na karb decyzji redakcyjnych, a to jest kwestia strukturalna. Między wydawcami a czytelnikami są platformy (Google, Meta). To one zatrzymały większość pieniędzy z reklam dla siebie, one dyktują warunki. Jako redakcja nie rywalizujesz z innymi mediami – rywalizujesz z Facebookiem, TikTokiem, Netflixem. Jaką wartość możesz jako firma dać reklamodawcom, której nie da im Meta czy Google?".

> Narzędzia Facebooka stały się nieprzyjazne. Jak w memie „Musisz być tą kasjerką, która zna kod na kajzerkę"

Chodzimy na palcach wokół technologicznych gigantów – jedna ich decyzja, zmiana algorytmu, wdrożenie podsumowań AI itd. może ściąć 50-60 proc. ruchu na nasze strony.

Jak to się przekłada na rzeczywistość mediów w Polsce i na świecie? Wystarczy kilka liczb, by to zobrazować. W marcu 2018 roku ruch z Facebooka na strony mediów według danych Chartbeat (narzędzia do monitoringu ruchu, z którego korzystają redakcje), stanowił 30 proc. W marcu 2024 roku to 7 proc. W ciągu 12 miesięcy ruch z Facebooka dla wydawców na świecie spadł o 50 proc.

Facebook na wojnie (hybrydowej) z wydawcami

We wrześniu 2024 roku cios dla polskich mediów padł z dość nieoczekiwanej strony. Gdy toczyły się dyskusje na temat zgodnego z prawem unijnym wynagradzania mediów przez wielkie platformy, czyli wyrównania w jakiejś mierze przepaści, o której mówił w kontekście USA Ezra Klein, Meta zdecydowała – bez informowania o tym w sposób czytelny i z wyprzedzeniem – o usunięciu miniatur do linków publikowanych przez polskich wydawców.

Topniejący ruch z Facebooka opierał się do tej pory w ok. 90 proc. na takich właśnie linkach. Od września stały się dla nas „nieużywalne" – bez obrazkowego kontekstu stały się po prostu niewidzialne dla użytkowników.

I do tej zmiany każdy wydawca przystosował się tak, jak umiał. Czytelnicy prawdopodobnie również. Nowym standardem stały się linki, którym towarzyszy grafika z instrukcją, gdzie link do artykułu znaleźć. Mniejsza powierzchnia do klikania równa się mniejszej liczbie wejść na stronę.

Ta sytuacja, pozornie banalna, to w lżejszej wersji starcie z wydawcami, jakie Facebook miał np. w Kanadzie, gdzie w czerwcu 2023 roku całkowicie wyłączył stronom newsowym możliwość publikowania treści na Facebooku. Miało to związek z nowym prawem Online News Act, które zobowiązywało Big Techy do dzielenia się zyskami z wydawcami.

Wprowadzenie podobnego prawa w grudniu ub.r. zapowiedział australijski rząd. Wcześniej, w marcu, z umowy z tamtejszymi wydawcami wycofała się Meta, teraz być może będzie zmuszona do powrotu do stołu negocjacyjnego – albo zdecyduje się zastosować rozwiązanie kanadyjskie (ban na newsy).

Tak umierają platformy społecznościowe

Niedawno Michał Woźniak na łamach OKO.press przypomniał w kontekście migracji z Twittera/X i na Bluesky ukuty dwa lata temu przez kanadyjskiego pisarza Cory'ego Doctorowa w tekście magazynu „The Wired" termin „enshittification" („zgównowacenie" albo – jak pisze Woźniak – „zgównianie"). Z punktu widzenia zwykłego użytkownika spadek jakości platformy społecznościowej objawia się po prostu erozją feedów – coraz rzadziej chcemy z aplikacji korzystać – widzimy w niej wpisy, które wcale nas nie interesują, generowane przez AI i boty bezwartościowe treści. Czasem korzystamy narkotycznie – oglądamy w ciągach filmiki, które zostawiają z wątpliwościami we własną zdolność krytycznego myślenia („Czy ja właśnie przez 15 minut oglądałem, jak prasa hydrauliczna prasuje kolejne przedmioty?"). Erozja, „zgównianie" platform dla wydawców ma jeszcze jeden poziom.

Doctorow pisał już w leadzie swojego słynnego tekstu: Tak umierają platformy społecznościowe. Najpierw są dobre dla swoich użytkowników, potem ich wykorzystują, by lepiej traktować swoich klientów biznesowych, a na końcu wykorzystują klientów biznesowych, aby odrobić straty. W końcu umierają".

Przez ostatnie lata widzieliśmy, jak „zgównieją się" narzędzia Facebooka dla wydawców – jedne usługi zastępują inne, ale już nie mają funkcji, na których nam zależy, życie uprzykrzają nam nieustanne błędy i czkawki przy publikowaniu, niespójność między różnymi produktami.

Doctorow o Facebooku pisał (dwa lata temu, jeszcze w trakcie gorączki wokół Metaverse!): Dziś Facebook jest krańcowo „zgówniany", koszmarne miejsce, niezależnie od tego, czy jesteś użytkownikiem, firmą medialną, czy reklamodawcą. To platforma, która celowo zniszczyła ogromną część wydawców, na których się opierała, oszukując ich i wymuszając na nich „zwrot w kierunku wideo" w oparciu o fałszywe dane na temat popularności filmów wśród użytkowników Facebooka.

Narzędzia Facebooka są wyjątkowo nieprzyjazne – jego systemy nabudowywane przez ostatnią dekadę przypominają labirynt, w którym najchętniej zostawiałbym za sobą okruszki, żeby się nie zgubić.

Pewne rzeczy robiłem setki razy w „bebechach" Business Suite, profesjonalnego panelu Facebooka, a wciąż muszę przypominać sobie na nowo, jak trafić na opcję, która jest mi potrzebna. Mówiąc językiem memów: „Musisz być tą kasjerką, która zna kod na kajzerkę". To coraz trudniejsze. I nie zawsze możliwe.

Schody zaczynają się w przypadku szukania pomocy. FAQ Facebooka odsyła do nieistniejących już narzędzi i ścieżek – niech tylko algorytm błędnie zinterpretuje post, oznaczy go jako niezgodny ze „standardami społeczności" i zmieni na gorszy „status strony". Marniejące z miesiąca na miesiąc zasięgi pikują w dół.

Co z tego, że już były, dyrektor Meta przyznał na początku grudnia, że algorytmy moderujące są zbyt agresywne i odsetek błędów w usuwaniu treści był zbyt duży. Potwierdził to Zuckerberg, ogłaszając zmiany na platformach Mety. Oczywiście istnieje droga odwoławcza, ale twoje odwołanie po gigantycznych zwolnieniach (21 tys. osób) w Mecie na 90 proc. rozpatrzy maszyna i ekspresowo, w kilka minut je odrzuci.

Chcesz się skontaktować z człowiekiem? Wymaga to sprytu: tylko określone odpowiedzi poprowadzą cię do czatu z konsultantem najpewniej po drugiej stronie globu.

Jak już się uda połączyć, takie „rozmowy" trwają godzinami i rzadko kończą się wymiernym sukce-

eprasa.pl b89c1dd19d

• **Na inauguracji prezydentury Donalna Trumpa: CEO Meta i Facebooka Mark Zuckerberg, dziennikarka Lauren Sanchez i jej narzeczony Jeff Bezos, CEO Google Sundar Pichai, właściciel Tesli i SpaceX Elon Musk I (w czerwonym) matka wiceprezydenta J.D. Vance'a. 20 stycznia 2025.** FOT. REUTERS/SAUL LOEB

sem: najczęściej kończą się odesłaniem do niedziałającego formularza.

Nie zawsze tak było. Przed wielkimi zwolnieniami w Mecie funkcjonował przedstawiciel ds. kontaktu ze strategicznymi partnerami. Można było napisać maila do żywego człowieka, można było przejść razem przez labirynt mechanizmów i specyficznych problemów, które dotyczą tylko wydawców prasowych. Na początku 2023 roku to wsparcie zniknęło.

Zmusić do działania wielkie platformy może tylko Unia Europejska. W październiku jako pokłosie Aktu o Usługach Cyfrowych powstało Appeals Centre, które ma rozpatrywać skargi użytkowników na moderację treści przez Big Techy. Ma skuteczniej i lepiej operować na większej liczbie platform niż poprzednie ciało Oversight Board, które było założone z inicjatywy Mety.

Być może przekonamy się o jego skuteczności – Facebook „Wyborczej", niestety, trafił na celownik moderacyjnych botów i znacznie ograniczono nam zasięgi postów, a także uniemożliwiono korzystanie z niektórych funkcji platformy.

Czas Błękitnego Nieba

Nie ma złudzeń, że podróż w czasie do „starego, dobrego internetu" nie jest możliwa. Sieć zaśmiecona treściami AI będzie coraz mniej przyjaznym miejscem. Na szczęście są projekty, które idą na przekór trendowi. Na Bluesky moderacja wydaje się sprawna, zgłaszanie fejków okazało się skuteczne, platforma z dumą chwali się, że nie majstruje przy zasięgach linków. Być może to po prostu pierwszy etap „erozji" – jest przyjaźnie, bo Bluesky nie wypracował jeszcze modelu zarabiania, nie ma gigantycznej bazy użytkowników, a więc nie wchodzi na drugi poziom socialmediowego umierania.

Wizja Bluesky odchodzi od pryncypiów wszystkich innych dużych graczy na rynku. Jest wręcz staromodna. Platforma nie stara się jak narkotyk przykuć użytkownika do ekranu i nie wypuścić go z aplikacji. Feed jest chronologiczny, skończony – sprawdzam, co nowego się pojawiło i wychodzę. To zupełnie inne podejście niż algorytmiczne sprzężenie zwrotne u pozostałych wielkich graczy, które podsuwa użytkownikowi ciągle więcej tego samego.

Między wydawcami a czytelnikami są platformy (Google, Meta). To one zatrzymały większość pieniędzy z reklam dla siebie, one dyktują warunki

Dziennikarze „The Boston Globe", „New York Timesa" i „Guardiana" piszą z entuzjazmem o wynikach: Bluesky nie obniża zasięgów postom z linkami, tak jak X, i to przynosi efekty.

Bluesky mogłoby się stać miejscem merytorycznej dyskusji nie tylko dla mediów anglosaskich, ale także dla polskich. Droga jest długa i kręta – i kluczowe może być pytanie, czy istnieje jakaś masa krytyczna dla X i jego erozji. Migrowanie z platform społecznościowych jest czasochłonne, żmudne, nie towarzyszy mu entuzjazm jak w 2010 roku. Na razie wskoczyliśmy do pociągu Bluesky, podjęliśmy konsumencką decyzję – nie mamy nic do stracenia.

Na horyzoncie „błękitnego nieba" są też czarne chmury. Mimo że Bluesky nie ma jeszcze statusu „dużej platformy społecznościowej" (pow. 45 mln użytkowników), Komisja Europejska wysuwa zastrzeżenia co do zgodności funkcjonowania platformy z Aktem o Usługach Cyfrowych. Chodzi o publicznie dostępne informacje o liczbie użytkowników i adres siedziby w Europie. Mam nadzieję, że pączkująca platforma sobie z tym poradzi, i gdy przyjdzie na to czas, odpowiednie wymagania spełni.

Tradycyjne media muszą być głosem rozsądku w „maszynie pożerającej zaufanie"

Czy jako redakcja musimy być w mediach społecznościowych? Powinniśmy. Znakomity popularyzator naukowy Hank Green w półgodzinnym filmie na YouTubie nagranym krótko po wyborach w USA pt. „Populism, Media Revolutions, and Our Terrible Moment" („Populizm, rewolucje mediów i nasz straszny czas") nakreśla doskonale sytuację, w której jako nowoczesne społeczeństwa się znajdujemy:

„Mamy nieznaną dotychczas komunikację wielu do wielu, w której każdy może dotrzeć do milionów. Za tym poszło sprzężenie między sprytnymi jednostkami, które chcą przykuwać uwagę i algorytmami rekomendacji, które nagradzają tych, którzy najlepiej potrafią ją przykuwać".

Treść, którą algorytm podsunie innym, nie musi być prawdziwa – musi być skuteczna w przyciąganiu uwagi. To przepis na katastrofę.

Jednostkom faworyzowanym przez algorytmy, np. populistycznym politykom, nie zależy na szukaniu rozwiązań problemów, tylko na wyświetleniach, a tak się składa, że kontent podważający zaufanie do instytucji, np. narastająca w USA nagonka na różne departamenty, agendy rządowe, doskonale się ogląda.

Całe nasze społeczeństwo zbudowane jest na zaufaniu – wierzymy, że kompetentne osoby zarządzają i czuwają nad funkcjonowaniem skomplikowanych systemów: szpitali, urzędów, usług publicznych.

Internet i portale społecznościowe po pandemii dalej „pożerają zaufanie", jak mówi Green, we wszystkich dziedzinach życia (najnowszy przykład: walka strażaków z pożarami w Kalifornii). Zaufanie do instytucji nigdy nie było bezwarunkowe, ale dobrą instancją kontrolującą są media. Esencją dziennikarstwa i fact-checkingu jest obiektywna prawda, a dziennikarz potrzebuje czasu, by zarzuty wobec instytucji czy osoby publicznej zweryfikować – na szali kładzie przecież wiarygodność swoją i redakcji, dla której pracuje.

Celebryta, polityk populista, kontrowersyjny podcaster czy przedsiębiorca miliarder żerujący na uwadze algorytmów nie ma tyle do stracenia, ile ma tradycyjne medium. Trump konfabuluje, tak jak konfabulował – wręcz się tego po nim spodziewamy.

Tam, gdzie są uszy, które chciałyby słuchać, tam tradycyjne media muszą stać na straży. Wyostrzać, unaoczniać kontrast między sprawdzoną, rzetelną informacją a plotką i zmyśleniem. Kłamstwo świetnie się rozchodzi w feedzie, ale tylko prawda jest podstawą realnej zmiany. ● 1RP

eprasa.pl b89c1dd19d

POLITYKA I POLSKA

Trzeba po prostu słuchać ludzi

A ludzie mają inne poglądy w Warszawie, a inne na Podhalu

Z **RAFAŁEM TRZASKOWSKIM,**
PREZYDENTEM WARSZAWY, KANDYDATEM KO NA PREZYDENTA RP
ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Prezydent stolicy Rafał Trzaskowski robi zakupy w jednym z supermarketów w Łomży (16.01.2024). Kampania wyborcza ruszyła...**

eprasa.pl b89c1dd19d

BARTOSZ T. WIELIŃSKI: Pana kampania wyborcza skręca w prawo. Nasi czytelnicy pytają, czemu pan to robi.
RAFAŁ TRZASKOWSKI: Od kiedy gospodarka i patriotyzm gospodarczy, bezpieczeństwo i spójna Polska to tematy prawicowe? Czy kiedy broniłem atakowanych mniejszości, osób z niepełnosprawnościami, nauczycieli, praw kobiet, to byłem politykiem lewicowym, czy może kierowałem się wartościami chrześcijańskimi, według których powinno się pomagać słabszym i atakowanym? Czy wszyscy muszą iść dziś na skróty i szukać prostych etykietek?

Zaproponował pan odbieranie mieszkającym w Polsce Ukraińcom prawa do świadczenia 800 plus, jeśli nie będą pracować. To ukłon w stronę wyborców o prawicowych poglądach.

– Dziś w Polsce potrzeba nam po prostu zdrowego rozsądku. Jeżdżę po Polsce i rozmawiam z ludźmi. Sytuacja jest poważna, bo zmieniają się społeczne nastroje. Polacy są zmęczeni wojną i pomaganiem Ukraińcom, a ja mówię twardo, że kwestionowanie członkostwa Ukrainy w NATO to najbardziej nieodpowiedzialna rzecz, jaką można sobie wyobrazić.

Wszyscy prezydenci – od Wałęsy przez Kwaśniewskiego, Kaczyńskiego, Komorowskiego po Dudę, z którym się w większości kwestii nie zgadzam – popierali europejskie aspiracje Kijowa. A kandydat PiS Karol Nawrocki na użytek kampanii wyborczej stawia europejską przyszłość Ukrainy pod znakiem zapytania. Czyżby wolał, aby Ukraina wpadła w łapy Putina? Jednocześnie jednak słyszę od ludzi, że Polska pomogła Ukrainie, ile się da, i musimy się zastanowić, co dalej. Patrząc na doświadczenia Austrii, Niemiec, Szwecji, uważam, że po prostu musimy uważać na to, jakie sygnały wysyłamy na zewnątrz.

Angela Merkel, wpuszczając do Niemiec tylu uchodźców, popełniła kolosalny błąd. Byłem wówczas ministrem ds. europejskich i tłumaczyłem Niemcom, że nie wolno nam mówić: „Welcome, przyjeżdżajcie wszyscy", nawet gdyby tak dyktowało nam sumienie. Najpierw trzeba było zabezpieczyć sytuację, zapanować nad przepływami ludzi, a potem dopiero myśleć o ewentualnej solidarności. I podobnie jest dziś, pomagaliśmy Ukraińcom jak nigdy, całe społeczeństwo, na początku wojny polscy samorządowcy nie spali tygodniami... Przez trzy lata stosowaliśmy najbardziej szczodre rozwiązania. Ale dzisiaj zdrowy rozsądek podpowiada, że należy wychodzić z automatycznego wspierania każdego gościa z Ukrainy.

Do Polski przyjeżdża się do pracy, a nie po socjal. Dzięki takiemu postawieniu sprawy przekonamy społeczeństwo, że dalej należy wspierać Ukrainę i że mamy nad wszystkim kontrolę.

Czy istnieje w ogóle problem wyłudzania zasiłków przez Ukraińców?
– Wzdragam się przed użyciem słowa „wyłudzanie". Nie chcę nikogo stygmatyzować. Ale mamy Ukraińców, którzy nie pracują i nie mieszkają w Polsce, a pobierają zasiłek 800+. To nie jest ani wielki, ani powszechny problem, ale trzeba zareagować, wysłać jasny komunikat – do Polaków, którzy okazali niebywałą wręcz solidarność przez lata, i do samych Ukraińców.

Znamy przypadki Ukrainek w tak koszmarnej wojennej traumie, że po prostu nie są w stanie pracować.
– Nie trzeba nas przekonywać do humanitarnej postawy. Jeżeli będzie konieczność wyjątkowej pomocy, to zostanie ona udzielona. Czytałem np. wpisy o matce trojga niepełnosprawnych dzieci, nie zostawimy jej samej. Ale to są wyjątkowe sytuacje, a nie reguła. Musimy zmienić rozwiązania systemowe, a rolą polityka jest ich inicjowanie. Państwa, które w polityce migracyjnej nie kierowały się zdrowym rozsądkiem, popełniły wielki błąd.

A nie jest tak, że chce pan wykorzystać antyukraińskie nastroje wśród liberalnej części polskiego społeczeństwa?
– Politycy muszą słuchać ludzi, nie mogą stać obok nich, bo będą przegrywać i oddawać pole populistom. Do tego nie chcę dopuścić. Powiedziałem prezydentowi Wołodymyrowi Zełenskiemu, że każdy, kto nie wspiera Ukrainy, działa przeciwko bezpieczeństwu Polski. W Polsce nie notujemy powszechnego odwrotu od idei militarnego wsparcia dla Ukrainy – ludzie chcą po prostu racjonalnej polityki.

Myślę też, że nie powinno się samorządowca pouczać, czym jest społeczna wrażliwość. Od prawie siedmiu lat jestem na pierwszej linii i pomagam słabszym.

Może chodzi o to, że część wyborców pamięta pana z kampanii w 2020 r., gdy stał pan po stronie osób LGBT, na które szczuła ówczesna władza?
– A co się w tej sprawie zmieniło? Pomagam mniejszościom seksualnym. W moim podejściu do spraw kobiet też nic się nie zmieniło. To dalej dla mnie priorytet. Opowiadam się za liberalizacją prawa do aborcji. Moje poglądy są znane. Są racjonalne. Bo jak mówimy o wolności, o prawie do decydowania, to kto ma decydować, jak nie kobieta?

O czym ma być ta kampania wyborcza? O tym, o czym mówią ludzie, czy o tym, o czym mówią salony i o czym jest mowa na X. Ja X nie czytam, słucham ludzi na ulicach polskich miast i wsi.

Przeciwnicy dorobili panu gębę salonowca, członka elity, który mówi po francusku?
– Salonowcem nie jest Mateusz Morawiecki, milioner, właściciel wielu działek, tylko ja, który mieszkam w bloku i jeżdżę 13-letnim samochodem? I to tylko dlatego, bo czytam książki, mówię po francusku czy po hiszpańsku?! Mam się z tego powodu bić w pierś i przepraszać. Przecież większość Polek i Polaków chce mieć prezydenta, który zna się na swojej robocie – bezpieczeństwie i polityce zagranicznej – i mówi w językach obcych.

Podpisałby pan ustawę liberalizującą aborcję?
– Tak. Jestem również gotów pierwszego dnia podpisać ustawę o pigułce „dzień po", która jest gotowa, i jest większość w Sejmie, by ją uchwalić. Żeby też było jasne, mam krytyczny stosunek do tych, którzy blokują rozwiązania dotyczące aborcji w Sejmie i chowają się za plecami Andrzeja Dudy.

A co w sprawie edukacji zdrowotnej? Miała być obowiązkowym przedmiotem w szkole, ale nie będzie.
– Wspieram ministrę Barbarę Nowacką, która w duchu kompromisu zgodziła się, by edukacja zdrowotna była nieobowiązkowa. Lepiej edukację zdrowotną mieć za zgodą rodziców, niż nie mieć jej w ogóle. Tak dyktuje zdrowy rozsądek. W Warszawie mieliśmy podobne dyskusje, gdy wchodziły programy dotyczące uczenia tolerancji. Wprowadziłem najpierw programy pilotażowe, również za zgodą rodziców. Nie można pewnych rzeczy robić na siłę. Jeżeli ludzie czegoś nie chcą i uważają, że przygotują dzieci do życia lepiej, to pójdźmy z nimi na kompromis.

Nie jest to chowanie głowy w piasek, kapitulacja przed konserwatystami z PSL-u?
– Nic nie poradzę na to, że rządzi koalicja, a nie sama Koalicja Obywatelska. Nie jestem zresztą członkiem rządu. Kolegom i koleżankom z PSL staram się pewne rzeczy tłumaczyć, ale ich poglądy są odzwierciedleniem pewnych nastrojów w społeczeństwie. I prezydent tym się różni od premiera, że nie wystarczy uzyskanie poparcia wśród jednej trzeciej wyborców i stworzenie koalicji. Musi przekonać ponad połowę Polek i Polaków. Proszę nie robić mi zarzutu z tego, że się wsłuchuję w głos ludzi.

Czy to znaczy, że Polska jednak jest bardziej konserwatywnym społeczeństwem, niż wydaje się to z perspektywy Warszawy?
– Jest różnie. Polska się bardzo zmienia. Proszę zobaczyć nastawienie Polek i Polaków do aborcji, do praw mniejszości seksualnych. Ale nie możemy sobie pozwolić na to, żeby nie słyszeć tego, co do nas ludzie mówią. W Warszawie mogłem podjąć decyzję o rozdziale Kościoła od urzędu i to zrobiłem – ale inne samorządy mogą postępować inaczej, skoro tego chcą mieszkańcy.

Trzeba po prostu słuchać ludzi. A ludzie mają inne poglądy w Warszawie, a inne na Podhalu. Nie wszędzie musi być tak samo. Od tego jest samorząd, żeby wsłuchać się w głos ludzi.

Spotkanie z Zenkiem Martyniukiem było ukłonem w kierunku konserwatywnych wyborców?
– Jeżeli ktoś uznał, że to spotkanie świadczy o tym, że nagle zacznę słuchać disco polo, to chyba nie widział nagrań z naszego obiadu. Chodziło mi o to, by pokazać, że jestem w stanie rozmawiać z każdym. Zenek wbrew temu, co się niektórym wydaje, jest superfajnym, otwartym gościem.

Ponieważ jesteśmy z podobnego rocznika, to mamy podobne doświadczenia z dzieciństwa. Ja wolę kompletnie inną muzykę niż on, ale za komuny obaj słuchaliśmy „Listy przebojów" Marka Niedźwieckiego w Trójce, nagrywaliśmy te same przeboje: Europe, Prince'a i Maanamu. On marzył o magnetofonie Grundiga i ja o nim marzyłem. I w końcu nasze marzenia się spełniły, mieliśmy na czym nagrywać przeboje. A przecież mieszkaliśmy w różnych częściach kraju, pochodziliśmy z różnych rodzin.

Tyle że Zenek to artysta maksymalnie wykorzystywany w telewizji Kurskiego, symbol propagandy PiS.
– Ale skoro chciał się spotkać i porozmawiać z kimś innym, to chyba dobrze.

A to on chciał czy pan chciał?
– Obaj chcieliśmy, nikt nikogo siłą do restauracji nie zaciągał. Akurat był tam, gdzie my, w Bielsku Podlaskim, więc zaprosiłem go na obiad i porozmawialiśmy. Nie chodziło przecież o to, by Zenek Martyniuk poparł moją kandydaturę, ale by porozmawiać – choćby o fenomenie jego popularności.

Wróćmy do relacji z Ukrainą. Kijów obiecuje rozwiązać spór o ekshumację polskich ofiar rzezi wołyńskiej. To wiarygodne obietnice?
– Rozmawiałem o tym z prezydentem Zełenskim. Mówiłem, że jesteśmy ich największym sojusznikiem i twardo przy nich stoimy. Przestrzegałem jednak, że w kampanii wyborczej temat ekshumacji może być nagłaśniany i dlatego trzeba problem rozwiązać. Ukraińcy nie są łatwym partnerem. Rozumiem ich nerwowość, bo żyją w nieustannym niebezpieczeństwie. Ale mam nadzieję, że rozumieją, że jeżeli nasze wsparcie stanęłoby pod znakiem zapytania, to wykorzysta to nie tylko Putin, ale również wszyscy ci, którzy chcą się z tego wsparcia wycofać.

Mam wielkie pretensje do Nawrockiego, bo poszedł krok za daleko. Kwestionowanie polskiego wsparcia dla Ukrainy jest wbrew polskiemu interesowi.

Ale wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz z PSL w sprawie wejścia Ukrainy do UE wypowiadał się równie surowo. Warunkiem są ekshumacje i kropka.
– Kwestie ekshumacji trzeba bezwzględnie załatwić, ale nasza pomoc militarna dla Kijowa powinna być bezwarunkowa. Po prostu nie chcę mieć pod Hrubieszowem rosyjskich czołgów.

Ukraińcy walczą o przetrwanie, a polscy politycy rozgrzebują historię sprzed 80 lat.
– Nie możemy pozwolić na to, by Polacy mieli poczucie, że Ukraińcy są niewdzięczni. Wtedy wsparcie dla nich będzie coraz słabsze. Ono musi być pełne i bezwarunkowe.

Od ludzi słyszę: wspierajmy Ukrainę, ale Ukraińcy nie mogą nas ignorować ani nadużywać naszych świadczeń socjalnych. To jest obecnie polski mainstream.

Pojednanie to zawsze droga dwukierunkowa. Polscy biskupi mówili biskupom niemieckim: „Przebaczamy i prosimy o wybaczenie". Historia polsko-ukraińska to nie jest tylko rzeź wołyńska, to też zła polityka sanacji na Kresach i powojenna akcja „Wisła". Mamy też lekcje do odrobienia.
– Nie twierdzę, że nie mamy. Polityki sanacyjnej wobec Ukraińców nikt z nas nie chwali, powojennych deportacji nie da się w pełni usprawiedliwić, a akcja „Wisła" była w pewnym sensie wymuszona przez Sowietów. Sprzeciwiam się stawianiu znaku równości w tej sprawie, bo w Polsce nigdy nie było planu organizowania czystek etnicznych na Kresach, a UPA miała dokładnie taki cel wobec Polaków – i to trzeba też to jasno mówić. Winy nigdy nie rozkładały się po równo.

Patrząc na debatę w Polsce w tej sprawie, wydaje się, że członkostwo Ukrainy w NATO i UE jest na wyciągnięcie ręki.
– O jednym i drugim na serio możemy rozmawiać dopiero po wojnie. Nie wyobrażam sobie jej końca bez gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy, a najlepszą jest członkostwo w NATO. Więc moim zdaniem to wcale nie jest odległa perspektywa, jeżeli mówimy o samej decyzji, bo oczywiście sam proces przystosowywania się do członkostwa może trwać.

Jeżeli chodzi o Unię, to decyzja już zapadła. Teraz musimy rozmawiać z Ukraińcami jasno i szczerze, że w naszym przypadku

Salonowcem nie jest Mateusz Morawiecki, milioner, właściciel wielu działek, tylko ja, który mieszkam w bloku i jeżdżę 13-letnim samochodem? I to tylko dlatego, bo czytam książki, mówię po francusku czy po hiszpańsku?!

eprasa.pl b89c1dd19d

negocjacje akcesyjne trwały kilkanaście lat. Krajom zachodnich Bałkanów zaś obiecano członkostwo w 2003 r., a 22 lata później żadne z tych państw nie jest członkiem Unii. Dlatego musimy Ukraińcom powiedzieć, że to będzie ciężka droga, że po wojnie czeka ich cała masa reform, będą wymagania i wyrzeczenia. Że na dzisiejszych zasadach nie wejdą szybko do wspólnej polityki rolnej, muszą być dla nich długie okresy przejściowe. To nie stanie się w dwa-trzy lata, ale mam nadzieję, że potrwa krócej niż w przypadku Bałkanów.

Mam tu olbrzymie doświadczenie. Gdy w 1997 r. zaczynałem pracę zawodową, po skończeniu kolegium Europejskiego w Natolinie, to Jacek Saryusz-Wolski [wówczas szef Komitetu Integracji Europejskiej] poprosił o pomoc w przygotowaniu konferencji, na którą zaprosiliśmy negocjatorów naszego członkostwa z Hiszpanii, Portugalii, Grecji, Szwecji i Austrii, krajów, które dołączyły do wspólnoty w latach 80. i 90., by opowiedzieli nam o negocjacjach. Hiszpan radził, byśmy uzbroili się w cierpliwość, bo skoro ich Bruksela mocno przeczołgała, to nas przeczołga jeszcze bardziej.

W sumie to przeczołganie wyszło nam na dobre?
– To prawda. Ale trzeba być gotowym na to, że to nie będzie proces ani łatwy, ani przyjemny. I na to, że nie wszystko się ziści od razu. Trzeba na wiele kwestii patrzeć racjonalnie, jeżeli mamy wzmacniać konkurencyjność naszego rolnictwa, to na wpuszczenie dzisiaj do unijnej polityki rolnej Ukraińców nie stać ani Polaków, ani Francuzów. W czasie naszych negocjacji członkowskich Francuzi czy Hiszpanie mówili – nam się to musi opłacić. Co w tym dziwnego, że my dziś mówimy to samo.

O czym poza Ukrainą mówili panu mieszkańcy Podlasia?
– Rozmawiamy o gospodarce. Główny motyw to ceny energii oraz pozostałość po PiS, czyli inflacja i drożyzna. Z samorządowcami rozmawiamy o budżetach, o tym, skąd wziąć dodatkowe pieniądze, o reformie edukacji, wykluczeniu komunikacyjnym. Pytam ludzi o ich specyficzne problemy, bo mój pomysł równej Polski polega na tym, żeby niwelować różnice. By przygotowywać systemowe rozwiązania, a tam, gdzie się nie da, pomagać poprzez fundusze interwencyjne w załatwianiu jakiejś konkretnej sprawy.

W rozmowach dowiaduję się rzeczy przeróżnych. Chyba z dziesięciu samorządowców mówiło mi o działkach należących do PKP, na których stoi stary dworzec, od dawna nieużywany. Co z terenem zrobić? Trwają korowody, PKP nie chce go oddać. Wystarczyłby program na inwestycje samorządowe na ziemiach skarbu państwa i moglibyśmy rozwiązać szereg problemów.

Samorządowcy skarżą się na problemy w usuwaniu nielegalnych wysypisk śmieci czy składowisk toksycznych odpadów. Pamiętam, ile w zeszłym roku zajęło mi rozwiązanie problemu nielegalnego składowiska na Targówku. Załatwianie zgód, porozumienie z wojewodą, wyjaśnienie, czy mogę użyć rezerwy budżetowej – trwało to wiele tygodni. I tak szybko, bo działo się to w Warszawie, pod presją kamer telewizyjnych. Trzeba przygotować ogólnopolski program, który uprości te procedury.

Z sondaży wynika, że Polacy nie są zadowoleni z pracy rządu Koalicji 15 Października.
– Rozumiem frustrację, bo ludzie chcą przyspieszenia. Rząd koalicyjny ma jednak bardziej pod górę, ponieważ musi brać pod uwagę postulaty wszystkich partii. Ja bym też chciał, żeby PiS jak najszybciej rozliczyć do kości, zamknąć ten rozdział i iść dalej. Mam już dosyć gadania o PiS, no ale nie mogę o tej partii nie mówić, skoro jej przestępcze rządy pozostają nierozliczone.

Trzeba przyspieszyć wypełnianie zobowiązań, niektóre są zablokowane wetem prezydenta lub z powodu klinczu w koalicji. Wielu moich kolegów z innych partii koalicyjnych się chowa za plecami Andrzeja Dudy. Mówią: „Może ja bym nawet był za, ale po co mam się wychylać, skoro i tak Duda to zawetuje". Widać, jak bardzo potrzebny w Polsce jest prezydent, który rozstrzygnie te kwestie.

Jakie?
– Sprawę aborcji, związków partnerskich, ale też pomoże w przygotowaniu szerokiego pakietu dla polskich przedsiębiorców. W obiegu jest masa absurdów utrudniających im życie, a ich usunięcie nie wymaga wcale wielkich nakładów. Rozmawiałem o tym z ekspertami i przedsiębiorcami. Chcę zaprezentować plan ministrowi finansów. Może uda się od razu, chociaż część moich wniosków wcielić w życie.

A o co chodzi konkretnie?
– Na przykład o to, że jeśli skarbówka w pięć lat nie wyrobiła się z kontrolą podatkową, to należy sprawę zamknąć. Dzisiejsza rzeczywistość, gdzie nagminne jest otwieranie procedury kontrolnej w ostatnim momencie przed przedawnieniem, niejako na wszelki wypadek, i trałowanie przedsiębiorców latami, aż urzędnicy coś znajdą, jest chora. Przepraszam, ale jeśli państwo się nie wyrobiło w pięć lat, to sprawa powinna się przedawnić. Mógłbym długo rozmawiać o absurdalnych różnicach w stawkach VAT czy o narastającej biurokracji.

Szorstka przyjaźń?
– Nie lubię tego określenia, od razu kojarzy się z Leszkiem Millerem. Wszyscy wiedzą, że mam charakter i jestem osobą niezależną. Wpadlibyśmy w pułapkę, gdybyśmy mieli rząd i prezydenta, którzy myślą i robią dokładnie to samo.

Nie jestem człowiekiem, który dąży do konfliktu, zawsze szukam rozwiązania kompromisowego. Nowa wojna na górze nie jest nam potrzebna. Ale jak będzie trzeba, to sięgnę po weto. Prezydent musi działać niezależnie od partii. Musi mieć kręgosłup. Po wyborach w 2020 r. rozmawiałem z Andrzejem Dudą. Powiedziałem mu: „Wie pan, jak oceniam pana pierwszą kadencję. Jednak teraz ma pan szansę być politykiem niezależnym". Andrzej Duda nie skorzystał z mojej rady.

W 2020 r. przegrał pan drugą turę z Andrzejem Dudą o włos.
– Gdy podjąłem decyzję o starcie, wszyscy zastanawiali się, czy w ogóle będę miał jakąkolwiek możliwość rywalizacji z Szymonem Hołownią. Dziś tego nikt nie pamięta, ale mieliśmy początkowo 4 proc. poparcia. Zastanawiano się, czy wejdę do drugiej tury. Prowadziliśmy dwumiesięczną kampanię, na bardzo nierównych warunkach. Pamiętam, co się działo, ciągłe prowokacje, ataki od rana do nocy, ekipa TVP Info robiąca wszystko, by mnie wyborcom zohydzić. PiS wydał miliardy, my miliony. Zabrakło czasu, by pojechać we wszystkie trudne miejsca i porozmawiać z mieszkańcami.

> Do Polski przyjeżdża się do pracy, a nie po socjal. Dzięki takiemu postawieniu sprawy przekonamy społeczeństwo, że dalej należy wspierać Ukrainę i że mamy nad wszystkim kontrolę

Prezydent ma więcej czasu, by rozmawiać z ludźmi i myśleć strategicznie. Jestem człowiekiem samorządu, dlatego na moje spotkania przychodzą samorządowcy. Chcą pomóc i chcą, żebym ich reprezentował. To bardzo zdroworozsądkowi ludzie.

Wśród przyczyn porażki Kamali Harris wymienia się to, że nie odcięła się od polityki Joego Bidena. Jest pan w stanie krytykować kolegów z koalicji?
– Mój problem z Kamalą Harris jest taki, że nie do końca wiedziałem, o czym jest jej kampania. Dlatego jestem racjonalny i wyrazisty – mówię jasno: gospodarka, bezpieczeństwo i spójna Polska. A gdy ktoś pyta mnie, dlaczego nie mówisz jeszcze o innych sprawach, to wzruszam ramionami – oczywiście, że mówię, i to od lat. Od 2018 r. reflektory mnóstwo razy były skierowane na mnie, więc Polki i Polacy znają moje poglądy.

Skupiam się na tym, co w tej chwili najważniejsze. Nie zamierzam mówić o czterdziestu rzeczach naraz jak Kamala Harris.

Co do rządu Koalicji 15 Października, to uważam, że trzeba się od niego domagać przyspieszenia i wychodzić z konkretnymi inicjatywami. Mam nadzieję, że rząd szybko odpowie na mój postulat ograniczenia 800+. Chodzi o pokazanie sprawczości. Ale jestem gotów również do konstruktywnej krytyki i brania spraw w swoje ręce.

Jakim chciałby pan być prezydentem? Relacje układały się różnie między premierami a prezydentami.
– Niezależnym.

Żałuje pan, że nie wybrał się do Końskich?
– Dlaczego miałbym jechać na ustawkę Kurskiego?

Bo tam TVP organizowała jedyną przed drugą turą debatę. Pan ją zbojkotował.
– Bawi mnie szukanie ex post jakichś rzekomych momentów zwrotnych w tamtej kampanii. W Końskich nie miało być debaty, tylko zrealizowana przez telewizję Kurskiego ustawka. Przygotowano tam ludzi, którzy mieli mówić nieprawdę, atakować mnie i szarpać się ze mną. W kampanii pracownicy TVP zadawali mi mnóstwo tendencyjnych, chamskich pytań, chociażby o komunię syna. Brałem udział w pierwszej debacie, wygrałem ją. Zorganizowaliśmy debatę, zaprosiliśmy prezydenta Dudę i dziennikarzy wszystkich redakcji, łącznie z prawicowymi, wspierającymi PiS. Pokazałem, że nie boję się żadnych pytań. Prezydent Duda nie przyjechał.

Uważa pan, że nie popełnił pan wtedy błędów?
– Przydarzyły się złe decyzje. Pamiętam, że do jakiejś małej miejscowości przyjechała francuska telewizja. Zaczęli mi zadawać pytania na konferencji pod remizą. Oczywiście po francusku. Czytałem potem analizy, że Trzaskowski na polskiej wsi się popisuje francuskim. A przecież ja się z nimi nie umawiałem, by pokazać światu, jaki jestem wspaniały. Dziś porozmawiałbym z nimi na osobności.

Po każdej kampanii człowiek się uczy. Przede wszystkim tego, że wszyscy będą szukali dziury w całym, i trzeba być na to gotowym. A jak ktoś zbliża się do prowadzenia, to wszyscy siadają kandydatowi na plecy. Jestem na takie zagrania odporny. To mnie tylko dopinguje. Myślę, że nie pociągnąłbym kampanii w 2020 r., gdybym został przeczołgany w wyborach samorządowych w roku 2018. Uśmiecham się, gdy słyszę, że gdyby w 2020 r. w drugiej turze był Szymon Hołownia, toby na pewno wygrał. Marszałek przecież wcześniej nie został doświadczony przez żadną brutalną kampanię.

Jakie ma pan obecnie relacje z marszałkiem Hołownią?
– Dobre. Wywiązałem się ze wszystkiego, co obiecałem. Jedną z wiceprezydentek Warszawy została Adriana Porowska z Polski 2050, choć partia nie wywalczyła ani jednego mandatu w Radzie Miasta. Gdy została ministrą w rządzie, na jej miejsce powołałem Jacka Wiśnickiego, również z PL 2050. Wywiązuję się z obietnic.

Pytam pod kątem drugiej tury i przekazania poparcia.
– Nie do końca w to wierzę, że przekazanie poparcia następuje na zasadzie jeden do jednego. Ludzie kierują się własną logiką, bez względu na to, co powie kandydat ich partii. Choć oczywiście chciałbym mieć wsparcie Szymona Hołowni oraz PSL. Od razu i bez żadnych zastrzeżeń. Będę kolegów i koleżanki do tego przekonywać. Liczę na to, że wszyscy wyborcy zachowają się dojrzale.

Gdy słyszę niektórych zaangażowanych lewicowych publicystów, którzy już dzisiaj deklarują, że na 100 proc. nie pójdą głosować w drugiej turze, to mi ręce opadają. Dziwi mnie zakładanie a priori, że nikt do niczego nie przekona, że ktoś w ogóle nie pójdzie do wyborów, że jeden i drugi kandydat to to samo zło.

Taki nasz symetryzm...
– Nie lubię tego terminu, bo jest niesprawiedliwy. Nie mam problemu z tym, że ktoś mnie krytykuje, nawet jeśli używa wyświechtanych kalek typu prawica – lewica. Ludzie po prostu szukają uproszczeń. Ale jeśli ktoś stawia znak równości między mną a Nawrockim i mówi, że ja i on to to samo... Robienie tego, i to z pozycji lewicowych, jest oznaką nie tylko niedojrzałości, ale także skrajnej nieodpowiedzialności. Jeśli ktoś dziś mówi, że w drugiej turze nie zagłosuje ani na jednego, ani na drugiego kandydata, to nie obraża się na mnie, tylko na Polskę i na demokrację.

A gdy trzeba będzie prosić o poparcie elektorat, który głosował na kandydata Konfederacji?
– Część wyborców Konfederacji jest za wolnym rynkiem, ma libertariańskie poglądy. Gdy rozmawiam z takimi ludźmi, to pytam, czy im nie przeszkadza profaszystowska część ich ugrupowania. To, co oni wygadują o kobietach, o Rosji. Moi rozmówcy potrafią tego nie zauważać. Dziwne, prawda? Cóż, nie będę ich jednak pouczać, jak mają postępować. Ale w wyborach w 2020 r. ta libertariańska część Konfederacji zagłosowała na mnie. Spotkałem wiele osób, które mówią: „Pana bardzo lubię, ale w pierwszej turze poprę Mentzena, w drugiej na pewno pana". Pytam ich, dlaczego w pierwszej turze głosują na Mentzena. „Bo on ma dużo kryptowalut, zna się na tym, dla mnie to jest ważne". OK. Rozmawiamy wtedy o kryptowalutach.

Gdy na spotkaniu kobieta pyta mnie, co zrobię z ustawą o aborcji, to odpowiadam, że zliberalizuję. Gdy pyta mnie konfederata, który chce ze mną rozmawiać, a nie tylko zerwać spotkanie, czy mam liberalne podejście, to mówię, że tak, bo naprawdę chodzi o wolność wyboru. Moja opowieść jest właśnie o wolności, a to PiS i Nawrocki chcą was uczyć, jak żyć. Nie jesteśmy hipokrytami, którzy uczą, jak żyć, a potem robią coś

eprasa.pl b89c1dd19d

dokładnie odwrotnego. Zostawiamy wolność wyboru ludziom, chyba że ogranicza ona wolność innych ludzi.

Być może w Europie trzeba będzie ograniczyć działalność sieci społecznościowych.
– Jestem wrogiem wszelkiej cenzury. Powinniśmy uczyć ludzi, jak weryfikować informacje, rozumiem argumenty tych, którzy chcieliby ograniczyć korzystanie z serwisów społecznościowych małym dzieciom. Powinny zajmować się tym w szkole. Wytwory sztucznej inteligencji powinni być oznaczane w portalach społecznościowych. Ale to nie ma nic wspólnego z rozwiązaniami idącymi dalej, które rzeczywiście wprowadzałyby rodzaj cenzury.

PiS w kampanii chce powtórzyć manewr z 2015 r. Znowu wystawili kandydata, który jest stosunkowo nieznany, bliski ludziom. Nie boi się pan, że przejedzie na pasach zakonnicę w ciąży?
– Po pierwsze, jesteśmy w zupełnie innym momencie niż w 2015 r. Mimo że rząd nie jest oceniany idealnie, nie da się wmówić wyborcom, że za wszystkie problemy odpowiada premier Tusk, za inflację i drożyznę w sklepach. Ludzie pamiętają, co się działo za PiS.

Widać, jak bardzo potrzebny w Polsce jest prezydent, który rozstrzygnie te kwestie. Sprawę aborcji, związków partnerskich, ale też pomoże w przygotowaniu szerokiego pakietu dla polskich przedsiębiorców

Trzeba przyznać, że Andrzej Duda potrafił sprzedawać się jako przeciętny obywatel, którego wszyscy lubią. Unikał konfliktów w kampanii wyborczej, zapowiadał, że będzie łączyć Polaków. I miał polityczne doświadczenie, pracował w Kancelarii Prezydenta, był wiceministrem, europosłem. Ten, kto porównuje dziś Nawrockiego do Dudy, nie rozumie polityki. Nawrocki nie tylko nie ma jego talentów, jest osobą nieprawdopodobnie radykalną. Najpierw na ważne pytania odpowiadał, że „nic nie uważa", a gdy już powiedział, co uważa, to włosy stanęły dęba. W sprawie aborcji nie cofnąłby nawet średniowiecznego prawa, które dziś obowiązuje. O tym, co mówił o Ukrainie w NATO, już mówiliśmy.

Uważam, że Polacy się na niego nie nabiorą. To nie jest łączący, wspólnotowy, obywatelski kandydat o umiarkowanych poglądach. To totalny radykał.

Ale sondażowe słupki mu rosną, a panu spadają.
– Od pół roku mówię, że w drugiej turze będzie 50 na 50. Bynajmniej nie po to, by straszyć i mobilizować wyborców. Jesteśmy tak podzieleni, że innego rezultatu nie można się spodziewać. Jeżeli Nawrocki startował z poziomu 20 proc., to nie trzeba geniusza, żeby wiedzieć, że będzie zyskiwał poparcie. Choć jakimś punktem odniesienia na pewno są notowania PiS, a jest to poziom, którego Nawrocki nawet jeszcze nie osiągnął. Jakimś punktem odniesienia są też notowania Platformy i moje. Tyle mogę powiedzieć. Sondaże nie powinny nas usypiać ani denerwować. Ale cały czas nie zapominajmy, że druga tura będzie na żyletki.

Mnożą się informacje, że PiS chce poprosić o wsparcie prezydenta USA Donalda Trumpa i Elona Muska.
– Moim zdaniem prezydent Trump jest zbyt przewidującym politykiem, by angażować się w naszą kampanię.

Ma przyjechać w kwietniu do Warszawy na szczyt Trójmorza, spotka się z Nawrockim, zrobią sobie zdjęcie...
– Nie sądzę, żeby Trump udzielił komukolwiek jednoznacznego wsparcia. Osobiście od lat pielęgnuję dobre relacje zarówno z Republikanami i Demokratami, więc będę robił swoje. Polska jest w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi, a nie z jedną czy z drugą partią polityczną.

Tyle że jako prezydent będzie musiał pan sobie ułożyć relacje z trudnym zawodnikiem, który nie przywykł do budowania partnerskich relacji z kimkolwiek, a na pewno nie z Polską.
– Trump ma transakcyjne podejście do polityki. Zapowiada współpracę z państwami, które najwięcej wydają na bezpieczeństwo. Polska jest liderem takiego podejścia. Trump zachęca do kupowania nowoczesnego amerykańskiego sprzętu. My to robimy. Odłóżmy emocje na bok. Zastanówmy się, co nam się opłaca. Potrafię budować dobre relacje zagraniczne, mam doświadczenie. Nieskromnie powiem, że na osobistym poziomie na pewno będę w stanie zbudować te relacje w bardziej partnerski sposób niż Nawrocki. Bo tu naprawdę trzeba dużo wiedzy i doświadczenia.

A jak Trump powie: „Wybierajcie Polacy: albo Bruksela, albo Waszyngton"?
– Nie powie tak, bo w jego interesie jest, żeby państwo takie jak Polska miało wpływ na to, co się dzieje w Unii. Kto ma przekonywać Europejczyków do współpracy z USA? Jeżeli my będziemy sojusznikiem Trumpa w przekonywaniu krajów w Unii, że powinny wydawać więcej na bezpieczeństwo, to Stany Zjednoczone na tym skorzystają.

Trzeba szukać rozwiązań dających zwycięstwo wszystkim. Jest wiele sytuacji, w których i USA wygrywają, i my wygrywamy. Gdy rozmawiam z doradcami Trumpa, czy z jego współpracownikami, po prostu im mówię, że najgorsze, co moglibyście zrobić, to pozwolić wygrać Putinowi. Bo to po prostu osłabi Amerykę. Niektórzy mówią nawet, że Putin zaatakował Ukrainę dlatego, że uznał sposób wycofania się Stanów z Afganistanu za porażkę i słabość. Moi rozmówcy to rozumieją. Z Trumpem trzeba rozmawiać o realistycznym podejściu do polityki.

W rozpad NATO w czasie kadencji Trumpa pan nie wierzy?
– Nie, dlatego że to się Stanom nie opłaca. Trump analizuje sytuację w Azji, wie, co się dzieje w Chinach. Rozumie strategiczne znaczenie Tajwanu. Zdaje sobie sprawę z tego, że nie może zrobić niczego, co byłoby przez wrogów USA odczytane jako słabość. Kto by się ucieszył, gdyby Trump zgodziłby się na zakończenie wojny na warunkach Putina? Iran, Korea Północna, Chiny. Takie rozwiązanie byłoby wbrew najbardziej istotnemu interesowi Stanów.

Ale to znaczy, że wojna będzie trwała?
– Nie wiem. Czytamy doniesienia, że duża część doradców Trumpa mówi, że trzeba mocno przycisnąć Putina do ściany. Zobaczymy, co przyniesie czas. Zwłaszcza że Trump nie zawsze słucha doradców, często bardziej słucha swojej intuicji. Oczywiście skłamałbym, gdybym powiedział, że nie mam obaw, bo ma je każdy. Trump bywa nieobliczalny, ale wydaje mi się, że na końcu w sprawie Rosji wygra jego racjonalne podejście do polityki. To, że on będzie chciał wygrać tę rozgrywkę. Nie chce przecież sytuacji, że świat szydziłby: ale go oszukali!

Plany na najbliższy tydzień?
– Weekend wyjątkowo spędzę w Warszawie. W piątek przyjmuję delegację merów Europy, bo odbywa się sesja dialogu Komisji Europejskiej z samorządowcami. W weekend mamy 33. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Ale potem jedziemy dalej.

Mam wrażenie, że unika pan dużych miast w kampanii?
– Koncentruję się na 140 miastach średniej wielkości. Przed nami ponad 100 dni, będziemy wszędzie. W każdym z polskich regionów po kilka razy. Racjonalną politykę robi się wśród ludzi, a nie na salonach. ●

WOŚP jest kobietą

Potrafię zrozumieć, dlaczego zbiórkę Owsiaka krytykuje prawica. Ale dlaczego lewica?

Marcin Matczak

Gdyby za porównania dawano Nobla, silnym kandydatem byłoby to: „x jest kobietą", gdzie „x" to abstrakcyjny rzeczownik.

„Sztuka jest kobietą" pisał Flaubert. Potrzebuje oddania i absolutnego poświęcenia. „Wolność i rewolucja to kobiety" głosiły hasła zrywów społecznych i feministycznych. Oczywiście historia, a raczej herstoria, to kobieta, pisała Virginia Woolf. I przyszłość także, żeby nie tkwić w przeszłości tylko.

Niestety, to porównanie bywa seksistowskie. „Demokracja jest kobietą", mówił paternalistycznie Emmanuel Macron, bo jest delikatna i wymaga troski. Mizogini, jak Nietzsche, pisywali, że prawda jest kobietą – bo jest nieuchwytna, zmienna i opiera się męskiemu podejściu do poznania, które zakłada jej absolutną obiektywność. Wtórował temu kpiąco Terry Pratchett: „prawda jest kobietą, albowiem prawda to piękno, a nie przystojność. To dobrze tłumaczy powiedzenie, że kłamstwo może cały świat oblecieć, zanim prawda włoży buty. Musi przecież zdecydować, którą parę włożyć – pomysł, że kobieta z taka pozycją miałaby tylko jedną, wykracza poza granice racjonalnej wiary".

Polityka jednak najwyraźniej kobietą nie jest – Hilary Clinton i Kamala Harris przegrały z supersamczym Trumpem, a u nas w wyścigu prezydenckim jest tylko jedna „rodzynka", żeby użyć adekwatnego feminatywu. Co ciekawe, wygląda na to, że także lewica nie jest kobietą, bo nawet z tą jedną lewicową kandydatką zaczął konkurować lewicowy facet, czyli Adrian Zandberg.

Może dlatego notowania lewicowych kandydatów są tak niskie? Musi być jakaś przyczyna. Może taka, że po lewej stronie często dochodzi do wewnętrznych konfliktów i sprzeczności, nie tylko zresztą ludzkich, ale i logicznych. Lewicowe myślenie o świecie jest tak mocno nacechowane ideologią, że prowadzi do absurdów i ludzie to czują. Ideologia zaciemnia rzeczywistość, zamiast ją rozjaśniać.

Dwa przykłady – pierwszy znowu o kobiecie. Sally Haslanger, znana filozofka feministyczna, sformułowała w 2000 roku definicję, zgodnie z którą x jest kobietą, jeśli jest istotą systematycznie podporządkowaną w wymiarze ekonomicznym, prawnym czy społecznym ze względu na cechy ciała i rolę w rozmnażaniu człowieka. Problem z tą definicją jest taki, jak wskazywali krytycy i krytyczki, że według niej nie była kobietą królowa Elżbieta. Trudno ją wszak uznać za podporządkowaną ekonomicznie, prawnie czy społecznie. Co więcej, jeśli lewica osiągnie sukces i zniesie podporządkowanie społeczne, według tej definicji kobiety przestaną istnieć: podporządkowanie według Haslanger jest ich cechą konieczną. Ideologiczna definicja prowadzi więc do absurdu.

Drugi przykład – Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Potrafię zrozumieć, dlaczego krytykuje ją prawica: nie podobają jej się poglądy Jerzego Owsiaka, poza tym lubi mieć monopol na wydawanie naszych pieniędzy. Ale dlaczego WOŚP krytykuje lewica? Krytyka ta narasta od wielu lat, a jej przykładem są poglądy Jakuba Dymka, znanego lewicowego dziennikarza, który rok temu przy okazji WOŚP nagrał program „Filantropia Polski nie uzdrowi", a w tym roku poszedł już na całość z programem „WOŚP i Owsiak – narodowa duma czy wstyd?". Jego argumenty krytyczne są dwa. Pierwszy – pomoc WOŚP to kropla w morzu potrzeb, niczego nie zmienia. Drugi – WOŚP daje nam fałszywe poczucie, że zadbaliśmy o polską służbę zdrowia, więc nie żądamy systemowych reform.

Pierwszy argument jest z gruntu fałszywy i powtarza prawicowe brednie. Porównuje pieniądze zbierane przez WOŚP (280 mln złotych w zeszłym roku) z budżetem NFZ (prawie dwieście miliardów złotych). Nie mówi, że NFZ płaci za nasze leczenie w przychodniach i szpitalach, za leki refundowane i za milion innych rzeczy, na które WOŚP nie zbiera. Żeby ocenić znaczenie WOŚP, trzeba porównać jej zbiórkę z wydatkami publicznymi na sprzęt w szpitalach, a te nie wynoszą dwieście miliardów, ale trochę więcej niż dwa. Jest więc ideologicznym kłamstwem twierdzenie Dymka, że cała akcja WOŚP odpowiada ośmiu godzinom funkcjonowania państwowego systemu ochrony zdrowia. WOŚP zbiera od 11 do 15 procent wydatków publicznych na sprzęt w szpitalach, a więc daje państwu nie osiem godzin, ale ponad miesiąc, w którym może ono skupić się na innych potrzebach.

Drugi argument jest podobnie absurdalny. Skoro nasz udział w WOŚP wyręcza, a więc osłabia państwo, to – kontynuując to myślenie – nie powinniśmy sadzić z dziećmi drzewek, kupować gaśnic ani przeprowadzać babci przez ulicę. Sadzenie drzew jest według myślenia Dymka groźne, bo wyręcza i osłabia Lasy Państwowe, pomijając fakt, że jest kroplą w morzu potrzeb. Bo czymże jest wartość nędznej sadzonki wobec 12 miliardów budżetu Lasów? Podobnie nie należy kupować dodatkowych gaśnic, bo to usypia Straż Pożarną i także niczego nie daje: gaśnica kosztuje niecałe dwie stówki, a budżet Straży to 5 miliardów. Oczywiście przeprowadzanie babci przez pasy także jest szkodliwe, bo wyręcza policję i pomoc społeczną. Nie ważcie się tego robić.

Argumenty te są tak idiotyczne, że jedynym ich wytłumaczeniem może być ideologia – niezachwiana wiara lewicy w troszczące się o wszystko państwo i jej krytyka prywatnej, indywidualnej zaradności ludzi, którym się jeszcze chce.

Oczywiście potrzebujemy zmian systemowych. Między dwoma programami Dymka minął jednak rok, a oprócz krytyki WOŚP nie pojawiły się tam żadne nowe propozycje reform, na przykład wprowadzenia konkurencji dla NFZ, zracjonalizowania wydatków na leczenie, które bez żadnej profesjonalnej kontroli ponosimy z własnej kieszeni czy oddłużenia szpitali.

„Trzeba dolać kasy" – słyszymy. Między innymi wziąć tę, którą ludzie wpłacają Owsiakowi, państwo wykorzysta ją lepiej. Tak? Kiedy to dolanie wody do dziurawego wiadra w czymkolwiek pomogło?

Na szczęście Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy jest kobietą. I wcale nie dlatego, że troszczy się o chorych. Dlatego, że od wielu lat nie przejmuje się krytyką, robi konsekwentnie swoje i zmierza do wyznaczonego przez siebie celu. Nawet jeśli jest krytykowana nie tylko z prawej, ale – co szczególnie zaskakujące – z lewej strony. ●

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

ZJEDNOCZONY FRONT GAŚNICOWY

Czy Grzegorz Braun zmarginalizuje Mentzena, zmobilizuje Bosaka i przesadzi radykalną prawicę z jednej na kilka kanap

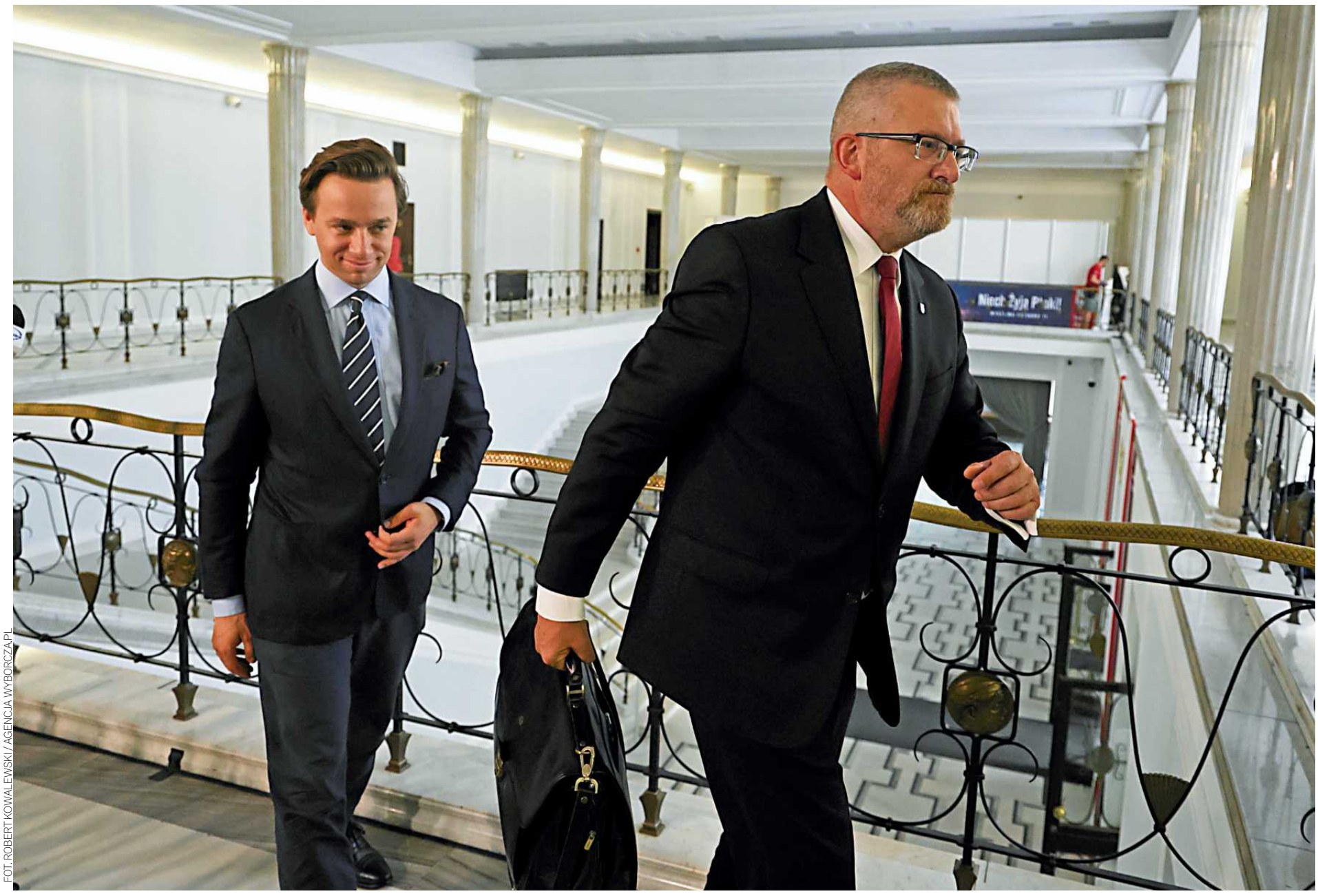

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Konfederaci: wicemarszałek Krzysztof Bosak (z lewej) i poseł Grzegorz Braun przed konferencją prasową pt. „Adam Bodnar do dymisji". Sejm, 9.09.2024 r.**

Piotr Głuchowski

Awantura u konfederatów zaczęła się od tego, że 12 stycznia na dziedzińcu Wawelu europoseł Konfederacji Korony Polskiej Grzegorz Braun, który wcześniej określał nasz kraj jako „niemieckie kondominium pod tymczasowym żydowskim zarządem powierniczym", a ostatnio mówi krócej: „Ukro-Polin", spotkał się ze zwolennikami, aby porozmawiać o wyborach prezydenckich. – Przed nami w styczniu rejestracja komitetu, w lutym-marcu zbiórka podpisów, oczywiście proszę wszystkich o stachanowskie tempo, żeby było w cuglach, a nie za pięć dwunasta... – mówił na tle renesansowych arkad, nie precyzując, o który komitet (i którego kandydata) mu chodzi.

Niezorientowani mogliby sądzić, że chodzi o doktora Sławomira Mentzena, którego Konfederacja jako całość wskazała na najwyższy urząd. Ci, którzy znają Brauna, wiedzieli jednak od razu, że coś się szykuje. Choć władze Konfy próbowały udawać, że nic.

– Prezes Mentzen zgodnie z ubiegłoroczną uchwałą Rady Liderów Konfederacji, w której zasiada też Grzegorz Braun, jest wspólnym i jedynym kandydatem całej naszej formacji – powiedział mi we wtorek 14 stycznia rzecznik Nowej Nadziei Wojciech Machulski.

– Nie obawiacie się, że Braun zgotuje wam rozłam?

– Moim zdaniem to, co pan Grzegorz powiedział w Krakowie, to nie żadne konkrety, tylko prężenie muskułów. On przecież wcześniej powtarzał, że jest „konfederackim patriotą", że na Konfederację trzeba „chuchać i dmuchać". Nie zamierza więc chyba nas rozbijać? Bo gdyby się zdecydował na samodzielny start, to byłoby równoznaczne z odejściem.

Tutaj trzeba wyjaśnić: cieszącą się aktualnie 13-procentowym poparciem koalicję o nazwie Konfederacja Wolność i Niepodległość (KWiN) sami jej członkowie określają jako „partię parasolową" kryjącą trzy podmioty. Największym jest Nowa Nadzieja („wolnościowcy" złośliwie nazywani przez Brauna „darwinistami"). To spadkobierczyni Unii Polityki Realnej i Kongresu Nowej Prawicy, w której Janusza Korwin-Mikkego zastąpił na fotelu prezesa Mentzen. NN ma ośmioro posłów i troje europosłów. Nieco mniejszy jest Ruch Narodowy, którym kieruje Krzysztof Bosak – narodowcy mają siedmioro parlamentarzystów w Warszawie i dwoje w Brukseli. Trzeci składnik to właśnie Konfederacja Korony Polskiej z trzema posłami i jednym europosłem, czyli samym Braunem. KKP wykluła się z poprzedniej partii reżysera – ruchu Pobudka, który zasłynął głównie chwytliwym hasłem: „Kościół – szkoła – strzelnica – mennica". W zarządzie koalicji, czyli Radzie Liderów KWiN, Nadzieja ma cztery głosy, Ruch – trzy, Korona – dwa.

– Jeżeli Braun wystartuje, pewnie część „koroniarzy" odpadnie od Konfederacji, lecz reszta to przeboleje – powiedział mi jeden z posłów Nadziei.

•

Wywodzący się z Małopolski ród Braunów wydał wiele sławnych córek i synów.

Dziad Grzegorza Juliusz Henryk Braun, członek przedwojennej Akcji Katolickiej, walczył ochotniczo w kampanii wrześniowej, działał w konspiracji, siedział w stalinowskim więzieniu, a po sierpniu 1980 r. udzielał się w „Solidarności", za co został rok później internowany, mając lat 77. Udało mu się dożyć wolnej Polski – zmarł w 1990 r.

Dziećmi Juliusza Henryka są: Teresa Braun zwana „Terelizą" – działaczka społeczna i założycielka polskiej sekcji ruchu humanitarnego Czwarty Świat (stryjenka europosła); Maria Braun-Gałkowska – profesor psychologii (druga stryjenka); Juliusz Braun – były prezes TVP, były przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji oraz członek Rady Mediów Narodowych (stryj); profesor Kazimierz Braun, reżyser spektakli teatralnych, były dyrektor Wrocławskiego Teatru Współczesnego (ojciec polityka). Z małżeństwa Kazimierza Brauna z teatrolożką i dziennikarką Zofią Re-

eprasa.pl b89c1dd19d

klewską narodziło się prócz Grzegorza jeszcze dwoje dzieci: Monika – dzisiaj aktorka i pisarka, oraz Justyna – nauczycielka akademicka.

Grzegorz Michał przyszedł na świat w roku 1967 w Toruniu. – Był zdolnym uczniem, małym erudytą, typowym dzieckiem dwójki intelektualistów – mówi mi jego starsza o pokolenie krewna. – Dziś dopisują mu w biografii działalność w opozycji, ale to bardziej legenda. Studiując we Wrocławiu polonistykę, wziął udział w strajku studenckim pod koniec lat 80. – i to by było tyle. Chyba miał problem z tym, że z racji wieku nie załapał się na prawdziwą walkę z komunizmem, stąd jego późniejszy radykalizm. Nie tylko polityczny. Czasami mówił o sobie, że jest „posłańcem złych nowin". To mu sprawia jakąś przewrotną satysfakcję – pisanie o ludziach źle. Wyspecjalizował się w wydobywaniu cieni z ludzkich życiorysów.

– Był od młodego gorliwym katolikiem?

– Nie za bardzo. Dom Kazimierza i Zofii był domem ludzi wierzących, ale oboje wyjechali do Stanów Zjednoczonych, gdy Grzegorz jeszcze studiował. Musiał więc dosyć szybko osiągnąć samodzielność. Po obronie pojechał nawet na rok do rodziców, lecz Stany mu nie pasowały – wrócił. Poznał dziewczynę, przez lata żyli w nieformalnym związku – jakoś nie odczuwał wówczas potrzeby zawarcia sakramentu. Dopiero gdy poznał inną panią – Aleksandrę – wzięli ślub, i to w rycie rzymskim. Przedsoborowy. Cały Grzegorz: jak już w coś wejdzie, to nie może być zwykłe, przeciętne. On musi być sprawczy, oryginalny i nietuzinkowy w demonstracyjny sposób.

•

Ukończywszy na piątkach wrocławską polonistykę, młody Braun zatrudnił się na cztery lata w redakcji „Frondy", oryginalnego pisma tworzonego przez młodych katolików „rebeliantów", zaczepnych i jak ognia unikających kościółkowego języka. Jednocześnie prowadził na macierzystym uniwersytecie zajęcia z dziennikarstwa, dorabiał jako lektor, podkładając dubbing, skończył też podyplomowo reżyserię na Uniwersytecie Śląskim.

Telewizyjno-filmową karierę zaczął od spektakli Teatru Telewizji. Specyficzną sławę w środowisku przyniósł mu film dokumentalny „Plusy dodatnie, plusy ujemne" – o Lechu Wałęsie jako agencie „Bolku". Braunowi udało się go stworzyć w ramach i za pieniądze TVP, choć telewizja nigdy obrazu nie wyemitowała – nie przeszedł kolaudacji. Kulminacyjną scenę można jednak obejrzeć na YouTubie. W kilku wersjach ma ponad 100 tys. wyświetleń.

38-letni reżyser (jeszcze bez brody i chłopięco szczupły) wchodzi do gdańskiego gabinetu byłej głowy państwa: – Panie prezydencie, przyjechaliśmy spytać o sprawę tajnego współpracownika „Bolka"... Wałęsa (najpierw zaskoczony, potem zdenerwowany): – Wie pan... dla mnie to hańbą jest, że paru niepoważnych ludzi, którzy nie potrafili walczyć, którzy nie mają takich osiągnięć, zmusili mnie, człowieka, który oddał wszystko, postawił rodzinę i siebie, był gotów zginąć za walkę z komunizmem, że zmusili mnie do tłumaczenia się. Że wyszukano jakieś fałszywe papiery przez bezpiekę robione...

Braun (z wystudiowanym spokojem): – Mówi pan o fałszywkach bezpieki. Chciałem zapytać, jak pan ocenia te dokumenty?

Reżyser wręcza siedzącemu w fotelu nobliście kopie donosów „Bolka". Były prezydent – nie zaglądając do środka – z miejsca zaczyna je drzeć: – Tak oceniam! Wystarczy panu?! Nawet pan nie pomyśl, kiedykolwiek, że Wałęsa mógł być po tamtej stronie!!! Dziękuję. Zwijać żagle i nie ma was! Jak może śmieć pytać mnie: który pokonał komunizm?! Jak może śmieć pytać o takie rzeczy?!

Ekipa Brauna wychodzi.

•

– Wręczenie Wałęsie kwitów „Bolka" było pierwszym znanym działaniem – nazwijmy to – polityczno-artystycznym w wykonaniu Grzegorza – mówi mi krewna. – W podobnych kategoriach rozpatrywałabym późniejsze happeningi ze zgaszeniem świec chanukowych na czele. Jednym z jego ulubionych bohaterów historycznych jest Tadeusz Reytan. Chodzi o siłę gestu, który ma przejść do historii.

– Po incydencie z Wałęsą Braun zaczął być rozpoznawalny w światku reżyserów – dodaje Jacek Gwizdała, który 28 lat temu wyprodukował słynny i długo zakazany dokument o sprzedawcach Amwaya, zaś ostatnio wyreżyserował film o radomskim Czerwcu '76. – Gdy telewizja odmówiła mu emisji „Plusów dodatnich...", nawet mnie pytał, czy nie mam dojść, by zmienić wyniki kolaudacji. Niestety, nie mogłem mu pomóc.

Pomógł – choć w inny sposób – Jacek Sarnacki, reżyser licznych dokumentów (m.in. „Był sobie Gdańsk"), a także serialu „Warto kochać". 79 odcinków tej produkcji Telewizja Polska emitowała popołudniami w latach 2005-06. – Robiliśmy to we Wrocławiu, pracy było mnóstwo i szukaliśmy kogoś do pomocy – mówi mi Sarnacki. – Zgłosił się Grzegorz, który właśnie skończył film o Wałęsie. Zgodziłem się go przyjąć na współrealizatora.

– Sprawdził się?

– Tak. Nie można było na niego narzekać, choć był specyficzny. Są różne sposoby reżyserii, jego styl był dyrektywny, nakazowo-rozdzielczy. Codziennie raportował kierownictwu produkcji jakieś błędy ekipy. Ale pracował bez zarzutu – w określonym czasie powstawał określony twór, a o to w końcu chodzi. Ciekawostka: filmowcy są często barwnymi postaciami, on był taki... surowy. Chodził z czerwonym kontenerkiem na drugie śniadanie, trzymał w nim również długopisy, notatnik, scenariusz. Nikogo nie indoktrynował. Był też bardzo oszczędny w słowach, jeśli chodzi o życie prywatne. Nic o sobie nie mówił. Taki człowiek osobny.

•

Po zakończeniu „Warto kochać" Braun związał się z późniejszą cichą eminencją PiS w polskim filmie – Robertem Kaczmarkiem. Ten w czasach „dobrej zmiany" wpierw został powołany do rady programowej Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, a potem na dyrektora Filmoteki Narodowej. Przede wszystkim jednak od 2005 r. prezesuje prywatnej wytwórni Film Open Group. Firma i on osobiście produkowali albo współprodukowali takie filmy Grzegorza Brauna, jak „Marsz wyzwolicieli" (o napaści Sowietów na Polskę w 1939 r.), „Towarzysz generał" (o Wojciechu Jaruzelskim przedstawionym jako sowiecki agent denuncjujący po wojnie antykomunistyczne podziemie i własnych kolegów z ludowego wojska) czy „Zamach Smoleński" (wiadomo, o czym mówiący).

Specjalne miejsce w dorobku wytwórni zajmuje cykl dokumentów „Errata do biografii", w których Braun – we współpracy z historykiem z IPN Sławomirem Cenckiewiczem – zarzuca znanym Polakom współpracę z komunistycznymi służbami specjalnymi. Zlustrował w ten sposób m.in. popularnego językoznawcę prof. Jana Miodka, który oskarżył filmowca o zniesławienie i wygrał w sądzie. We wrześniu 2009 r. Braun został zobowiązany do wypłaty 20-tysięcznego zadośćuczynienia i przeprosin, ale już na wokandzie w sali Sądu Najwyższego zapowiedział, że tego nie zrobi. Mój rozmówca, reżyser: – Kiedy adwokat profesora Miodka chciał ściągnąć należność, okazało się, że Grzegorz jest niewypłacalny. Miał na koncie bodajże 3 tys. zł.

> „Mentzen najpierw wyeliminował Korwina, potem podporządkował sobie Bosaka. Bo mu Kaczyński już dawno proponował, że zrobią koalicję" – tłumaczy frondę i start prezydencki Brauna Karol Klimczak, redaktor naczelny serwisu Chrobry Szlak

Sporo później, gdy w 2019 r. został członkiem Sejmu, w oświadczeniu majątkowym zadeklarował 11 tys. zł. oszczędności. Domu, mieszkania czy choćby samochodu – brak. W kolejnych latach kwoty zrobiły się nieco wyższe. Z najnowszego oświadczenia złożonego w roku 2024 (co ciekawe, Braun w rękopisie używa wyłącznie wielkich liter) wynika, że miał wówczas 5 tys. zł oszczędności, niecałe 3 tys. dolarów, do tego książki. W pozostałe rubryki – aż do strony 18. – wpisał „nie dotyczy", natomiast na stronie 19., w dziale „inne dochody", zamieścił odręczny protest: „Z TYTUŁU WYKONYWANIA MANDATU POSŁA OTRZYMAŁEM TYLKO CZĘŚĆ UPOSAŻENIA, ŁĄCZNIE 67 TYS. PLN, Z POZOSTAŁEJ CZĘŚCI I TZW. DIET BYŁEM SYSTEMATYCZNIE OKRADANY PRZEZ PREZYDIUM SEJMU, ŁĄCZNIE W UBIEGŁYCH LATACH IX KADENCJI SEJMU NA SUMĘ 270 TYS. PLN".

Autorowi chodzi o kary regulaminowe – zbierał je m.in. za grożenie śmiercią ministrowi zdrowia czy słynne spryskanie gaśnicą żydowskiej chanukiji [patrz ramka z „akcjami" Brauna].

Co do reszty dochodów: w roku podatkowym 2023 poseł filmowiec uzyskał z tytułu praw autorskich nieco ponad 45 tys. zł. Niewiele, jak na kogoś, kto nakręcił ponad 25 filmów i napisał prawie 20 książek. Ich tytuły mówią same za siebie: „Rok w kondominium" (chodzi oczywiście o to pod żydowskim zarządem powierniczym), „Świat według Brauna", „Zakazana historia Polski"...

Krewna: – Póki nie został europosłem, raczej nie śmierdział groszem, ale nie określiłabym go jako ubogiego. Bieda to stan umysłu. A Grzegorz się po prostu pieniędzmi nie przejmuje. Dla niego liczy się, jak sam mawia, walka o prawdę. Ja wolę określenie: demaskacja.

W ramach tej demaskacji Braun poddawał lustracji nie tylko żyjących i nie tylko Polaków. W 2017 r. nakręcił film o Marcinie Lutrze, przedstawiając ojca Reformacji jako mordercę, który stał się mnichem nie z powołania Bożego, ale dla uniknięcia kary za zabójstwo. Rok później zaprezentował dzieło w pustelni-świątyni suspendowanego księdza Piotra Natanka w małopolskiej Grzechyni. Z Agnieszką Jezierską – mistyczką, która ma utrzymywać osobisty kontakt z osobami boskimi – wygłosił prelekcję przeciw dialogowi ekumenicznemu, mieszając z błotem protestantów i podważając prawomocność Soboru Watykańskiego II.

•

Jaką widownię miały filmy Brauna – trudno oszacować, bo żaden nie trafił do kin. Wiele z nich można oglądać za darmo w internecie – mają po kilkanaście-kilkadziesiąt tysięcy wyświetleń. Część była rozprowadzana na płytach DVD przez sieciowe księgarnie prawej strony. Niektóre – jak „Poeta pozwany", dokument o sądowym sporze Jarosława Marka Rymkiewicza z wydawcą „Wyborczej", ukazywały się jako dodatki do „Gazety Polskiej".

Ostatnim obrazem, który wyreżyserował Braun, jest pochodzący sprzed roku „Gietrzwałd 1877. Wojna światów" – rzecz poświęcona XIX-wiecznym objawieniom maryjnym w tytułowej miejscowości na Warmii i jej aktualnym kontekstom. Od czasu premiery tego filmu reżyser – jak można wywnioskować z zapisu aktywności na stronie facebookowej – chwilowo odłożył kamerę. Jeździ po Polsce powiatowej, promuje „Gietrzwałd" w kościołach, parafiach, domach kultury i magistrackich salach posiedzeń, a przy okazji przedstawia swój program dla kraju i wizję rzeczywistości. Na jedno z takich filmowych spotkań (w połowie stycznia w kościele św. Antoniego w Mińsku Mazowieckim) wybrał się dziennikarz stołecznej „Wyborczej" Rafał Górski.

„Już w pierwszych sekundach wyświetlana jest sekwencja scen krytykująca szczepionki, Ukrainę i LGBT. Na ekranie przewija się COVID-19, izolacja, wojna, otwarcie igrzysk olimpijskich w Paryżu (kontrowersyjny performance „Ostatnia wieczerza"). Kolaż ujęć z offu komentuje Braun. Tłumaczy, że wydarzenia z 1877 roku mają analogie do współczesności, gdzie toczy się walka o rząd dusz".

Po projekcji reżyser proponuje zakup książek wydawanych przez jego Fundację Osuchowa (od mazowieckiej wsi, miejsca objawień Matki Bożej). Można nabyć takie tytuły, jak: „Polska Palestyną Europy" autorstwa Krzysztofa Balińskiego, PRL-owskiego jeszcze dyplomaty, obecnie publicysty flirtującej z antysemityzmem „Warszawskiej Gazety"; „Fałszywa pandemia" – zbiór opinii lekarzy kwestionujących istnienie COVID-19; „Bestseller o korzeniach Unii Europejskiej", z którego wynika, że „założyciele UE pracowali na rzecz obcych interesów, tworząc Europę bez korzeni, bez duszy, bez ciała – tę, która stoi dziś przed naszymi oczami, każdego dnia coraz bardziej naga".

Przy okazji Braun daje też własne wykłady o Unii, czyli „eurokołchozie", który wypłaca mu jako brukselskiemu posłowi przeszło 40 tys. zł miesięcznego uposażenia, 1,5 tys. zł „diety pobytowej" za każdy dzień spędzony w Brukseli lub Strasburgu plus 20 tys. miesięcznej diety „na pokrycie kosztów wykonywania mandatu w macierzystym państwie". Za te ostatnie pieniądze Braun sfinansował m.in. wystawione w grudniu przy drogach szybkiego ruchu billboardy z gaśnicą, księdzem, rabinem i pytaniem: „Chanuka czy Boże Narodzenie – Europo! Wybór należy do ciebie!".

– Czym jest eurokołchoz? – spytał zwolenników zebranych 8 stycznia w sali sesyjnej starostwa w wielkopolskim Ostrzeszo-

eprasa.pl b89c1dd19d

„Rozmaite, powiedzmy, akcje w moim wykonaniu". Czym zasłynął Grzegorz Braun

• We wrześniu 2021 r. na sali plenarnej Sejmu Grzegorz Braun publicznie zagroził śmiercią ministrowi zdrowia w rządzie Zjednoczonej Prawicy Adamowi Niedzielskiemu, kierując doń słowa: „Będziesz pan wisiał!". Prezydium izby niższej wymierzyło mu najwyższą możliwą karę: obcięcie poselskiej pensji o 50 proc. i odebranie diet na pół roku. W tym samym tygodniu sympatycy Brauna zorganizowali internetową zrzutkę, która przyniosła posłowi 120 tys. zł.

• W lutym 2022 r, po ataku Rosji na Kijów, poseł Braun zaapelował na Twitterze, by nie przyjmować „nachodźców", tylko rozdać Polakom broń. Z grupą zwolenników wtargnął do magistratu w zachodniopomorskim Goleniowie i zdarł flagę Ukrainy, co wytłumaczył jako „interwencję poselską w sprawie wywieszonej na urzędowym budynku flagi obcego państwa".

• W styczniu 2023 r. Braun wyniósł i wyrzucił do kosza na śmieci choinkę stojącą w holu Sądu Okręgowego w Krakowie. Powodem zniszczenia były znajdujące się na drzewku bombki: tęczowe, z gwiazdkami Unii Europejskiej oraz w kolorach flagi Ukrainy.

• W maju tego samego roku reżyser przerwał wykład prof. Jana Grabowskiego o Zagładzie odbywający się w siedzibie Niemieckiego Instytutu Historycznego. Rozbił mu pod nosem mikrofon, ciosem karate wyłamał kostkę zasilającą głośnik, po czym nakazał Grabowskiemu, potomkowi ocalonych z Holocaustu, „wynosić się z Polski".

• 12 grudnia 2023 r. Braun zgasił z pomocą gaśnicy proszkowej zapaloną w sejmowym holu chanukiję **(na zdjęciu)**. To dziewięcioramienny świecznik żydowski zapalany z okazji kolejnych rocznic ponownej konsekracji Świątyni Jerozolimskiej. Happening potępili zgodnie ambasador USA, naczelny rabin Polski oraz Episkopat. Nazajutrz na wniosek Mentzena Braun został zawieszony w prawach członka klubu Konfederacji i dostał zakaz wypowiadania się z mównicy sejmowej na czas nieokreślony (co zlekceważył). Prezydium Sejmu ponownie sięgnęło po najwyższą możliwą karę finansową, a zwolennicy Brauna znowu uruchomili kwestę. Tym razem wpłynęło 220 tys. zł, ale na fali powszechnego oburzenia serwis Zrzutka.pl zablokował większą część tej kwoty, by zwrócić donatorom.

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wie. – To rozbudowany system korumpowania elit narodowych. Gdyby go nie było, to trudno by było was namówić do tego, by płacić za różne rzeczy drożej, a nie taniej, bo „planeta spłonie". Żeby zaakceptować taki preliminarz, wedle którego polskie rolnictwo ma zniknąć, abyśmy musieli importować wszystko z Ukrainy albo z Argentyny. Byście się nie zgodzili. Dlatego kołchoz nawet nie próbuje ludzi przekabacać, tylko zaczyna od góry, rekrutując zdrajców i sprzedawczyków, proponując im synekury. I do tego tylko eurokołchoz służy. Żeby brali pensje ludzie, którzy przegłosują zdradę narodową.

Dla Brauna brukselski „kołchoz" to niejedyne miejsce pracy. Polityk jest współtwórcą, faktycznym szefem, beneficjentem rzeczywistym bądź członkiem rady w kilku pobożnych fundacjach. Pierwszą jest ubiegająca się o dobrowolne półtora procentu z PIT, zarejestrowana w Warszawie Fundacja Osuchowa. Prezesuje jej Włodzimierz Skalik, poseł Korony, wcześniej w Pobudce. Druga ma właśnie taką nazwę – Fundacja Pobudka. Też się mieści w stolicy i ma „zabezpieczać przyszłość łacińskiej cywilizacji". Trzecia to mieszcząca się w Częstochowie Fundacja Konfederacja Gietrzwałdzka (FKG). Jej celem jest „szerzenie świadomości dziejowego znaczenia wydarzeń w Gietrzwałdzie". W niej także prócz Brauna siedzi Skalik. Czwarta fundacja to Polskie Veto, gdzie Braun i Skalik zasiadają w radzie… i tak dalej. Wedle moich ustaleń polityk i reżyser nie zarabia na tym wszystkim wiele. FKG przykładowo podaje na stronie: ile zebrano na produkcję filmu, kto wpłacił i ile z tego Braun wydał. Kwota oscyluje wokół pół miliona. Ciekawszy jest zawieszony na stronie fundacji strzelisty „Akt Konfederacji Gietrzwałdzkiej", który w latach 2018-19 podpisało kilkudziesięciu działaczy katolickich, narodowych i alt-prawicowych.

Ze wstępu: „Wyrażamy szczerą wolę poddania naszego życia prywatnego i publicznego panowaniu Chrystusa Króla Polski oraz Jego Najświętszej Matki, Królowej Polski. Przy czym Ich władzę nad sobą pojmujemy całkowicie realnie, bynajmniej nie tylko symbolicznie". Poza Braunem akt podpisali m.in. Krzysztof Bosak, profesor, filozof i monarchista Jacek Bartyzel, były szef ONR Przemysław Holocher, były szef Marszu Niepodległości Robert Bąkiewicz, „obrończyni życia" Kaja Godek oraz… doktor Mentzen.

•

Od chwili, gdy Braun odwiedził Wawel, wyreżyserowane przezeń napięcie zaczęło się podnosić. Wieczorem na stronie KKP pojawił się wzór karty do zbierania podpisów z nagłówkiem: „W wyborach zarządzonych na 18 maja 2025 udzielam poparcia kandydatowi na prezydenta Grzegorzowi Michałowi Braunowi". Po kilku godzinach został zdjęty. Nazajutrz (oraz kolejnego dnia) rzeczniczka KKP Marta Czech nie odbierała telefonów. Tymczasem były naczelny telewizji internetowej wRealu.24 Piotr Szlachtowicz zamieścił w serwisie X cztery zdania: „To już pewne! Grzegorz Braun będzie startował w wyborach na Prezydenta RP! Tę informację potwierdził mi osobiście Mirosław Piotrowski. Dzieje się!".

Piotrowski – historyk z KUL, były europoseł Ligi Polskich Rodzin, później PiS i prelegent Radia Maryja – to bliski współpracownik Brauna. Reżyser umieścił go w rzędzie 12 osób, które nazywa „drużyną" i których wizerunki otwierają jego facebookową stronę. Symbolem drużyny jest gaśnica. Piotrowski również startował na prezydenta – w wyborach 2020 r. zdobył 0,1 proc. głosów. Później wraz z Braunem i byłym działaczem Porozumienia Centrum, pierwszej partii Jarosława Kaczyńskiego, a obecnie publicystą „Do Rzeczy" (i też drużynnikiem) Włodzimierzem Korab-Karpowiczem sygnowali „Apel o pokój w Europie Środkowej".

Tekst przedstawiający Ukrainę i NATO jako agresora, a Rosję jako ofiarę został odczytany przez megafon pod kolumną Zygmunta podczas marszu tzw. kamratów Wojciecha „Jaszczura" Olszańskiego na warszawski Zamek Królewski w czerwcu 2022 r. Fragmenty: „Podstawowym czynnikiem, jaki stoi często u powodów wojen, jest strach. W tym wypadku jest to strach Rosji przed rozszerzeniem się NATO. Innym z powodów obecnej wojny, o czym się mniej mówi, jest wprowadzenie w ukraińskim prawie zmian dyskryminujących rosyjską mniejszość językową. To doprowadziło do referendum na Krymie i do wojny w Donbasie. Obecna wojna jest więc konsekwencją niewłaściwej polityki wewnętrznej [Ukrainy]".

Miesiąc po upublicznieniu apelu Braun zwołał w Sejmie zespół ds. stosunków międzynarodowych i przedstawił broszurę „Stop ukrainizacji Polski". Można w niej przeczytać, że nawet co piąty mieszkaniec kraju jest już Ukraińcem, a ucieczka naszych sąsiadów przed wojną jest w rzeczywistości „wielkim przesiedleniem", które ma sprawić, że Polska już nie będzie polska.

Dwa miesiące po tej imprezie – we wrześniu 2022 r. – Braun wziął udział w organizowanej przez Alternative für Deutschland berlińskiej konferencji, na której sformułowano apel o odejście od sankcji wobec Rosji, zniesienie dopłat do produkcji zielonej energii oraz o likwidację „ideologicznego opodatkowania paliw kopalnych". Współorganizatorami briefingu byli m.in.: Rościsław Teśluk, były oficer rosyjskich sił powietrznych, który w Niemczech zmienił nazwisko na Schlund; jego partnerka, która zorganizowała tam zbiórkę na sprzęt łączności dla rosyjskiej armii; Wiaczesław Seewald – gospodarz internetowego niemieckojęzycznego kanału „Fanklub Władimira Putina"; oficer GRU znany pod operacyjnym nazwiskiem Jeremienko.

W tym samym miesiącu Braun zorganizował w Warszawie około 200-osobową manifestację przeciw ukraińskim „nachodźcom". Na przemarsz zwrócili uwagę dziennikarze programu pierwszego moskiewskiej telewizji państwowej. Oglądam relację, która dotarła do 98 proc. rosyjskich telewidzów: uczestnicy pochodu z biało-czerwonymi flagami (i jedną trójkolorową – rosyjską) skandują: „Tu jest Polska, nie Bruksela, tu Bandery się nie wspiera!". Potem kamera pokazuje Brauna wzywającego widzów: – Zatrzymajcie ukrainizację Polski, zatrzymajcie depolonizację!

Migawki z marszu i wystąpienie posła reżysera stały się – niezależnie od emisji w wieczornych wiadomościach Rossija 1 – także kanwą programu publicystycznego naczelnej propagandzistki Kremla Olgi Skabijewej. Ta jeszcze podkręciła wymowę wydarzenia, mówiąc na tle obrazków z Warszawy: – Niezgadzający się z polityką rządu obywatele Polski uważają, że wsparcie dla Ukrainy uderza ich po kieszeni. Żądają, aby władze przestały maskować własne złodziejstwo pomocą dla Ukraińców.

Słabość Brauna do putinowskiej Rosji nie zaczęła się jednak wraz z ostatnią wojną.

•

Jeszcze przed pełnoskalowym atakiem Rosji na Kijów reżyser – jako jedyny na sejmowej sali – głosował przeciw uchwale o wsparciu dla Ukrainy. 8 lutego 2022 r. jako jedyny konfederat nie poparł rezolucji potępiającej skazanie na Białorusi na wiele lat łagru dziennikarza „Wyborczej" Andrzeja Poczobuta.

Wcześniej, bo w roku 2018, poleciał do Moskwy, gdzie spotkał się – i nieopatrznie dał sfotografować – z Agnieszką Piwar i Leonidem Swiridowem. Piwar, która 10 lat temu pracowała w sztabie Brauna, gdy po raz pierwszy startował na prezydenta, jest wieloletnią dziennikarką rosyjskiej, adresowanej do zagranicy agencji informacyjnej Sputnik. Do tego znajomą Aleksandra Łukaszenki i dobrą koleżanką sądzonego za szpiegostwo Mateusza Piskorskiego, byłego lidera partii Zmiana. Agnieszka Romaszewska-Guzy, która przez wiele lat szefowała Biełsat TV, nazywała ją „moskiewską najmitką". Swiridow z kolei był w latach 90. białoruskim korespondentem Kanału 1, głównej anteny rosyjskiej telewizji państwowej. W 1997 r. przeniósł się do Pragi, skąd wydalono go z powodu podejrzeń o szpiegostwo. Gdy wyjechał do Polski, sytuacja się powtórzyła. Nasz resort dyplomacji na wniosek ABW odebrał mu akredytację. W retorsji wydalono z Rosji korespondenta „Wyborczej" Wacława Radziwinowicza.

Warto też zwrócić uwagę na ekspertów, którzy tłumaczą rzeczywistość w filmie „Gietrzwałd 1877". To Erik Lehnert, działacz niemieckiej AfD, i prof. Jewgienij Siergiejew, prezes Rosyjskiego Stowarzyszenia Historyków, który za właściwą interpretację historii odebrał od Władimira Putina order honoru.

– Braun jest niewątpliwie rozgrywany przez Rosjan i ma swoją rolę do odegrania – mówi mi Grzegorz Rzeczkowski, dziennikarz śledczy „Newsweeka", autor książki „Szpiedzy Putina. Jak ludzie Kremla opanowują Polskę". – Jego działania polityczne właściwie w 100 proc. wpisują się w strategiczne cele Moskwy wobec naszego kraju. Znane są również jego kontakty z ludźmi i organizacjami związanymi z rosyjskim wywiadem. Choćby z Fundacją Gorczakowa.

To ta fundacja – w której władzach zasiadają lub zasiadali m.in. były szef Służby Wywiadu Zagranicznego za Jelcyna, później „kryzysowy" premier Jewgienij Primakow i były agent KGB w Niemczech Nikołaj Tokariew – finansowała wyjazdy polskich dziennikarzy i polityków Konfederacji m.in. do Czeczenii, aby tam podziwiali dzieło odbudowy.

– Braun jawnie działa na rzecz Rosji i jest z tego dumny – mówi mi inny tropiciel rosyjskich powiązań, współpracownik rządowej komisji ds. badania wpływów rosyjskich i białoruskich pisarz Tomasz Piątek. – Wystarczy chyba wspomnieć jego rozpętaną jeszcze w 2024 roku akcję przeciwko rzekomej „banderyzacji".

W jej ramach reżyser wygłosił parę prelekcji i wrzucił do sieci kilka filmów. Odpalam pierwszy z brzegu. Braun mówi do kamery: – Resort edukacji zabiera się za ukrainizację polskiej przestrzeni publicznej od strony szkoły. Dzieci i młodzież mają uczestniczyć w propagowaniu tak zwanego komponentu ukraińskiego. A więc polska młodzież ma być wychowywana w kulcie teoretyków i praktyków ludobójstwa [na Wołyniu]. To zdrada!

Mniej więcej to samo mówił w Sejmie, gdy 8 lutego nowelizowano przepisy ustawy o pomocy obywatelom Ukrainy (Konfederacja głosowała przeciw): – Szczęść Boże! Polski rząd i Sejm z Senatem rade by nieba przychylić, ale nie nam, tylko obcokrajowcom, którzy traktują Polskę jako karczmę zajezdną… Polacy oglądają tych ludzi, którzy przybyli do nas nie jako wdowy i sieroty wojenne, lecz jako dziarscy chłopcy w eleganckich samochodach, często tak dziarscy, że wyżywają się na podludziach, polskich tubylcach. Pytałem [resort spraw wewnętrznych] i nie doczekałem się odpowiedzi na pytanie: jak skoczyły statystyki zagrożeń takich jak bandytyzm i choroby trudno uleczalne, w tym przenoszone drogą płciową… Dość finansowania cudzych wojen!

•

14 stycznia Grzegorz Braun wreszcie potwierdził na Facebooku, że będzie startował. W zawoalowany sposób: „Bardzo dziękuję wszystkim, którzy czasem nawet ocierając się o szantaż moralny, wyrażają bezalternatywne oczekiwanie mojego startu w wybo-

eprasa.pl b89c1dd19d

rach prezydenckich. Ja, szanowni Państwo, nie mogę tego przecież ignorować, nie mogę tego nie słuchać".

Więcej wyjaśniło krótkie przemówienie kandydata nagrane dla serwisu eMisja: – Ja się na Konfederację umawiałem z panem prezesem Korwinem, który już nie zasiada w Radzie Liderów, i bardzo liczyłem na to, że projekt będzie ewoluował w stronę szerszego otwarcia na prawicowe formacje, środowiska i osobistości. Wydaje się, że w ostatnich latach nastąpił trend odwrotny. Konfederację trzeba więc uratować przed nią samą, ponieważ moi szanowni koledzy odpłynęli do centrum i – uwaga! – dobrze się tam czują. A ja nie mogę zlekceważyć mojego obowiązku działania na prawicy – tej, która nie chce negocjować swojego kącika dla polskich Indian w eurokołchozie, w tej republice Okrągłego Stołu, która jest na poły landem, na poły republiką banderowską, Ukropolinem, stanem amerykańskim. Tych, którzy nie chcą być tylko ludnością tubylczą landu, nie możemy zostawić bez kandydata, prawda? Bo nie ma próżni w przyrodzie i jeśli nie wystąpi realny kandydat prawicowy, to ta próżnia zostanie zagospodarowana przez trolle, awatary, kreacje realizujące model operacji »Trust«...".

– Nie dziwię się, że Grzegorz wyskoczył z kandydowaniem – mówi krewniaczka. – On musi być w centrum wydarzeń, na świeczniku, mieć trybunę do wypowiedzi. Bo kocha własny głos i poglądy. Uszył je sobie zgodnie z własną wolą. Może to pana zdziwi, lecz mogę zapewnić, że nie jest antysemitą. To wystudiowana poza. Płaszczyzna, na której przyciąga ludzi w bardzo łatwy sposób. A skoro już postanowił przyjąć taką pozę, stara się, by mu nikt nie dorównał.

– Tylko strasznie kręcił w tych swoich oświadczeniach: „Nie chcę, ale muszę".

– Po pierwsze, to jest wszystko wyreżyserowane. Po drugie, on uważa, że cel uświęca środki – można się prześlizgnąć obok prawdy, dążąc do szczytnego celu. A po trzecie, zwyczajnie lubi kandydować. Jak powiedział, nie boi się „dać zważyć i zmierzyć".

Rzeczywiście, bo: w 2010 r. startował do rady miejskiej Wrocławia (przepadł); w 2015 r. kandydował na prezydenta RP (zdobył 0,83 proc. głosów i ósme miejsce); w 2019 r. próbował zostać prezydentem Gdańska, trzy lata później walczył o fotel prezydenta Rzeszowa. W sumie na osiem startów odniósł trzy sukcesy: dwukrotnie został posłem z list Konfederacji, a teraz jest w Brukseli. – I nie uważa tego za szczyt swych możliwości – mówi krewna. – Ma wokół siebie ludzi, dla których stanowi autorytet, co go strasznie napędza. Zobaczy pan, że osiągnie wynik lepszy, niż dziesięć lat temu.

Jedną z osób, dla których Braun „stanowi autorytet", jest Kamil Klimczak, były redaktor eMisji, obecnie naczelny serwisu Chrobry Szlak i członek Klubu im. Romana Dmowskiego: – Ucieszyłem się z tej kandydatury, bo jest potrzebny radykalny, antysystemowy, twardy, narodowo-katolicki głos – mówi mi dziennikarz. – Nie taki miałki, wesołkowato-tiktokowy, jaki reprezentuje Mentzen. Moim zdaniem Braun jest w stanie zdobyć głosy także spoza elektoratu Konfederacji.

Sam reżyser również na to liczy. W rozmowie z eMisją stwierdził: – Nie lękam się osądu szerokiej publiczności patriotycznej, moich rodaków prawaków. Choć, jak słyszę, nie tylko rodacy prawacy cenią sobie rozmaite, powiedzmy, akcje w moim wykonaniu. Zjednoczony front gaśnicowy jest znacznie szerszy niż nasze, z całym szacunkiem, prawicowe bańki.

•

Posła Nowej Nadziei, z którym rozmawiam, szczególnie zabolała wypowiedź Brauna o „trollach, awatarach, kreacjach realizujących model operacji »Trust«". Tę gigantyczną prowokację spreparowali sowieccy bezpieczniacy, tworząc w latach 20. ubiegłego wieku fałszywą opozycję, która zwracała się – i otrzymywała – pomoc od państw zachodnich, także Rzeczypospolitej. – Czyli zdaniem Brauna reszta Konfederacji to jakby łże-prawica – złości się mój rozmówca. – Oto, jak przerośnięte ego doprowadza człowieka do pomylenia pojęć. I do zdrady kolegów.

Gniewu nie kryją również inni konfederaci. – Kompletnie nie wiem, czym się pan Grzegorz kieruje, rozbijając jedność naszego ugrupowania – stwierdziła 16 stycznia na antenie radiowej Jedynki europosłanka Ruchu Narodowego Anna Bryłka, prywatnie prawniczka i hodowczyni krów. – Ogłaszając start, wypisał się z Konfederacji. Podobno teraz mówi, że postanowił startować, ponieważ nie było prawyborów, w których by mógł uczestniczyć. No to chciałam przypomnieć, że Ruch Narodowy złożył propozycję przeprowadzenia tychże, a pan Grzegorz tej propozycji na Radzie Liderów nie poparł. Nie zgadzam się również z zarzutem, że Konfederacja „odpłynęła do centrum". To centrum się zbliżyło do Konfederacji.

stali tylko jedną szóstą jedynek na listach Konfederacji do Sejmu. Mentzen z Bosakiem podzielili między siebie pięć szóstych. Korona była także pomijana przy podziale kasy. Więc Braun się w końcu wkurzył i teraz idzie po swoje. Niech pan zauważy, że Janusz Korwin-Mikke udzielił mu poparcia.

Faktycznie, w ostatnich rozmowach z dziennikarzami wykluczony już z Konfederacji Korwin-Mikke przyznaje, że osobiście namawiał Brauna, aby wystartował, nie martwiąc się Mentzenem. „Konfederacja dostanie znacznie więcej głosów, jeśli będzie startowało dwóch przedstawicieli" – powiedział Gazecie.pl. – To dorabianie ideologii – mówi mi poseł NN. – Korwin nie może przeboleć żalu, że Mentzen się z nim pożegnał.

– Rzeczywiście? – pytam samego J.K.-M.

– Żal nie jest uczuciem politycznym. Natomiast będę zawsze pamiętał, że pan Mentzen wpierw wykorzystał mą pomoc, a potem mi wykopał polityczny grób. Metody też są ważne.

> Braun został zobowiązany do wypłaty 20-tysięcznego zadośćuczynienia dla prof. Jana Miodka i przeprosin, ale już w sali Sądu Najwyższego zapowiedział, że tego nie zrobi. „Kiedy adwokat profesora chciał ściągnąć należność, okazało się, że Grzegorz jest niewypłacalny"

Także europoseł Marcin Sypniewski z Nowej Nadziei (również prawnik) mówi mi, że Brauna „już nie ma": – Sam się chłop wypisał, ale partia istnieje i walczymy, już teraz bez niego, o jak najlepszy wynik Sławomira Mentzena.

– Co będzie dalej z Koroną?

– Mamy sygnały od pojedynczych członków, że nie chcą Konfederacji opuszczać. Więc pewnie część ich struktur, w sumie bardzo nielicznych, zostanie. A część odpadnie z Braunem.

– Nie ma powodu, byśmy mieli wychodzić z Konfederacji – mówi mi Rafał Foryś, mazowiecki plantator i organizator sprzedaży bezpośredniej. W Koronie odpowiada za politykę rolną. – KKP jest w tej chwili jedyną częścią Konfederacji, która pozostała wierna ideałom prawicy. Neoliderzy, mam na myśli panów posłów Bosaka i Mentzena, odpłynęli w stronę mainstreamu. Stracili zmysł polityczny. Na szczęście jest Grzegorz Braun i to on utrzymuje właściwy kierunek. Można powiedzieć, że teraz to Korona bierze odpowiedzialność za przyszłość całej formacji.

– Nowa Nadzieja sama winna, że do tego doszło – mówi mi Kamil Klimczak, ten od Chrobrego Szlaku. – Mentzen najpierw wyeliminował Korwina, potem podporządkował sobie Bosaka i zaczął w różny sposób ograniczać Brauna. Bo mu Jarosław Kaczyński już dawno proponował, że zrobią koalicję, ale dopiero wtedy, kiedy Braun i Korwin wylecą z Konfederacji. No i się zaczęło sekowanie Korony. Do-

– I teraz się pan zemścił na Mentzenie?

– Ja nie walczę z Mentzenem, tylko z socjalizmem. Braun po prostu zdobędzie więcej głosów niż Mentzen. Konkurencja jest przecież dobra. Sądzę, że Grzegorz może zrobić do 11 proc.

•

Z przewidywaniami Korwin-Mikkego nie zgadza się badacz ekstremizmów dr Przemysław Witkowski z Collegium Civitas: – Braun ma niewielki, lecz bardzo zdyscyplinowany elektorat złożony z antyszczepionkowców, przeciwników aborcji i niechętnych Ukrainie sympatyków Rosji. To grupy mocno zmobilizowane, reklamujące go za darmo w sieci, bez trudu zbiorą niezbędne do kandydowania podpisy. Natomiast już w samych wyborach tak różowo nie będzie. Rozłam podobny do tego, który oglądamy w Konfederacji, wydarzył się wcześniej w jej węgierskim odpowiedniku – partii Jobbik. László Toroczkai, były skinhead i neonazista, odszedł z garstką skrajnie nacjonalistycznych działaczy, zakładając antyromskie, antysemickie i prorosyjskie ugrupowanie Mi Hazánk Mozgalom (Nasz Dom Ojczysty). W wyborach parlamentarnych 2022 roku dostali 6 proc. głosów. Braun dostanie tyle albo nawet mniej. Mentzen wypadnie lepiej.

– Co to wszystko oznacza dla przyszłości Konfederacji? – pytam profesora socjologa Jarosława Flisa.

– Oto kluczowe dla polskiej sceny politycznej pytanie. Pamiętamy, że w poprzedniej kadencji parlamentu z kilkunastu posłów Konfederacji odeszło trzech – to tak, jakby klub PiS stracił 50. I jakoś to przetrwali, mają nawet wyższe poparcie niż cztery lata temu. Odejście Korwin-Mikkego też ich nie zatopiło, choć mogło się wydawać, że partia korwinistów bez Korwina to coś niemożliwego. Konfederaci nauczyli się żyć z tymi swoimi rozłamami i przegrupowaniami... Wydaje mi się, że obecną zawieruchę również przetrzymają. Wiele zależy od Krzysztofa Bosaka, który wyrasta na głównego rozgrywającego.

Chciałem zapytać szefa narodowców, jak zamierza sobie poradzić z „koroniarzami" i jak widzi przyszłość, lecz nie odebrał telefonu mimo licznych prób. Poprosiłem więc o prognozę profesora nauk społecznych i analityka zachowań wyborczych Radosława Markowskiego.

– W tej chwili wygląda na to, że Braun dostanie jakieś 2-3 proc., a Mentzen trzy razy tyle – sądzi politolog. – Choć oczywiście nie wiemy, czy ten pierwszy jeszcze nie wyskoczy z czymś spektakularnym. Właściwie to się dziwię, że Brauna usunęli. Przecież są kon-federacją. Ksenofobiczny ultrakatolicki elektorat pana reżysera jest inny od libertariańskiego elektoratu doktora Mentzena. Mogłoby tu dojść do synergii zamiast do konfliktu.

– A co osobne kandydowanie liderów KKP i NN oznacza dla obozu demokratycznego?

– Nic dobrego. Braun z jednej i Mentzen z drugiej strony mogą wywołać wspólnie większą mobilizację elektoratu ultraprawicowego.

Profesor Jarosław Flis jest innego zdania: – Braun odbierze głosy zarówno Mentzenowi, jak i Nawrockiemu. Dla Rafała Trzaskowskiego to pośrednio dobrze, oczywiście jeśli przyjmiemy założenie, że wszystko, co osłabia prezesa IPN, pomaga jego głównemu konkurentowi.

•

16 stycznia reżyser w rozmowie z Dawidem Mysiorem z katolickiego serwisu Sprawki w końcu wyznał wprost: „Tak, będę kandydował z Bożą i ludzką pomocą".

– Czy decyzją o kandydowaniu chce pan rozbić Konfederację? – zapytał dziennikarz.

– Konfederację współtworzyłem z panem prezesem Korwinem i Bóg mi świadkiem, przez lata robiłem wszystko dla jej dobra. Być może akcja, którą właśnie podejmuję, jest dla Konfederacji ostatnią szansą. Korona Polska czuje się w pełni gotowa do odegrania roli ośrodka krystalizacji dla znacznie szerzej pojmowanej prawicy. Bo można jeszcze odwrócić proces ukrainizacji, judaizacji, erozji państwa i anihilacji narodu polskiego, dlatego że na świecie wzbierają trendy ozdrowieńcze i otwiera się okno możliwości.

Niektóre z nich zostały jednak 16 stycznia zamknięte. Już rankiem Krzysztof Bosak poinformował media, że kieruje do sądu partyjnego wniosek o wykluczenie Brauna z „partii parasolowej": – Jeszcze dzień wcześniej otrzymałem od pana europosła zapewnienie, że nie zamierza startować w wyborach prezydenckich – stwierdził lider RN. – Ubolewam, że zostałem oszukany. – Faktem jest, że się rozstajemy z Braunem, od teraz działamy osobno – dodał obecny na konferencji Mentzen. – Według mnie on popełnił błąd, ale osądzi nas historia.

Na razie sąd partyjny osądził reżysera. 17 stycznia Braun został zaocznie skreślony z listy członków KWiN, automatycznie stracił też miejsce w Radzie Liderów. W wyborach mu to nie przeszkodzi. Kandydat musi się wykazać 100 tys. podpisów, a nie członkostwem w jakiejkolwiek partii. Zbiórka właśnie ruszyła, bo komitet wyborczy Grzegorza Michała Brauna został zarejestrowany jako trzeci po komitetach Sławomira Mentzena i Rafała Trzaskowskiego. ●

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

ŚWIAT

ŻYDZI, ci biali rasiści

Skąd pogląd, że Izrael jest szczególnie naznaczony złem?

Konstanty Gebert

• **Ilu jeszcze zginie? Zdjęcia poległych żołnierzy izraelskich oraz symboliczne nowe trumny przykryte flagami na ulicy w Tel Avivie. Rodziny żołnierzy i zakładników porwanych przez Hamas protestują przeciw warunkom zawartego 16 stycznia br. zawieszenia broni w wojnie Izraela z Hamasem** FOT. REUTERS/RONEN ZVULUN

Jakby mało było kryzysów związanych ze stawianiem w stan oskarżenia kolejnych prezydentów, w Korei wybuchł jeszcze jeden skandal, związany z popularnym serialem politycznym „Gdy telefon dzwoni".

W odcinku z 4 stycznia akcja koncentruje się wokół wzięcia przez państwo Paltima koreańskich zakładników podczas jego ataku rakietowego na państwo Izmael. Widzowie rozpoznali w tych nazwach Palestynę i Izrael i zareagowali oburzeniem. „Zespół produkcyjny najwyraźniej musiał włączyć syjonistyczny punkt widzenia, kiedy Izrael popełnia masowe mordy" – cytuje wstrząśniętego widza KBIZoOm. Portal specjalizujący się w koreańskiej kulturze masowej informuje, że posty potępiające serial miały miliony odsłon i wyjaśnia, że „od ponad roku Izrael bombarduje i popełnia ludobójstwo w Palestynie [oraz] nieludzkie okrucieństwa". KBIZoOm przypomina też, że Lisę, gwiazdę koreańskiego girlsbandu Blackpink, krytykowano za to, że „jej matka jest syjonistką" a „rodzina jej domniemanego chłopaka popiera Izrael". Portal zastrzega, że te zarzuty są potwierdzone, co do „ludobójstwa" jednak oraz „nieludzkich okrucieństw" nie miał już żadnych wątpliwości.

Korea nie ma znaczących związków historycznych, politycznych czy gospodarczych z którąkolwiek ze stron bliskowschodniego konfliktu, ani innych powodów, by się z jedną identyfikować a drugą potępiać, lecz mimo to domniemana proizraelska wymowa odcinka wzbudziła tam oburzenie.

•

A przecież obecny konflikt rozpoczął się właśnie od odpalenia przez Hamas 4300 rakiet z Gazy na terytorium Izraela, po czym nastąpiła rzeź przygranicznych kibuców i masowe porywanie zakładników. Koreańskich ofiar nie było, ale wśród ponad 1200 ofiar było 32 tajskich robotników, a następnych 32 znalazło się wśród 240 uprowadzonych. W scenariuszu odcinka (na marginesie, nazwa Izmael nawiązuje do pierworodnego syna Abrahama, który według tradycji żydowskiej oraz Koranu był praojcem Arabów, nie Żydów) nie było więc nic nieprawdopodobnego.

Oburzenie koreańskich widzów opiera się więc na błędnej wiedzy. Dlaczego jednak gwiazdę K-pop miałoby kompromitować to, że jej matka czy rodzina jej domniemanego chłopaka popierają Izrael, nawet jeśli byłoby to prawdą? Odpowiedzi należy szukać w informacji KBIZoOm o „ludobójstwie" i „nieludzkim okrucieństwie" Izraela, stanowiących zło absolutne, z którym kontakt bruka nawet poprzez związki pośrednie.

Nie tylko bowiem koreański portal szerzy takie informacje. W ciągu minionego roku Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości (MTS) przyjął do rozpatrzenia oskarżenie Izraela o ludobójstwo, złożone przez RPA, zaś odrębny Międzynarodowy Try-

eprasa.pl b89c1dd19d

bunał Karny (MTK) wydał nakazy aresztowania premiera i ministra obrony tego kraju, oskarżonych o zbrodnie wojenne i przeciw ludzkości. O ludobójstwo i celowe wywoływanie głodu oskarżają Izrael szanowane organizacje praw człowieka: Amnesty International oraz Human Rights Watch, zaś papież Franciszek zarzucił w świątecznym kazaniu „rozstrzeliwanie dzieci z karabinów maszynowych" i stwierdził: „to okrucieństwo, a nie wojna". Zgromadzenie Ogólne ONZ 73 proc. wszystkich swych rezolucji potępiających skierowało w minionym roku przeciw Izraelowi.

Żaden inny nowożytny konflikt nie wzbudził tak jednomyślnej, kategorycznej i powszechnej fali potępienia. A oskarżyciele Izraela na ogół nie mają osobistych powodów dla wrogości wobec państwa żydowskiego: potępiają je z moralnego odruchu.

•

Jeśli Erdogan stwierdza, że „Izrael jest gorszy niż naziści", to można jeszcze podejrzewać jakiś związek z turecko-izraelskimi konfliktami. Jeśli to samo mówi wenezuelski prezydent Nicolas Maduro, to można uznać, że to retoryka wynikająca z antyamerykańskiej solidarności z Hamasem. Ale „izraelskie ludobójstwo" potępiają w Polsce dziesiątki sygnatariuszy „Apelu o równe standardy w stosowaniu prawa międzynarodowego (Izrael/Palestyna)", w tym ludzie deklarujący związek z kulturą żydowską oraz badacze Zagłady; trudno im zarzucać osobiste uprzedzenia, interesy czy niewiedzę. Podobnie, gdy profesor prawa międzynarodowego na New York University Rob Howse stwierdza, że „żadna kategoria prawna, nawet ludobójstwo, nie może zgłębić moralnej otchłani izraelskich okrucieństw w Gazie". W obliczu takiej jednomyślności, czy można się dziwić oburzeniu koreańskich widzów, czy w ogóle opinii światowej?

W słynnym eksperymencie psychologicznym Salomona Ascha badanym kazano porównywać dwa ewidentnie różniące się długością odcinki. Gdy odpowiadali sami, odcinek dłuższy wskazywało poprawnie jako dłuższy 99 proc. badanych. Gdy jednak byli świadkami, jak przed nimi inni badani – podstawieni przez eksperymentatora – jednomyślnie wskazywali odcinek dłuższy jako krótszy, około jedna trzecia z nich powtarzała tę błędną ocenę.

Jednomyślność ocen nie musi więc być dowodem ich prawdziwości, może za to wywierać znaczny wpływ na sądy kolejnych osób. Tyle tylko, że choć istotnie ludzie mogą dostosowywać poglądy na temat konfliktu bliskowschodniego do publicznie wyrażanych postaw większości, to nie ma powodu uważać, że postawy te, jak w eksperymencie Ascha, zostały zmanipulowane. Innymi słowy, może i jednomyślność opinii międzynarodowej wymusza konformizm, ale nie dowodzi to jeszcze, że jednomyślność ta jest oparta na fałszu. Sprawdźmy więc jej źródła.

•

Zacznijmy od ONZ. Ocena, iż trzy czwarte zła świata skupiła się na wąskim kawałku ziemi od Kiriat Szmona do Ejlatu może wydawać się przesadna.

Rosja kontynuuje agresję na Ukrainę, w Chinach trwają masowe aresztowania Ujgurów, w Mjanmie nadal prześladuje się Rohingyów, w Iranie i Arabii Saudyjskiej wykonuje się setki wyroków śmierci, Turcja bombarduje w Syrii i Iraku kurdyjskie wioski i okupuje północny Cypr, Azerbejdżan wypędził z Karabachu sto tysięcy Ormian, w Etiopii w kolejnej wojnie etnicznej rządu centralnego giną setki Amharów, a obalona dyktatura Asada zamordowała ponad 600 tysięcy ludzi, po czym przestano liczyć ofiary.

A jednak wojna w Gazie, podstawowa przyczyna antyizraelskich rezolucji ONZ, jest istotnie czymś szczególnym. Od bomb izraelskich giną tysiące cywili, w tym dzieci – połowa ludności Gazy ma poniżej 18 lat. Cywile nie mają, inaczej niż w innych konfliktach, dokąd uciekać. Media i organizacje pozarządowe zebrały liczne dowody świadczące o prawdopodobieństwie popełniania przez siły izraelskie zbrodni wojennych, a być może też zbrodni przeciw ludzkości, zaś izraelska sprawiedliwość reaguje na te doniesienia opieszale.

Mimo to jednak nie wydaje się – choć istotnie jest, jak widzimy, za co potępiać Izrael – by uprawniony był pogląd, iż Izrael jest w jakiś szczególny sposób naznaczony złem, a tylko takie założenie mogłoby uzasadnić ten nieproporcjonalny rozkład potępień.

To nie oznacza, że skoro inni też czynią zło, to Izraela nie ma się co czepiać, bo każde zło jest równie godne napiętnowania. Ale kluczowe jest słowo „równie": jeśli nie potępiamy innych za to, za co potępiany Izrael, to należy domniemywać, że w tym potępieniu jest coś głęboko nieuczciwego.

Wyobraźmy sobie, że w Niemczech za kradzieże ścigano by tylko Polaków, innych sprawców puszczając wolno. Mielibyśmy podstawy, by sprawiedliwości niemieckiej zarzucić stronniczość, nawet gdyby wina każdego zatrzymanego polskiego złodzieja nie ulegała wątpliwości.

Niezbyt przekonujący wydaje się też argument, że od Izraela, jako zachodniej demokracji, oczekuje się więcej. W świetle prawa jest bezsensowny, bo prawo jest równe dla wszystkich. Politycznie natomiast może mieć sens – ale tylko wówczas, gdy szczególnemu potępieniu Izraela nie towarzyszy wyjaśnienie, że nie potępiamy równie mocno, np. Arabii Saudyjskiej za rzeź Jemenu (340 tys. zabitych), czy Etiopii za rzeź Tigraju (600 tys.), bo państwa te są dyktaturami.

Może jednak dysproporcja potępienia jest sytuacyjną reakcją na obecną wojnę? Ale od samego powstania ONZ 25 proc. wszystkich rezolucji potępiających, które uchwaliły jej agendy, wymierzonych jest w Izrael. W przypadku Rady Praw Człowieka tej szacownej organizacji proporcja ta jest ponad dwa razy wyższa.

Sygnatariusze „Apelu o równe standardy" sugerują, że wobec Izraela stosowana jest taryfa ulgowa. W rzeczywistości Jerozolima marzyłaby o tym, by wobec niej stosowano te same standardy, co wobec innych państw.

I znów, nie oznacza to, że Izraela nie ma za co krytykować: państwo żydowskie okupuje terytoria, na których Palestyńczycy pragną utworzyć swoje państwo, do czego, zdaniem ONZ, mają w pełni prawo. Pomińmy fakt, że np. Turcja, Iran, Irak i Syria zajmują terytoria, na których przyszłe państwo chcieliby utworzyć Kurdowie, a nikt państw tych za to nie potępia.

Uznanie zasadności prawa jakiegoś narodu do samostanowienia jest arbitralne, i udzielane niechętnie; społeczność międzynarodowa udzieliła go Palestyńczykom, a nie Kurdom czy na przykład Tybetańczykom lub mieszkańcom Papui Zachodniej.

Ale też nie jeden Izrael okupuje cudze terytoria. To, że są w Kaszmirze okupantem, uznawały zrazu same Indie, choć potem wyparły się tego. Nikt z wyjątkiem Ankary nie podważa faktu, że okupowany przez Turcję północny Cypr jest częścią Cypru, a dziesiątki państw nadal, zgodnie ze stanem prawnym, uważają, że Sahara Zachodnia znajduje się pod marokańską okupacją.

Jednak te okupacje spotykają się z potępieniem sporadycznym, gdy izraelskiej jako jedynej poświęcony jest stały punkt porządku dziennego każdego Zgromadzenia Ogólnego oraz oddzielna agenda ONZ.

•

Nietrudno zrozumieć, dlaczego tak się nie stało i się nie stanie. Na powstanie w 1948 r. Izraela wszystkie ówczesne państwa Ligi Arabskiej odpowiedziały wojną i – z wyjątkiem Egiptu i Jordanii – pozostają w stanie wojny z państwem żydowskim do dziś. Solidarnie powstanie Izraela potępiły inne państwa Organizacji Konferencji Islamskiej, zaś po wojnie sześciodniowej 1967 r., która miała zetrzeć Izrael z powierzchni ziemi, a zakończyła się jego miażdżącym zwycięstwem, do państw arabskich i muzułmańskich dołączył blok sowiecki. Tak powstała w Zgromadzeniu Ogólnym automatyczna większość antyizraelska i produkcja antyizraelskich rezolucji ruszyła pełną parą. Żadne inne państwo nie miało przeciwko sobie takiej większości. Maszynka do głosowania zacięła się po upadku komunizmu, lecz odbudowała się szybko jako Globalne Południe i nadal produkuje antyizraelskie rezolucje i raporty i dokumenty.

Globalne Południe widzi w Izraelu ucieleśnienie całego zła Zachodu: białego rasizmu, kolonializmu, agresji. Rasizmu – choć większość żydowskich obywateli Izraela to potomkowie Żydów z krajów arabskich, a 20 proc. to Arabowie.

Kolonializmu – choć Żydzi są, po powrocie do Ziemi Izraela, znów u siebie. Gdyby uznać, że przerwa w ciągłości zamieszkania unieważnia prawo do swojego kraju, to i roszczenia diaspory palestyńskiej do powrotu stałyby się bezpodstawne. Nikt też nie mówi mieszkańcom państw rzeczywiście osadniczych, Australii czy obu Ameryk, że mają „wrócić do siebie".

Większość wojen dziś toczą, zgodnie z proporcjami demograficznymi planety, mieszkańcy Afryki i Azji. Ale państwa Zachodu nadal są zbyt wpływowe i solidarne, by można je było atakować bezkarnie. Izrael jest

Agresji – mimo że większość wojen dziś toczą, zgodnie z proporcjami demograficznymi planety, mieszkańcy Afryki i Azji. Ale państwa Zachodu nadal są zbyt wpływowe i solidarne, by można je było atakować bezkarnie. Izrael jest wyjątkiem – i ponosi karę za swoje i nieswoje grzechy. Nikogo już nie dziwi na przykład, że specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. sytuacji Palestyńczyków, Francesca Albanese, uważa, że Izrael nie powinien istnieć – choć bezstronność winna być podstawą stanowiska, które zajmuje.

Nie o to chodzi, by takich poglądów nie wolno było głosić. Wolno, póki istnieje wolność słowa. Ale z takimi poglądami nie wolno sprawować takiego stanowiska, podobnie jak nie powinna go sprawować osoba, która uważa, że Palestyńczycy nie istnieją jako naród.

Tymczasem ONZ poglądy pani Albanese nie przeszkadzają, bowiem są one w istocie reprezentatywne dla ONZ-owskiej większości.

Stąd stanowisko, iż Gaza, z której Izrael się w 2005 r. wycofał, jest nadal pod izraelską okupacją, bowiem Izrael sprawuje „efektywną kontrolę" granic strefy. Tyle tylko, że jeśli kontrola granic jest dowodem okupacji, to okupantem Gazy jest też Egipt, który również sprawuje „efektywną kontrolę" nad jedną z granic Gazy, i bardzo skutecznie nie przepuszcza przez nią Palestyńczyków. To dlatego nie mają oni, inaczej niż cywile w innych wojnach, dokąd uciec: na granicy w Rafah stoją egipskie czołgi. Nikt jednak z tego powodu Egiptu nie krytykuje.

•

To systematyczne antyizraelskie uprzedzenie ONZ, które nie dotyka innych państw członkowskich, jest znaczące także dlatego, że MTS jest agendą ONZ i orzeka w oparciu o dokumenty sporządzone przez tę organizację. Przyjęcie przezeń skargi RPA na Izrael o ludobójstwo było uzasadnione, bowiem Trybunał nie mógł jej odrzucić bez rozpatrzenia zgromadzonych przez powoda dowodów, a to potrwa lata.

Wbrew jednak prasowym doniesieniom, Trybunał nie uznał, że zarzut ludobójstwa jest „prawdopodobny": za prawdopodobne uznał jedynie, że istotne prawa Palestyńczyków, chronione przez Konwencję ds. zapobiegania i karania ludobójstwa, byłyby zagrożone – jeśli dowody istotnie świadczyłyby o ludobójstwie.

Wyjaśniła to w wywiadzie dla BBC była przewodnicząca Trybunału, ale nie odbiło się to żadnym echem. „Wyborcza", np. w ogóle tego faktu nie odnotowała. Podobnie jak faktu, że obecnym przewodniczącym Trybunału jest Nawaf Salam – polityk państwa, pozostającego z Izraelem w stanie wojny, i były ambasador tego państwa – Libanu – przy ONZ, gdzie był inicjatorem licznych antyizraelskich rezolucji.

Jest znaczące, że ani on sam, ani nikt inny, nie zasugerował, by wyłączył się z rozpatrywania tej właśnie sprawy, ze względu na dość ewidentny konflikt interesów. Ale już nie musi, bo właśnie został wybrany przez libański parlament premierem. W pierwszym wystąpieniu w tej roli określił Izrael – który toczył wojnę wszak z atakującym go Hezbollahem, nie z państwem libańskim – jako „wroga". Tyle, jeśli chodzi o bezstronność przewodniczącego Trybunału.

•

Inna zupełnie sytuacja ma miejsce w związku z nakazami aresztowania wystawionymi przez MTK.

Nie wiemy, jakie dowody zebrał jego prokurator, Karim Khan, by uzasadnić te nakazy, ale okazały się one przekonujące dla składu sędziowskiego. MTK sądzi nie państwa, jak MTS, lecz jednostki, i prokurator nie miał prawa nie wystąpić o nakazy aresztowania, jeśli uważał, że dowody, które zebrał, są wystarczająco mocne.

Dowody przeciwko izraelskiemu premierowi Benjaminowi Netanjahu i ministrowi obrony Yoawowi Gallantowi (oskarżonych jest też trzech nieżyjących już przywódców Hamasu) pozostają tajne, ale wiemy z doniesień prasowych i raportów organizacji praw człowieka, że są podstawy do podejrzeń o zbrodnie wojenne.

Inaczej jest ze zbrodnią przeciw ludzkości, o jaką Khan także oskarża izraelskich polityków, zarzucając im celowe głodzenie ludności Gazy. Tu same oceny ONZ-owskich organów monitorujących są sprzeczne, i do rzeczywistego wybuchu głodu, jak się wydaje, nie doszło. Wreszcie istotne jest, ze Khan nie zarzucił oskarżonym ludobójstwa, uznając zapewne, że nie ma w tej sprawie dość mocnych dowodów.

Rzecz w tym, że zgodnie z procedurą MTK prokurator winien dowody najpierw przedstawić prokuraturze państwa, przeciwko którego obywatelom dochodzenie się toczy. Dopiero jeśli ta udowodni ich fałszywość lub odmówi czy nie będzie w stanie wszcząć postępowania, prokurator MTK może działać.

Prokurator Karim Khan tak postąpił w Wenezueli, której władze są podejrzewane o zbrodnie przeciw ludzkości. No i Caracas przekonało prokuratora, że sprawą się zajmie: nakazów aresztowania MTK nie wystawił. Khan najwyraźniej jednak uznał, że prokuratura izraelska, która już wsadziła do więzienia jednego premiera i jednego prezydenta, na takie zaufanie nie zasługuje.

Co więcej, jako że Izrael, tak jak 65 innych państw, do MTK nie przystąpił, jedyną podstawą do ścigania jego obywateli jest skarga złożona przez Palestynę, która przystąpiła. Rzecz w tym, że wiele państw członkowskich nie było pewnych, czy Palestyna – pozbawiona innych niż intencje, cech państwowości, jest w wystarczającym stopniu państwem, by móc być powodem. W końcu MTK uznał, że tak – ale wydaje się, że w tej kwestii, jak i poprzedniej,

eprasa.pl b89c1dd19d

antyizraelskie uprzedzenia też mogły odegrać rolę.

Z całą pewnością odegrały ją one w oskarżeniach Izraela o ludobójstwo, wysuniętych przez Amnesty International i Human Rights Watch. Pierwsza z organizacji uznała jednoznacznie, druga z zastrzeżeniami, że państwo żydowskie istotnie winne jest tej zbrodni. Wszelako AI stwierdziła, że aby móc udowodnić Izraelowi jego winę, trzeba najpierw definicję ludobójstwa zmienić. Według międzynarodowo-prawnej definicji zawartej w Konwencji ONZ, warunkiem zaistnienia ludobójstwa jest zamiar sprawcy „wyniszczenia w całości lub części" danej grupy „jako takiej". Ten zamiar można stwierdzić tylko wtedy, gdy jego istnienie jest jedynym racjonalnym wyjaśnieniem działań sprawcy.

Innymi słowy, Zagłada Żydów czy Romów podczas II wojny światowej, rzeź Ormian, wymordowanie Tutsich były ludobójstwami – bo inaczej niż chęcią wyniszczenia ich jako takich nie da się wyjaśnić postępowania sprawców.

Natomiast naloty alianckie na miasta niemieckie i japońskie podczas II wojny światowej, mimo setek tysięcy ofiar w obu wypadkach, ludobójstwami nie były, gdyż celem było doprowadzenie do załamania się państw, z którymi alianci toczyli wojnę, a nie wymordowanie ludności tych państw.

Amnesty przyznaje, że na mocy tej definicji nie można zarzucić Izraelowi ludobójstwa. Wyciąga z tego jednak nie wniosek, że Izrael tej zbrodni nie popełnia, lecz że konieczna jest zmiana definicji tak, by można było Izrael o nią oskarżyć – i postuluje, by zrezygnować z kategorii zamiaru sprawcy. Oskarżenie Izraela o najcięższą zbrodnię znaną ludzkości jest więc celem tak ważnym, że warto dlań – by utrzymać logiczną spójność wywodu – uznać w konsekwencji, że alianci jednak popełnili ludobójstwo w Niemczech i Japonii, a więc że II wojna była obustronnie ludobójcza.

Jeśli ceną za wciągnięcie Izraela do klubu ludobójców ma być zapisanie doń także USA i Wielkiej Brytanii – to dla Amnesty warto. Dodajmy, że członkiem tego klubu staje się też Polska – wszak polskie lotnictwo uczestniczyło w zbombardowaniu w lutym 1945 r. Drezna.

Podobnie zresztą postąpiła Amnesty, zarzucając wcześniej Izraelowi apartheid. Zastrzegła się, że nie chodzi o taki apartheidu, jaki istniał w RPA, lecz o sytuację, w której na jednym terytorium istnieją dwa systemy prawne. Definicje wolno zmieniać – ale apartheid w rozumieniu Amnesty obowiązuje wobec tego nie tylko w Izraelu, lecz wszędzie tam, gdzie np. instytucjonalnie traktuje się kobiety inaczej niż mężczyzn, czyli w 153 państwach świata.

To oczywiście nie usprawiedliwia izraelskiej dyskryminacji Palestyńczyków, ale termin apartheid został przez szanowaną organizację dobrany tylko po to, by napiętnować Izrael. W przeciwnym wypadku sama Amnesty by zwróciła uwagę, że apartheid w jej rozumieniu jest – haniebną – międzynarodową normą.

Tu zaczyna działać psychologiczny mechanizm wypaczonej percepcji. Zamiast zadać sobie pytanie, dlaczego w sposób tak jednoznacznie uprzedzony wszyscy usiłują postawić Izrael pod pręgierzem, pytamy się, jak to jest możliwe, że ktoś, wbrew stanowisku większości, może nie chcieć Izraela tam postawić.

Gdy wina jest z góry udowodniona, jej zaprzeczanie może być podyktowane jedynie niewiedzą, osobistym interesem, lub złą wolą. Na tę pierwszą jednak nie sposób się powoływać w sytuacji, gdy wszyscy wiedzą, że Izrael jest winny. Osobisty interes także nie wystarcza w sytuacji, gdy są wszak Żydzi, którzy potrafili się zdobyć na potępienie Izraela. Pozostaje więc zła wola, i to w tak moralnie jednoznacznej sprawie.

To dlatego domniemany syjonizm matki piosenkarki Lisy staje się tak obciążający – bo nie chcemy oklaskiwać kogoś, kto może być tą złą wolą w jakimś stopniu naznaczony. No chyba, że Lisa się odetnie. Ta droga pozostaje otwarta dla wszystkich, których inaczej można o złą wolę podejrzewać.

To dlatego na protestach antyizraelskich na uniwersytetach Columbia czy w Amsterdamie żądano od studentów „wyglądających na syjonistów" oświadczeń, że potępiają Izrael – inaczej strajkujący nie wpuszczali ich na campus. No i oklaskiwali jako wzór moralnych cnót tych, którzy się odcinali.

Powodów do owego jednoznacznego potępienia było wiele. Po pierwsze, Izrael rzeczywiście, jak się wydaje, popełnił w Gazie zbrodnie wojenne. Po drugie, nie wydaje się, by je ścigał skutecznie, a odmowa rządu Netanjahu powołania, jak po wojnie Jom Kipur, państwowej komisji śledczej, oraz jego generalny atak na niezawisłość sądownictwa, wrażenie to mocno utwierdza. Po trzecie, wielokrotnie w tej sprawie władze izraelskie dezinformowały, podważając tym samym swą wiarygodność.

Tyle tylko, że zbrodnie wojenne i kłamstwa na ich temat są na wojnie normą, a nie wyjątkiem, wyjątkiem jest natomiast ściganie i karanie przez państwo toczące wojnę własnych zbrodniarzy. Tak wszak było w przypadkach nieporównanie bardziej krwawych wojen w Syrii, Jemenie czy Etiopii, by trzymać się jedynie ostatnich 10 lat i geograficznej okolicy Gazy. Rzecz nie w tym, by nie ścigać Izraelczyków za winy popełnione – dlatego należy respektować nakazy MTK, i gdyby na przykład premier Netanjahu zamierzał odwiedzić Polskę, polski sąd winien rozważyć, czy międzynarodowy nakaz aresztowania należy wykonać, niezależnie od oświadczeń rządu – ale po to, by ścigać za zbrodnie, a nie za to, że domniemani sprawcy są Izraelczykami.

Dzieje się jednak dokładnie odwrotnie, zaś realne skądinąd izraelskie naruszenia są postrzegane jako zło absolutne. Nie tylko dane o liczbie ofiar podawane przez Hamas są przyjmowane za dobrą monetę, ale nikogo nie dziwi, że nie różnicują one cywili i kombatantów: w obliczu zła Izraela wszyscy się stają cywilami. Tak, jak niektóre osobistości izraelskie mówiły, że „w Gazie nie ma niewinnych", tak międzynarodowa opinia zdaje się uważać, że w Gazie nie ma winnych.

Jak inaczej wytłumaczyć, że nikt poza Izraelem nie żądał, by Hamas wypuścił zakładników i złożył broń – choć Izrael od początku deklarował, że zakończyłoby to wojnę? Jak inaczej rozumieć obojętność na rzeczywiste starania armii izraelskiej, by ograniczyć liczbę ofiar cywilnych – nawet jeśli były one niekonsekwentne i niewystarczające, a niekiedy celowo się od nich uchylano? Jak wyjaśnić lekceważenie dla rzeczywistej, choć dokonywanej w bardzo zmiennej skali izraelskiej pomocy humanitarnej dla Gazy, i brak reakcji na zablokowanie jej dostaw przez Egipt, gdy przejście graniczne w Rafah, przez które przechodziła, zajęli Izraelczycy? Współpraca humanitarna z Hamasem wcześniej Egiptowi nie przeszkadzała.

W tej sytuacji piętnująca retoryka papieża Franciszka już nie zdumiewa i nie trzeba nawet doszukiwać się jej źródeł w antysemickiej tradycji Kościoła: wystarczy antyizraelski konsensus dziś. A dowodem na słuszność tego konsensusu jest wszak to, że on istnieje – bo gdyby nie był słuszny, to by go nie było. A że na przykład eksperyment wykazał, iż jednomyślność może wymuszać konformizm percepcji? Co za eksperyment? Ascha. Jakiego Ascha? Salomona. Aha.

Jest prawdą, że oburzenie, jakie odczuwa każdy przyzwoity człowiek na widok ruin Gazy i wyciąganych spod tych ruin dziecięcych ciał jest jednoznaczne i zmusza do reakcji. Ale jeśli reakcja ta miałaby polegać jedynie na potępieniu sprawców zniszczenia, to uczciwość każe powiedzieć, że tak samo winniśmy reagować na obraz zbombardowanych podczas II wojny światowej niemieckich miast i ciał zabitych w nalotach ich mieszkańców.

Tu jednak w potępieniu aliantów i solidarności z Niemcami przeszkadza nam wiedza, której w przypadku konfliktu izraelsko-palestyńskiego z reguły nie mamy. Odruch moralny nie powinien zastępować myślenia – i vice versa. Można i trzeba współczuć Palestyńczykom, nie przestając życzyć Izraelowi zwycięstwa nad Hamasem. I nie o to chodzi, by porównywać Hamas i III Rzeszę, ale by rozumieć konieczność uszanowania w obu przypadkach złożoności.

Tymczasem postrzeganie Izraela jako źródła wszelkiego zła wplata się nawet do codziennego myślenia ekspertów. Piotr Balcerowicz, znawca Bliskiego Wschodu, mówi „Wyborczej" że „kiedy Izrael rozpoczął wojnę w Gazie, Hezbollah w ramach wsparcia [Hamasu] rozpoczął ostrzał Izraela" – choć przecież wie, że wojnę w Gazie rozpoczął nie Izrael, a Hamas.

Po roku tego ostrzału Izrael przystąpił do kontrofensywy operacją z pagerami-pułapkami, lecz Balcerowicz uważa, że „to nie żadna operacja, to wojna przeciw mieszkańcom Libanu... było to również złamanie prawa międzynarodowego – IV konwencja genewska nie pozwala używać broni w sytuacjach, gdzie ofiarami mogą być cywile".

Tymczasem Balcerowicz wie, że według danych Hezbollahu 90 proc. zabitych w operacji z pagerami to jego członkowie. IV konwencja zaś nie zabrania „używać broni w sytuacjach, gdzie ofiarami mogą być cywile", bo wówczas niemal żadne użycie broni nie byłoby możliwe. Konwencja wymaga tylko, by cywile byli chronieni, a straty wśród nich były proporcjonalne do spodziewanej korzyści wojskowej. Operacja z pagerami spełnia te kryteria, a ślepy ostrzał Izraela przez Hamas (bo z Hezbollahem rzecz wygląda inaczej) – nie. Tyle tylko, że zasada ochrony cywili najwyraźniej nie znajduje zastosowania, gdy są oni Izraelczykami.

Gdy znany ekspert mówi takie rzeczy, a dziennikarz prowadzący wywiad nie protestuje, czytelnik nabiera przekonania, że istotnie to Izrael rozpoczął wojnę w Gazie i napadł pagerami na Liban, zaś ataki Hamasu i Hezbollahu widocznie były usprawiedliwione.

A jako że w żaden sposób usprawiedliwić się ich nie da, trzeba wprowadzić dodatkowe założenie – że atak jest usprawiedliwiony, jeśli jego celem jest Izrael. Wszak Zgromadzenie Ogólne uchwaliło, że „opór przeciwko okupacji można prowadzić wszelkimi dostępnymi środkami".

Uchwała jest bzdurna, bo bycie okupowanym nie zwalnia z przestrzegania prawa międzynarodowego – tyle tylko, że uchwały Zgromadzenia Ogólnego też prawa nie stanowią. Wyrażają one jedynie polityczne stanowisko większości członków ONZ, którzy tym samym stwierdzają, że wszystko, co szkodzi Izraelowi, jest dobre. Tym samym uchwała służy jako dodatkowe potwierdzenie szczególnego zła Izraela, i kółeczko się zamyka.

Czepiam się Balcerowicza nie dlatego, że miałby on być jakiś szczególnie uprzedzony czy niekompetentny – przeciwnie. Ale skoro nawet on szerzy tę narrację, to czego się spodziewać po innych ekspertach i ich odbiorcach?

Jest oczywiście prawdą, że entuzjazm w potępianiu Izraela karmi się także antysemickimi stereotypami, a jest czymś szczególnie haniebnym, że to potomkom ofiar Zagłady rzuca się potwarz ludobójstwa. Ale opisany mechanizm pozostałby prawdziwy, nawet gdyby żaden Żyd nie zginał od antysemickiej nienawiści.

Antyizraelska histeria ma wszelkie cechy paniki moralnej opisanej przez Stanleya Cohena i jest bardziej prawdopodobne, że wygaśnie dopiero wtedy, gdy jej podstawowe założenie zostanie przyjęte jako dopuszczalna społeczna norma, niż że zostanie w końcu skompromitowana i wygaśnie. Będą jej się przeciwstawiać ci, którzy w jej ofiarach widzieć będą sojuszników – ale tylko na swoich warunkach.

Dawno temu lewica wzięła Żydów pod swą ochronę, gdy uznała, że są oni ofiarami nacjonalizmu i kapitalizmu – ale walczyła o tych jedynie, których dało się w ten sposób przedstawić. Pozostałych nienawidziła nie mniej żarliwie, a jedynie bardziej selektywnie, niż prawica: jak miał powiedzieć niemiecki socjaldemokrata August Bebel „antysemityzm to socjalizm idiotów". Tak powstała „żydokomuna", zaś Stalin miał uważać, że „socjalizm idiotów" to pożyteczna rzecz, bo idiotów jest więcej.

W niedalekiej już przyszłości żydokomunę zastąpi żydobandera – połączenie żydowskiej tożsamości z nacjonalizmem. W Ukrainie tak nazywają się, autoironicznie, żydowscy nacjonaliści ukraińscy, ale zjawisko jest szersze. Izraela i Żydów bronić będzie prawica, nie dlatego że są niesłusznie oskarżani o zbrodnie, ale dlatego, że słusznie jej zdaniem, w obronie narodu i państwa, zbrodnie te popełniają.

Ale oczywiście prawica bronić będzie tylko tych, którzy będą chcieli swą żydowską tożsamość powiązać z ideologią narodową, własną lub cudzą – tak jak żydokomuniści gotowi byli ją powiązać z ideologią ponadnarodowego socjalizmu. Tych, którzy się w tych kategoriach nie zmieszczą, czeka marny los. Za to ci, którzy dziś atakują Izrael za zbrodnie niepopełnione lub nie tylko przezeń popełniane, będą mieli przyjemne poczucie, że byli awangardą walki z taką prawicą.

Zaś Izrael upodobniać się w końcu zacznie zapewne do swej czarnej karykatury, skoro jego krytycy, także i wewnętrzni, stracą w oczach izraelskiej większości wszelką wiarygodność. A przecież dzieje moralnych panik uczą, że aby pozostać moralnym, trzeba przede wszystkim nie panikować.

Konstanty Gebert

jest publicystą „Kultury Liberalnej", znawcą spraw międzynarodowych, specjalizuje się w tematyce bliskowschodniej. Przez lata związany z „Wyborczą" jako korespondent wojenny, dziennikarz, publicysta i eseista. Autor książek „Magia słów: polityka francuska wobec Polski po 13 grudnia 1981 roku", „Obrona poczty sarajewskiej" (pod pseudonimem Dawid Warszawski), „Dziesięć dni Europy: archeologia pamięci", „Miejsce pod słońcem. Wojny Izraela", „Polski alef-bet. Żydzi w Polsce i ich odrodzony świat" (z Krzysztofem Kobusem i Anną Olej-Kobus), „Bałkany. Minibook" (z Moniką Izydorczyk, Wojciechem Stanisławskim, Stefanem Wilkanowiczem. Ostatnio wydał **„Ostateczne rozwiązania. Ludobójcy i ich dzieło"** oraz **„Pokój z widokiem na wojnę. Historia Izraela"**. Obie książki dostępne w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booków na Publio.pl.

eprasa.pl b89c1dd19d

POŚWIĘCENIE JEST NIEMODNE

To, co łączy lewicę i prawicę, jest groźniejsze dla Unii Europejskiej niż Trump

Z **IVANEM KRASTEVEM** ROZMAWIAJĄ W BRUKSELI **LIONEL JULLIEN,** ARTE.TV I **ANDREA PIPINO,** MAGAZYN „INTERNAZIONALE”

LJ: Pierwsze pytanie jest proste, choć odpowiedź pewnie skomplikowana. Co z tą Europą?
– Jest taki bułgarski dowcip: dwóch jasnowidzów spotyka się w Sofii. Jeden mówi do drugiego: Widzę przyszłość. Z tobą wszystko OK. A co ze mną?

Na naszych oczach zmienia się świat. W tym świecie, który się kończy, Europa miała się dobrze. Dzisiaj Europa próbuje się przekształcić. Będzie to proces bolesny.

AP: Pisał pan wiele o kryzysie demokracji liberalnej. Czy obecne przemiany w Europie Zachodniej mają podobny charakter jak w Europie Wschodniej, a różnią się tylko niuansami? Czy jednak są to dwa odmienne trendy, mające odrębne cechy polityczne, historyczne i społeczne?
– Pamiętacie początek „Anny Kareniny” Tołstoja: „Wszystkie szczęśliwe rodziny podobne są do siebie, każda zaś nieszczęśliwa jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Istnieją różnice nawet między krajami Zachodu. Kiedy wszyscy skupiali się na Polsce i Węgrzech, to mowa była o kryzysie demokratyzacji. Teraz jednak chodzi o szerszy kryzys demokracji liberalnej.

Owszem, kraje zachodnie mają dłuższe doświadczenia demokratyczne. Jednak dzisiejszego kryzysu nie da się objaśnić różnicami między Wschodem a Zachodem. A kraje wschodnioeuropejskie także bardzo się różnią od siebie.

LJ: Zmiany nastąpiły w całym świecie, nie tylko w Europie.
– Mnóstwo rzeczy zmieniło się dramatycznie: społeczeństwo, środowisko informacyjne, idea sfery publicznej. Następują zmiany pokoleniowe. Jednak historycznie biorąc, demokracja jest zawsze w kryzysie. Kryzys to coś w rodzaju naturalnego języka demokracji.

W ostatnich dwóch, trzech latach nastąpiło jednak kilka nowych rzeczy. Kiedy kryzys był na Wschodzie albo gdzieś w świecie niezachodnim, uważano, że OK, mają problemy, ale poradzą sobie w końcu. Większość krajów na Wschodzie po prostu imitowała Zachód, dzisiaj ten zachodni model jest w kryzysie.

Po drugie, ludzie lubią wyliczać, ile jest demokracji, ile jest autokracji. A tymczasem zatarła się granica między demokracją a autorytaryzmem. Pamiętacie słynne powiedzenie amerykańskiego sędziego o pornografii: trudno ją zdefiniować, ale kiedy ją zobaczysz, to już wiesz. Z autorytaryzmem jest odwrotnie. Łatwo go zdefiniować, ale kiedy go zobaczysz, to nie jesteś pewien, czy go rozpoznajesz. To niebywała zmiana.

Wreszcie, kryzysu demokracji doświadczają zarówno ci, którzy rządzą, jak i rządzeni. Ale postrzegają go odmiennie. Rządzący zaczynają pojmować, że już nie da się dalej rządzić. Pochodzę z kraju, w którym w ciągu ostatnich trzech lat było osiem wyborów parlamentarnych. Nikt nie zdobywa większości. Fragmentacja połączona z polaryzacją powodują, że kraj nierządem stoi. A ludzie mają prawo głosu, ale nie mają wpływu na władzę.

A.P.: Czy polaryzacja i niemożność rządzenia to zjawiska występujące w Europie Zachodniej, czy raczej tylko w takich krajach, jak Bułgaria?
– Nie tylko. Widzę to w Austrii. We Francji są trzy formacje niezdolne do utworzenia większości. Ostatnio wpadłem na określenie, które objaśnia, jak to widzę: „zdziczały”, jak „zdziczałe koty”. Koty, które żyły z ludźmi, ale potem wylądowały na ulicy. Ich zachowanie uliczne jest zupełnie inne niż kotów, które nigdy nie żyły z ludźmi.

Mamy dziś takie zdziczałe demokracje. Demokracje nawykły bowiem do pewnego stopnia polityki konsensualnej. Ale to przepadło. Dla każdej elity politycznej jest samobójcze, jeśli nie jest zdolna do utworzenia rządu po ośmiu wyborach. Zastanawiasz się, co ci ludzie sami sobie robią. Już nie mówiąc o narodzie. A oni tkwią w błędnym kole. Nie tworzą rządu, ludzie są coraz mniej zainteresowani wyborami, będą na nich głosować już tylko fanatyczni zwolennicy. Ale dla tych najważniejsze jest to, żeby nie wchodzić w konkretne koalicje, a nie – żeby rządzić.

Widzimy dziś, jak ten nacisk na tożsamość wkracza do polityki. Może to mieć bardzo różne przejawy w różnych krajach, np. dotyczące płci, rasy, narodowości. Nasze kraje są przeważnie jednorodne etnicznie, ale widzimy podobne zjawisko polityczne – już nie chodzi o rządzenie, lecz o reprezentowanie własnego poglądu na świat.

L.J.: A wybory w USA? Na czym polegał tam kryzys?
– Pewien Żyd z prowincji wysłał do żony telegram: „Zacznij się martwić, stop, szczegóły wkrótce, stop”. Jesteśmy na tym etapie. Te wybory są wielką zmianą w stosunku do 2016 r., kiedy Trump został prezydentem po raz pierwszy. Można sobie wmawiać, że to aberracja i wróci normalność. Ale on otrzymał mocny mandat.

On ma już własną partię. Kontroluje Kongres. Najważniejsze w przypadku polityków, takich jak Trump, to brać ich dosłownie. Zrobią to, co zapowiadają. Nawet jeżeli jego rządy nie będą szczególnie udane, nawet jeśli poniesie porażkę, Ameryka nie będzie już tym, czym była. Co najmniej trzy, cztery główne propozycje Trumpa z 2016 r., dzisiaj są już w Stanach oczywistością. Granice zostaną zamknięte na imigrację. Zamykają je Demokraci, bo Republikanie nie zdołali tego zrobić skutecznie. Podobnie z polityką przemysłową i protekcjonizmem. Oczywistością jest rywalizacja z Chinami. Podobnie jak niechęć Ameryki do angażowania wojsk za granicą. Biden usiłował pokazać, że „Ameryka wróciła”, ale mu się to nie udało. Ameryka będzie więc inna w stosunku do Europy i Azji.

Zwykliśmy uważać, że znamy Amerykę, i porównywać ją do polityki europejskiej. Było to trafne w latach 50. i 60. w Nowym Jorku, gdy byli tam ci wszyscy francuscy intelektualiści oraz uchodźcy z Niemiec i Europy Wschodniej. Istniał zimnowojenny konsensus liberalny. Dzisiaj jednak amerykański ideologiczny konsensus jest w Miami. Jak latynoamerykańscy przywódcy odchodzący od rządów postępowych czy sam Trump.

L.J: Czy Europa będzie zdolna sama zadbać o bezpieczeństwo swoje i sąsiadów? Do tej pory polegaliśmy zawsze na USA.
– Już teraz nie możemy na nich polegać, bo Amerykanie nie są zainteresowani. Europa jest jak ten starszy gość, który przez 30 lat oglądał w telewizji tylko katastrofy i wojny. A teraz, kiedy staje wobec o wiele groźniejszego świata – sięga po pilota, żeby zmienić kanał, w nadziei, że to wystarczy.

Wojna Rosji przeciwko Ukrainie ugodziła w podstawy bezpieczeństwa Europy. Współzależność ekonomiczna? Można się śmiać, ale Ameryka tak działała. Zwykle ufamy, że jeśli masz z kimś stosunki handlowe, to maleje ryzyko, że wywoła wojnę.

Po drugie, dotychczasowych gwarancji bezpieczeństwa nie można już traktować jako pewnik.

Po trzecie, przywiązanie do narodu, patriotyzm. Europa doznała wstrząsu w sensie pozytywnym,

eprasa.pl b89c1dd19d

• Ulica w centrum Kijowa po rosyjskim ataku rakietowym. 20 grudnia 2024 r.

FOT. YAN REUTERS/DOBRONOSOV

ujrzawszy w Ukrainie ludzi gotowych ginąć za swój kraj. Ale w Europie, gdy mówimy o bezpieczeństwie, to gadamy o budżetach. Ale wojen nie toczą budżety, tylko ludzie. A poświęcenie, ofiara nie są częścią umowy społecznej w Europie. Rządy nie ośmielają się oczekiwać tego od obywateli.

Po czwarte, pojmujemy, że niewiele krajów nienależących do Zachodu jest gotowych bronić światowego porządku, któremu przewodzą USA i Europa. Kiedy wojna się zaczęła, mało komu wprawdzie podobało się to, co robi Putin, ale powiadano: to nie nasz problem, tylko wasz. To, co wy uznajecie za ład, dla nas zawsze było bezładem.

A.P.: Czy USA i Europa zaakceptują taki wynik wojny, którym nie będzie pełnym zwycięstwem Ukrainy?

– Obawiam się, że Europejczycy łatwo pogodzą się z rozejmem, do jakiego zmierza Trump. A to nie będzie układ pokojowy. Zarazem nie wyobrażam sobie, żebyśmy w sensie prawa międzynarodowego zaakceptowali zdobycze terytorialne Rosjan kosztem Ukrainy. Ale trudno wyobrazić sobie też, że Ukraina zdoła odbić swoje terytoria.

Bo nie jest to wojna o ziemię, ale o tożsamość i o populację. Mamy dwa kraje doświadczające kryzysu demograficznego. Traciły mnóstwo ludzi także przed wojną. Wszyscy cytują Zbigniewa Brzezińskiego, który powiadał, że Rosja bez Ukrainy nie jest imperium. Ale dla Putina Rosja bez Ukrainy nie jest Rosją. Nie zrozumiemy tej wojny, jeśli nie weźmiemy pod uwagę porywanych z Ukrainy dzieci. „To nasze dzieci. Potrzebujemy ludzi, potrzebujemy Rosjan, bo na świecie jest za mało nas, Rosjan". Rosja może wygra wojnę, ale nie tę, którą wywołała. Zdobywa terytoria, ale całkowicie wyludnione.

Ukraińcy nie są Rosjanami, wszyscy już to wiedzą. Ale po wybuchu wojny kraj opuściło 10 milionów ludzi. Ilu pozostanie, jeśli nadal będzie tak niestabilnie? Rosjanie zniszczyli infrastrukturę energetyczną Ukrainy. Obawa, że nastąpi eksodus, jest dramatyczna.

W tej wojnie chodzi już nie tylko o Ukrainę. W oczach takich krajów, jak Polska, państwa bałtyckie czy skandynawskie – ta wojna dotyczy ich samych. W sondażu Europejskiej Rady Spraw Międzynarodowych widzimy interesującą rzecz. Otóż kraje, które najmocniej popierają Ukrainę, to nie tyle kraje byłego imperium sowieckiego, ile kraje imperium rosyjskiego. Dawna historia wraca, wracają stare granice imperialne. Kraje takie jak Finlandia, państwa bałtyckie, Polska, były częścią imperium rosyjskiego. To, co się dzieje w Ukrainie, wprost dotyczy ich samych.

Dla krajów dawnego imperium otomańskiego, Bułgarów, Greków, Serbów – to nie ich wojna. A kraje dawnego imperium Habsburgów stoją jak zawsze pośrodku, poróżnione.

Czy Ukraina mogłaby się stać częścią przyszłej architektury bezpieczeństwa Europy?

– Jeżeli Trump wymusi rozejm, to kosztem neutralności Ukrainy, a Rosja będzie kontrolowała z grubsza te tereny, co teraz. Nie przypadkiem Rosjanie usiłują zagarnąć, ile się da. Dla Ukraińców zaś najistotniejsze będzie to, czy takie zawieszenie broni oznacza pokój, czy nie. Czy ludzie zaczną wracać? Czy wrócą inwestycje?

Dla nich jedyny sposób to domagać się, by zachodnie wojska stacjonowały w ich kraju jako siły pokojowe. Wiemy już, że nie będzie tam Amerykanów. Może to będzie jakaś koalicja krajów na to gotowych. Polacy, Bałtowie, Skandynawowie, może Francuzi – o ile prezydent Macron tak zdecyduje.

Drugi problem: jak Ukraina zintegruje się ekonomicznie? Najważniejsze, żeby wrócili ludzie. A jak wiemy z socjologii, im dłużej trwa wojna, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że wrócą. Dlatego możliwe, że Ukraińcy zgodzą się na jakieś zawieszenie broni, zdając sobie sprawę, że na dłuższą metę Rosja będzie miała własne problemy. Na razie Putin zdołał ustabilizować kraj i gospodarkę, ale niewiele zyskał na wojnie. Naprawdę uważał, że to „operacja specjalna", że upora się z Ukrainą w sześć tygodni. Paradoksalnie, wypowiadając wojnę Ukrainie, wypowiedział wojnę Związkowi Sowieckiemu. We wschodniej Ukrainie istniała postsowiecka tożsamość ludzi, którzy mówią po rosyjsku, choć paszporty mają ukraińskie, i nie zastanawiają się, kim właściwie są. Po wybuchu wojny już wiedzą, kim są.

Tego rodzaju wojna o tożsamość coś nam mówi o świecie, w którym spada dzietność. W Europie Wschodniej, gdzie mamy poważny problem depopulacji, tożsamość staje pod znakiem zapytania, ludzie podróżują w różnych kierunkach... I nie da się już przyjmować za pewnik, co to znaczy być Ukraińcem czy Rosjaninem. To może być efekt tego konfliktu. Nawet jeśli dojdzie do zawieszenia broni, to można je zerwać. Rozmawiałem z kimś, kto negocjował z Rosjanami, on uważa, że następny etap może być podobny do paryskich rokowań Amerykanów z Wietnamczykami. Pamiętacie, ile było wtedy zerwanych rozejmów?

Będzie ciężko. Ukrainy nie można pozostawić samej sobie. Jest duża, to nie Finlandia, żadna „finlandyzacja" nie nastąpi. Co najmniej w sensie ekonomicznym i politycznym powinna być częścią Europy.

L.J.: Gospodarka europejska zostaje coraz bardziej w tyle za Stanami.

– Gospodarki niektórych krajów są bardziej dynamiczne, niż się wydaje. Przykładem Polska. W Europie mamy wielki rynek, ale nie mamy wspólnego rynku kapitałowego. Około 90 proc. europejskich funduszy emerytalnych inwestuje w gospodarkę amerykańską.

Europa powinna się naprawdę skonsolidować. Nie stanie się konkurencyjna jedynie dzięki inwestycjom publicznym. System wymaga więcej dynamizmu i ryzyka. A to nie będzie łatwe, bo m.in. inwestycje publiczne stanowiły o sile gospodarki europejskiej.

Spójrzmy na „efekt Trumpa". Przychodzi jego nieprzewidywalny rząd – i nagle rynki amerykańskie pną się do góry, ale europejskie lecą w dół. Europa będzie wzięta w dwa ognie. Nie tylko za sprawą wojny w Ukrainie, ale także z powodu wojny handlowej między Stanami i Chinami. Będziemy ściskani z obu stron, bo jeżeli Ameryka zastosuje wysokie cła, to Chiny będą szukać rynków, zwłaszcza na wysoko subsydiowane produkty.

Mamy przyłączyć się do Amerykanów? Jeśli tak, to na wielu rynkach będzie nam trudno konkurować z Chińczykami, nie tylko w Chinach, ale także w Afryce. A jeśli nie pójdziemy z Amerykanami, to mamy wyzwanie technologiczne. W tej dziedzinie liczą się tylko Chiny i Ameryka. Istnieją dobre firmy europejskie, ale nie mamy czempionów. W tej sytuacji UE stawia na regulacje, w myśl idei, że nasza słabość jest naszą siłą. To pewna szansa dla Europy, skoro mamy tak wielki rynek, który można regulować. Ale musi to być rynek naprawdę wspólny. Największym problemem dotyczącym geopolitycznego znaczenia krajów nie jest to, z kim handlują. Istotne jest to, z kim się dzielą danymi.

Jak zatem dać Europie zastrzyk dynamizmu, zwłaszcza na poziomie startupów, średnich przedsiębiorstw? To zadanie leży w kompetencji poszczególnych krajów. Bruksela może dać pieniądze, ale tego nie stworzy. No i tu znowu kłopot. Bo kiedy Amerykanie przeprowadzą deregulację, a Europa odpowie, zwiększając regulacje – to nic z tego nie wyjdzie.

A.P: Kryzys demograficzny w Europie Wschodniej wiąże z problemem migracji. Od pańskiej książki „After Europe" z 2017 r. nastroje antyimigranckie w Europie jeszcze wzrosły.

– Obawy o demografię i migracja bardzo się łączą. Zaczynamy dostrzegać, że większość ludzi na świecie – niezależnie od tego, czy żyją w demokracji, czy w reżimach autorytarnych – zamieszkuje kraje, gdzie współczynnik dzietności jest poniżej stopy reprodukcji. Gdy w Dolinie Krzemowej rozprawia się o nieśmiertelności, to zwłaszcza jeśli żyjesz w małym kraju jak wielu Europejczyków, odkrywasz... śmiertelność narodu. Odkrywamy śmiertelność tych wszystkich rzeczy, za których pomocą usiłujemy walczyć z naszą śmiertelnością: rodzina, dzieci, narody, poświęcenie... To rodzi taki rodzaj paniki, która oddziałuje na politykę dotyczącą imigracji. A dzieje się to w czasie, gdy należałoby się przystosowywać do świata otwartych granic, bo potrzebujemy ludzi.

Zwróćcie uwagę: mimo że przychodzą rządy skrajnie prawicowe, to ludzie przybywać nie przestają. Od kiedy Giorgia Meloni jest premierką, do Włoch dotarło więcej ludzi niż za poprzednich rządów.

A dlaczego szczególny problem ma Europa Wschodnia? Była niegdyś jednym z najbardziej etnicznie i kulturowo zróżnicowanych regionów Europy. Jak spojrzycie na mapy ukazujące różnice kulturowe, religijne, etniczne – jedną z roku 1900, drugą z roku 2000 – zobaczycie dwie różne Europy. W 1900 r. jednolita etnicznie była Europa Zachodnia,

Co najmniej trzy, cztery główne propozycje, z którymi Trump przyszedł w 2016 r., dzisiaj są już w Stanach oczywistością

Niemcy, Francja... A różnorodna była Europa Wschodnia, ziemie Habsburgów, kraje pod panowaniem osmańskim. W 1939 r. jedna trzecia ludności Polski to nie byli etniczni Polacy, ale Niemcy, Ukraińcy, Żydzi. Potem nastały wojny. Powiada się, że w XX wieku ludzie masowo się przemieszczali. A w Europie Wschodniej ludzie się przemieszczali w taki sposób, że ich kraje stawały się znacznie bardziej jednorodne. Niemcy zostali wygnani, Żydzi – wymordowani, Ukraińcy – przeważnie przeniesieni do Związku Sowieckiego. W efekcie europejskie państwa narodowe ufundowały się w XX w. na zasadzie, że etniczna jednorodność jest tożsama z suwerennością.

L.J: Ten lęk przed zniknięciem narodu jest ogólnoeuropejski?

– Tak, wciąż słyszymy o migracji. Bułgaria jest najszybciej kurczącym się ludnościowo krajem w historii ludzkości. Mimo że nie ma wojen ani katastrof naturalnych. W 1989 r. żyło w kraju dziewięć milionów ludzi, dzisiaj – 6,5 mln. Każdego miesiąca znika jedna wioska, bo umiera ostatnia żyjąca tam osoba. Mamy więc dziadków bez wnuków, bo wnuki mieszkają teraz w Brukseli i nie mówią już po bułgarsku albo dlatego, że dzieci postanowiły nie mieć dzieci.

W tym zjawisku spadku współczynnika urodzeń szokujące jest to, że wynika on z indywidualnych decyzji ludzi. Widzę w polityce europejskiej dwie formy buntu przeciwko wyginięciu [extinction rebellion]. Po lewej stronie są ludzie przerażeni zmianami klimatu. Zdaniem wielu z nich im mniej ludności, tym lepiej. Mówią też, że jeśli będziemy nadal tak żyli, jak do tej pory, to nie będzie już na Ziemi miejsca do życia. Po drugiej, zwłaszcza prawej stronie, mamy zaś bunt demograficzny. Po obu stronach jest więc mowa o „ostatnim człowieku". Tyle że lewica ma na myśli ostatniego przedstawiciela gatunku, natomiast prawica – ostatniego Bułgara, ostatniego Węgra, ostatniego Polaka.

Najistotniejszy jednak w jednym i drugim przypadku jest fakt, że przyszłość traktują jako zagrożenie. Jedni i drudzy nie traktują przyszłości jako projektu, lecz jako projekcje. Dla lewicy to klimat, rosnące temperatury. Dla drugiej strony są to projekcje ludnościowe, np.: ilu jeszcze Bułgarów pozostanie za sto lat? Wedle niektórych szacunków ONZ w roku 2100 będą tylko 74 miliony Rosjan. Możemy więc sobie wyobrazić, co takiemu Putinowi chodzi po głowie, kiedy widzi te prognozy demograficzne.

I nagle przyszłość stanowi zagrożenie. Wcale nie chcemy, żeby nadeszła. A istota demokracji polega na tym, że przyszłość jest otwarta. To ustrój, w którym może nie potrafimy problemów rozwiązać dzisiaj, ale zdołamy się z nimi uporać w przyszłości. Taka otwarta wizja przyszłości pozwala demokracji funkcjonować. Jeśli ludzie boją się przyszłości – to instytucje demokratyczne są sparaliżowane.

A.P.: Czy Europa jeszcze odegra kluczową rolę w świecie?

– Europa nie będzie pępkiem świata. Za sto lat większość ludności świata będzie pochodzić z Afryki. W latach 70. Pierre Hassner, francuski politolog i myśliciel, stworzył pojęcie „konkurencyjnej dekadencji". My sobie dobrze nie radzimy, ale inni także sobie nie radzą. Nawet Amerykanie. Chiński model gospodarczy jest w kryzysie. Nieszczególnie im zazdrościmy i nie pragniemy żyć tak jak Chińczycy.

A zatem Europa ma szansę. Sposobność, aby społeczeństwa żyły, jak chcą żyć. Zapewne nie będziemy potęgą taką jak europejskie imperia w XIX wieku. Jednak niekoniecznie to zła wiadomość. ●

FOT. MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ivan Krastev

• politolog, szef Centrum Strategii Liberalnych w Sofii i wykładowca w Instytucie Nauk o Człowieku (IWM) w Wiedniu. Współzałożyciel Europejskiej Rady Stosunków Międzynarodowych (ECFR).

Wywiad przeprowadziła europejska platforma ARTE i udostępnia go w 9 językach w ramach partnerstwa medialnego EMOVE Hub. W skład konsorcjum poza „Wyborczą" wchodzą: „El País" (Hiszpania), „Internazionale" (Włochy), „Ir", (Łotwa), „Kathimerini" (Grecja), „Le Soir" (Belgia) i Telex (Węgry). Ich współpraca jest dofinansowana przez UE dzięki inicjatywie DG CNCT, która zachęca do tworzenia „Europejskich centrów medialnych" w ramach unijnych Działań Multimedialnych.

eprasa.pl b89c1dd19d

Prawicolewico- upiór

Suplementy diety, New Age, antysemityzm i wiara w Putina, a wszystko to na TikToku. Jak im to się skleja?

FOT. GETTY IMAGES

Anne Applebaum

Ośnieżone sosny otaczają brzeg zamarzniętego jeziora. Prószy śnieg, w tle słychać relaksacyjną muzykę. Siwowłosy mężczyzna o pogodnej twarzy stoi nad jeziorem. Zaczyna się rozbierać. Wyjaśnia, że idzie popływać, aby zademonstrować swoją wiarę i sprzeciw wobec nauki, technologii i nowoczesności.

„Nie potrzebuję Facebooka, nie potrzebuję internetu, nie potrzebuję nikogo. Potrzebuję tylko mojego serca" – mówi. Płynąc przez jezioro, jakby zupełnie niewzruszony zimnem, kontynuuje: „Ufam mojemu układowi odpornościowemu, bo mam pełne zaufanie i wiarę w jego Stwórcę, w Boga. Moja odporność jest częścią suwerenności mojego istnienia".

To Calin Georgescu, człowiek, który zszokował rodaków, wygrywając pierwszą turę wyborów prezydenckich w Rumunii 24 listopada, mimo że niemal nie istniał w sondażach, a kampanię prowadził głównie na TikToku.

Zasady platformy, teoretycznie zaprojektowane, by ograniczyć lub regulować przekaz polityczny, najwyraźniej go nie powstrzymały. Wręcz przeciwnie, korzystał z taktyk, które wielu influencerów w portalach społecznościowych stosuje, aby zdobyć przychylność algorytmu. Czasami dodawał łagodną, melancholijną muzykę fortepianową, pod którą apelował do ludzi: „Głosujcie swoimi duszami". Innym razem używał wyskakujących napisów, ostrego oświetlenia, fluorescencyjnych kolorów i muzyki elektronicznej, wzywając do „narodowego odrodzenia" i krytykując tajne siły, które rzekomo próbowały zaszkodzić Rumunom. „Nakaz niszczenia naszych miejsc pracy przyszedł z zewnątrz" – mówi w jednym z filmików. W innym opowiada o „przekazach podprogowych" i kontroli myśli, a jego głos towarzyszy obrazom dłoni trzymającej sznurki marionetki. W miesiącach poprzedzających wybory te nagrania zgromadziły ponad milion wyświetleń.

Kiedy indziej ten łagodnie wyglądający mistyk New Age wychwalał Iona Antonescu, rumuńskiego dyktatora, który spiskował z Hitlerem i został skazany na śmierć za zbrodnie wojenne, w tym za udział w rumuńskim Holocauście. Nazywał Antonescu i przedwojennego przywódcę Żelaznej Gwardii, brutalnego antysemickiego ruchu, bohaterami narodowymi. Dwukrotnie spotkał się z Aleksandrem Duginem, ideologiem rosyjskiego faszyzmu, który opublikował na X oświadczenie, że „Rumunia stanie się częścią Rosji".

Jednocześnie Georgescu wychwala duchowe właściwości wody. „Nie wiemy, czym jest woda" – mówił; „H2O nic nie znaczy". Twierdził również: „Woda ma pamięć, a my niszczymy jej duszę przez zanieczyszczenia", „Woda żyje i wysyła nam wiadomości, ale nie potrafimy ich słuchać". Wierzy, że napoje gazowane zawierają nanochipy, które „wchodzą w ciebie jak laptop". Jego żona Cristela tworzy na YouTubie filmy o uzdrawianiu, posługując się w nich takimi terminami, jak „kwasica limfatyczna" i „metabolizm wapnia".

Oboje promują również „pokój", dość mglisty cel, który prawdopodobnie zakłada, że Rumunia, która graniczy z Ukrainą i Mołdawią, powinna przestać pomagać Ukrainie w obronie przed rosyjskimi najeźdźcami. „Wojny nie można wygrać wojną" – napisała Cristela Georgescu na Instagramie kilka tygodni przed głosowaniem. „Wojna niszczy nie tylko fizycznie, niszczy SERCA". Ani ona, ani jej mąż nie wspominają o zagrożeniach dla bezpieczeństwa Rumunii, które znacząco wzrosłyby po zwycięstwie Rosji w Ukrainie, ani o kosztach ekonomicznych, kryzysie uchodźczym czy niestabilności politycznej, jakie by za sobą pociągnęło.

Calin Georgescu twierdził, iż nie wydał na tę kampanię ani grosza, lecz rumuński rząd podaje, że ktoś nielegalnie zapłacił użytkownikom TikToka setki tysięcy dolarów za promowanie Georgescu oraz że nieznani zewnętrzni aktorzy koordynowali działania dziesiątek tysięcy fałszywych kont, w tym niektórych podszywających się pod instytucje państwowe, które go wspierały.

Hakerzy podejrzewani o powiązania z Rosją przeprowadzili również ponad 85 tys. cyberataków na infrastrukturę wyborczą Rumunii. 6 grudnia w odpowiedzi na ustalenia rumuńskiego rządu dotyczące „agresywnych" ataków Rosji i naruszeń rumuńskiego prawa wyborczego trybunał konstytucyjny Rumunii unieważnił wybory i anulował wyniki pierwszej tury.

•

Biorąc pod uwagę tę dziwną mieszankę – nostalgię za Żelazną Gwardią i rosyjskimi trollami w połączeniu z rodza-

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

jem wellnessowego bełkotu częściej kojarzonego z Gwyneth Paltrow – kim właściwie są państwo Georgescu? Jak ich zaklasyfikować? Choć kusi, by opisać ich jako „skrajną prawicę", to staroświeckie określenie nie do końca oddaje, kogo lub co reprezentują.

Terminy „prawica" i „lewica" pochodzą z czasów rewolucji francuskiej, kiedy to szlachta chcąca zachować status quo zasiadała po prawej stronie Zgromadzenia Narodowego, a rewolucjoniści domagający się demokratycznych zmian – po lewej. Te definicje zaczęły zawodzić mniej więcej dekadę temu, gdy część prawicy, zarówno w Europie, jak i Ameryce Północnej, zaczęła opowiadać się nie za ostrożnością i konserwatyzmem, lecz za destrukcją istniejących instytucji demokratycznych.

W nowym wcieleniu skrajna prawica zaczęła przypominać starą skrajną lewicę. W niektórych miejscach oba te nurty zaczęły się ze sobą integrować.

Kiedy w 2017 roku po raz pierwszy pisałam o potrzebie nowej terminologii politycznej, napotkałam trudności ze znalezieniem lepszych określeń. Jednak teraz zarys popularnego ruchu politycznego staje się coraz wyraźniejszy, a ruch ten nie ma nic wspólnego z prawicą ani lewicą w znanych nam formach.

Filozofowie Oświecenia wierzący w możliwość istnienia państw demokratycznych opartych na prawie, którzy dali nam zarówno rewolucję amerykańską, jak i francuską, piętnowali to, co nazywali obskurantyzmem: mrok, zaciemnianie, irracjonalność. Natomiast prorocy tego, co można by nazwać nowym obskurantyzmem, oferują dokładnie to: magiczne rozwiązania, aurę duchowości, zabobony i kultywowanie strachu. W ich szeregach znajdują się szarlatani zdrowotni i influencerzy, którzy rozwinęli polityczne ambicje; zwolennicy quasi-religijnego ruchu Qanon* i jego spin-offów w stylu Pizzagate**; a także członkowie różnych partii politycznych w całej Europie, które są prorosyjskie, antyszczepionkowe, a w niektórych przypadkach promują mistyczny nacjonalizm.

•

Te dziwne zbieżności można dostrzec wszędzie. Zarówno lewicowa niemiecka polityk Sahra Wagenknecht, jak i prawicowa partia Alternatywa dla Niemiec promują sceptycyzm wobec szczepionek i zmian klimatycznych, nacjonalizm krwi i ziemi oraz wycofanie niemieckiego wsparcia dla Ukrainy. W całej Europie Środkowej fascynacja runami i magią ludową współgra zarówno z prawicową ksenofobią, jak i lewicowym pogaństwem. Przywódcy duchowi stają się politykami, a aktorzy polityczni skłaniają się ku okultyzmowi. Tucker Carlson, były gospodarz Fox News, który stał się apologetą rosyjskiej agresji, twierdzi, że został zaatakowany przez demona, który zostawił na jego ciele „ślady pazurów".

Ten nowy obskurantyzm dotarł już do najwyższych szczebli amerykańskiej polityki. Zarówno obcokrajowcom, jak i Amerykanom trudno wyjaśnić ideologię reprezentowaną przez niektóre z początkowych nominacji Donalda Trumpa do jego gabinetu, i to nie bez powodu. Chociaż Trump wygrał reelekcję jako Republikanin, nie było w tym nic tradycyjnie „republikańskiego", gdy na stanowisko dyrektora wywiadu narodowego zaproponował Tulsi Gabbard. Gabbard jest byłą postępową Demokratką, przez całe życie związaną z Science of Identity Foundation, odłamem sekty Hare Kryszna. Podobnie jak Carlson, jest ona również apologetką Putina oraz niedawno obalonego dyktatora Syrii Baszara al-Asada, których fantazyjne kłamstwa czasem powtarzała.

Również nic „konserwatywnego" nie było w nominacji Kasha Patela na dyrektora FBI. Patel sugerował, wbrew wartościom takim, jak kontynuacja, szacunek dla tradycji i racja stanu, że weźmie na celownik długą listę obecnych i byłych urzędników państwowych, w tym wielu, którzy służyli w pierwszej administracji Trumpa. W duchu nowego obskurantyzmu promował także Warrior Essentials, firmę oferującą antidotum i na COVID-19, i na szczepionki przeciw koronawirusowi.

W nowym wcieleniu skrajna prawica zaczęła przypominać starą skrajną lewicę. W niektórych miejscach oba te nurty zaczęły się ze sobą integrować

Nikt, kto traktuje poważnie filozofię Edmunda Burke'a czy Williama F. Buckleya Jr., nie powierzyłby teoretykowi spiskowemu takiemu jak Robert F. Kennedy Jr. – kolejnemu apologecie Putina, byłemu Demokracie (i to z najbardziej znanej demokratycznej rodziny w Ameryce) oraz przeciwnikowi szczepionek i fluoryzacji – odpowiedzialności za amerykańską służbę zdrowia.

Żaden „konserwatywny" obrońca tradycyjnych wartości rodzinnych nie zaproponowałby na ambasadora we Francji skazanego przestępcy, który wysłał prostytutkę, by uwiodła męża własnej siostry i stworzyła kompromitującą taśmę – zwłaszcza jeśli tym skazanym przestępcą byłby ojciec zięcia prezydenta.

•

Zamiast konserwatyzmu w tradycyjnym rozumieniu ta grupa oraz jej międzynarodowe odpowiedniki reprezentują fuzję kilku trendów, które od dłuższego czasu się zbiegają.

Sprzedawcy suplementów diety i niezweryfikowanych medycznie leków na COVID-19 integrują się teraz – i to nieprzypadkowo – z otwartymi wielbicielami Rosji Putina, zwłaszcza tymi, którzy błędnie wierzą, że Putin stoi na czele „białego, chrześcijańskiego narodu". Nie bacząc, że w rzeczywistości Rosja jest krajem wielokulturowym, wielorasowym i w dużej mierze areligijnym; wystarczy, że jej trolle promują prócz kłamstw o Ukrainie sceptycyzm wobec szczepionek.

Zwolennicy węgierskiego premiera Viktora Orbána – drobnego autokraty, który zubożył swój kraj, dziś jeden z najbiedniejszych w Europie, jednocześnie wzbogacając swoją rodzinę i przyjaciół – znajdują wspólny język z Amerykanami, którzy łamali prawo, trafiali do więzienia, kradli z własnych organizacji charytatywnych lub nękali kobiety. Nic dziwnego: w świecie, gdzie teorie spiskowe i rzekome lekarstwa są powszechnie akceptowane, oparte na dowodach koncepcje winy i przestępczości szybko tracą na znaczeniu.

•

Wśród zwolenników tego nowego ruchu politycznego znajdują się jedni z najmniej zamożnych Amerykanów. Wśród jego sponsorów – jedni z najbogatszych.

George O'Neill Jr., spadkobierca fortuny Rockefellerów i członek rady nadzorczej magazynu „The American Conservative", pojawił się po wyborach w Mar-a-Lago, słynnej posiadłości Trumpa. O'Neill, który był bliskim kontaktem Marii Butiny, rosyjskiej agentki deportowanej w 2019 roku, promuje Gabbard co najmniej od 2017 roku, wspierając jej kampanię prezydencką w 2020 roku, a także kampanię Kennedy'ego w roku 2024. Elon Musk, miliarder i wynalazca, który wykorzystał swoją platformę społecznościową X, aby dać algorytmiczny impuls historiom, o których z pewnością wie, że są fałszywe, zdołał zapewnić sobie rolę w rządzie.

Czy O'Neill, Musk i handlarze kryptowalut, którzy zbliżyli się do Trumpa, robią to dla pieniędzy? Czy może naprawdę wierzą w spiskowe i czasami antyamerykańskie idee, które propagują?

Może jedno, może drugie, a może i to, i to. Niezależnie od tego, czy ich motywacje są cyniczne, czy szczere, ich wpływ jest istotniejszy – nie tylko w USA, ale także na całym świecie.

Na dobre czy na złe Ameryka daje przykład, za którym podążają inni. Samym ogłoszeniem zamiaru mianowania Kennedy'ego do swojego gabinetu Trump zapewnił, że sceptycyzm wobec szczepień dzieci rozprzestrzeni się na całym świecie, a wraz z nim same choroby. A epidemie, jak przekonaliśmy się nie tak dawno, skłaniają ludzi do odczuwania strachu i większej podatności na magiczne rozwiązania.

•

Inne cywilizacje również tego doświadczały. Gdy ich imperium zaczęło podupadać w XVI wieku, Wenecjanie zaczęli zwracać się ku magii i poszukiwaniu szybkich sposobów na wzbogacenie się.

Mistycyzm i okultyzm szerzyły się gwałtownie w schyłkowych dniach Imperium Rosyjskiego. Chłopskie sekty promowały egzotyczne wierzenia i praktyki, w tym antymaterializm, samobiczowanie i samokastrację. Arystokraci w Moskwie i Petersburgu zwracali się ku teozofii, mieszance religii świata, której rosyjska twórczyni Helena Bławatska przeniosła swoje hinduistyczno-buddyjsko-chrześcijańsko-neoplatońskie credo do Stanów Zjednoczonych. Ta sama gorączkowa, emocjonalna atmosfera, która napędzała te ruchy, ostatecznie wyniosła Rasputina – chłopskiego świętego człowieka, który twierdził, że ma magiczne zdolności uzdrawiania – do pałacu carskiego. Po przekonaniu carycy Aleksandry, że potrafi wyleczyć hemofilię jej syna, Rasputin stał się ostatecznie doradcą politycznym cara. Wpływ Rasputina wywołał w konsekwencji pewnego rodzaju szerszą histerię. Do czasu wybuchu I wojny światowej wielu Rosjan było przekonanych, że mroczne siły – *tiomnyje siły* – potajemnie kontrolują kraj. „Mogły one oznaczać różne rzeczy dla różnych ludzi – Żydów, Niemców, masonów, Aleksandrę, Rasputina i dworską kamarylę" – pisze Douglas Smith, jeden z biografów Rasputina. „Ale wierzono, że to oni są prawdziwymi władcami Rosji". Jak ujął to jeden z rosyjskich teozofów: „Wrogowie naprawdę istnieją i zatruwają Rosję negatywnymi emanacjami".

Zamień termin „tajemnicze siły" na „głębokie państwo" – teraz, jak bardzo ta historia różni się od naszej? Podobnie jak Rosjanie w 1917 roku, żyjemy w epoce gwałtownych, często niezauważalnych zmian – gospodarczych, politycznych, demograficznych, edukacyjnych, społecznych, a przede wszystkim informacyjnych. My również egzystujemy w nieustannej kakofonii, gdzie sprzeczne przekazy – z lewej i z prawej, prawdziwe i fałszywe – przewijają się nieustannie na naszych ekranach.

Tradycyjne religie są w długotrwałym regresie. Zaufane instytucje wydają się zawodzić. Technooptymizm ustąpił miejsca technopesymizmowi, lękowi, że technologia teraz kontroluje nas w sposób, którego nie jesteśmy w stanie zrozumieć. A w rękach Nowych Obskurantystów – którzy aktywnie promują strach przed chorobą, strach przed wojną nuklearną, strach przed śmiercią – lęk i niepokój stają się potężną bronią.

•

Dla Amerykanów połączenie pseudoduchowości z polityką stanowi odejście od niektórych z naszych najgłębiej zakorzenionych założeń: że logika i rozum prowadzą do dobrego rządu; że debata oparta na faktach prowadzi do dobrej polityki; że rządy prosperują w świetle dziennym; że porządek polityczny opiera się na zasadach, prawach i procesach, a nie na mistycznej charyzmie.

Zwolennicy Nowego Obskurantyzmu zerwali z ideałami Ojców Założycieli Ameryki, z których wszyscy uważali się za ludzi Oświecenia. Benjamin Franklin był nie tylko myślicielem politycznym, ale także naukowcem i odważnym orędownikiem szczepień przeciw ospie. Jerzy Waszyngton pedantycznie odrzucał monarchię, ograniczał władzę wykonawczą i ustanawiał rządy prawa. Późniejsi amerykańscy liderzy – Lincoln, Roosevelt, King – cytowali konstytucję i jej autorów, by wzmocnić własne argumenty.

Ta rosnąca nowa międzynarodowa elita tworzy coś zupełnie innego: społeczeństwo, w którym przesądy pokonują rozum i logikę, przejrzystość zanika, a niegodziwe działania przywódców politycznych są ukrywane za chmurą nonsensów i rozproszeń. W świecie, gdzie liczy się tylko charyzma, nie istnieją mechanizmy równowagi i kontroli; w świecie, gdzie emocje pokonują rozum, nie ma rządów prawa – istnieje tylko pustka, którą może wypełnić każdy, kto opowie szokującą i przykuwającą uwagę historię. ●

*Jego członków łączy wiara w niejakiego Q sugerującego w tajemniczych postach, że jest wysoko postawionym człowiekiem amerykańskich elit, który rozsiewa sensacje o „głębokim państwie" starych elit politycznych i biznesowych sprzysiężonych przeciwko Trumpowi.

**Rozkwitła przed amerykańskimi wyborami prezydenckimi 2016 roku teoria spiskowa o szajce pedofilów z waszyngtońskiej elity politycznej, których kwaterą główną i miejscem orgii jest jedna z pizzerii.

• Przełożyła Patrycja Eiduka. Tytuł i lead od redakcji

© 2024 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic"
All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency

• **„Koncern autokracja"** – nowa książka Anne Applebaum w przekładzie Michała Rogalskiego – niedawno ukazała się nakładem Wydawnictwa Agora. Dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka i audiobooka na Publio.pl. Tam również w formie papierowej oraz cyfrowej wcześniejsze bestsellery Anne Applebaum – „Gułag", „Czerwony głód", „Zmierzch demokracji" i rozmowa rzeka z Donaldem Tuskiem „Wybór".

eprasa.pl b89c1dd19d

OBYCZAJE KULTURA NAUKA

PLEBISCYT „KSIĄŻKA 25-LECIA"

KIJEM PO KLATCE Z INTELIGENTAMI

ZE **SZCZEPANEM TWARDOCHEM,**
AUTOREM M.IN. „DRACHA", „MORFINY" I „KRÓLA"
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**
O plebiscycie „Wyborczej" czytaj ▶ **25**

25 lat temu...
– Studiowałem na Uniwersytecie Śląskim, na Międzywydziałowych Indywidualnych Studiach Humanistycznych. Zacząłem od filozofii i politologii, jednak okazało się, że na politologii na UŚ uczą jakieś postpezetpeerowskie dziady, więc po roku dałem sobie z politologią spokój. Nie żałuję.

Studia...
– Skończyłem socjologię i filozofię. Napisałem i obroniłem pracę magisterską z socjologii. Z filozofii też zacząłem pisać, po czym uzmysłowiłem sobie, że to nie ma sensu. Koniec studiów był momentem konfrontacji z tym, co niektórzy nazywają okrutną zasadą rzeczywistości. Wtedy, na początku XXI wieku, bezrobocie na Górnym Śląsku – przynajmniej oficjalnie – wynosiło kilkanaście procent.

Miałem wtedy ambicje, by zostać na uczelni, zacząłem nawet pisać doktorat: niemiecka rewolucja konserwatywna w latach 1913-33. Ernst Jünger, Carl Schmitt, Ernst Niekisch, Arthur Moeller van den Bruck i tak dalej... Uczelnia mnie jednak nie chciała, a na eksternistyczne studia doktoranckie nie było stać ani mnie, ani moich rodziców.

Wychodząc wtedy w świat, czułem się człowiekiem zbędnym, niepotrzebnym i to poczucie pewnie miało jakoś charakter formacyjny.

Marzyłeś o byciu pisarzem?
– Nie, nigdy. Nie traktowałem tego zajęcia poważnie. Pisałem, uważając to za niezbyt istotne hobby. W 2000 albo 2001 r. opublikowałem pierwsze opowiadania w „Science Fiction", ale prawdziwą radość sprawiło mi, gdy Maciek Parowski przyjął moje opowiadanie „Cud domu brandenburskiego" do „Nowej Fantastyki". Ukazało się rok po debiucie w „Science Fiction". „NF" wydawała mi się wtedy bardzo prestiżowym miejscem. Wiesz, cała ta „poważna" prasa literacka, te wszystkie „Odry" i co tam jeszcze... w ogóle tego nie czytałem, nie interesowało mnie to.

Fantastyka cię interesowała?
– Nie mogę powiedzieć, że byłem jej zapalonym czytelnikiem. W liceum przeczytałem Lema, Sapkowskiego, Tolkiena, chyba tyle. Czytałem kolejne tomy antologii „Kroki w nieznane", w której Lech Jęczmyk zamieścił „Kwiaty dla Algernona" Daniela Keyesa. Wspaniały tekst! Ale to chyba tyle.

Ale „NF" czytałeś?
– Od dziecka.

Publikujesz w „NF" i myślisz: może coś z tego będzie?
– A skądże, płacili przecież jakieś grosze. Nie wyobrażałem sobie, by można żyć z pisania. Ale w 2025 roku myślę tak samo. Odradzam zabieranie się do literatury z założeniem, że jest to coś, z czego można żyć. Równie dobrze można zostać profesjonalnym graczem w totka. Szanse niewiele mniejsze. Mnie i paru innym się udało, tak samo jak niektórym udaje się trafić szóstkę, ale nawet ci, którzy trafili, nie powinni raczej polecać innym gry jako sensownej strategii.

Nie polecasz, ale sam piszesz.
– Bo zrządzeniem losu mogłem zająć się literaturą zawodowo, ale piszę też z wewnętrznej potrzeby. Jednak wtedy, na początku, pisanie to była zabawa. W pisaniu jest coś próżnego, bo człowiek zakłada, że...

...inni chcą go usłyszeć?
– Że ma coś do powiedzenia światu. Takiego, co musi wybrzmieć publicznie.

Co wtedy chciałeś powiedzieć światu?
– Pytasz o prozę? Nie wiem. Dzisiaj, gdy czuję, że chcę coś powiedzieć, piszę publicystykę, tekst dyskursywny. A w powieściach? Gdybym to ja wiedział...

A krytyka od lat próbuje przyłapać cię na tym, co ty właściwie chciałbyś światu opowiedzieć.
– Krytyka literacka zajmuje się mną od roku 2012, gdy wydałem „Morfinę". Pierwszy tekst krytycznoliteracki na poważnie, jaki pamiętam, to był tekst Pawła Dunin-Wąsowicza o „Wiecznym Grunwaldzie", który zamieścił w „Polityce".

„Wydarzenie", „najbardziej intrygująca książka roku", „przełomowa książka dla Szczepana Twardocha" – pisał Dunin. Był 2010 rok.
– Nie byłoby jednak zainteresowania krytyki, gdyby nie „Morfina", a zwłaszcza Paszport „Polityki". Zaczęto o mnie pisać, jakbym zadebiutował, mimo że była to moja szósta powieść.

Z katakumb na estrady...
– Te katakumby zresztą były bardzo ciekawe. Pisałem do prasy konserwatywnej. Do „Frondy" na przykład, co wtedy uważałem za bardzo nobilitujące; wypisywałem tam różne mniej lub bardziej mądre mądrości utrzymane dokładnie w katolickim i konserwatywnym profilu. Głównie głupoty.

Czemu w to wszedłem? Uważałem się za konserwatystę i katolika, ale nie znosiłem tego, w jaki sposób realizowała się w Polsce myśl prawicowa – jej przaśności, kościółkowości. Wczesna „Fronda" wydawała mi się wtedy wyrafinowana artystycznie, literacko, intelektualnie. Ta, do której sam pisałem, już mniej. Ale to z pierwszych numerów „Frondy" dowiedziałem się o istnieniu Ernsta Jüngera czy Gilberta Keitha Chestertona. Dzięki temu drugiemu pozostawałem jakoś w orbicie kulturowego katolicyzmu nawet wtedy, gdy już ostatecznie pożegnałem się z Kościołem i wiarą. Jednak i to minęło.

Wróćmy jeszcze do lat 90. XX w., bo z dzisiejszej perspektywy okazują się fascynujące. W kulturze to czas ekscesów, przekroczeń, niezwykłe laboratorium, w którym kipi.
– „Bywają epoki upadku, w których zaciera się forma stanowiąca najbardziej immanentny wzorzec życia. Wtrąceni w nie zataczamy się na prawo i lewo jak istoty pozbawione równowagi. Z tępych przyjemności wpadamy w tępy ból, a świadomość straty, ożywiająca nas ciągle, ponętniej rysuje przed nami przyszłość i przeszłość" – to mój ulubiony cytat z „Marmurowych skał" Jüngera.

Przełom 1989 roku był szokiem. A społeczeństwo było czymś na kształt magmy, która szukała swojej formy. To był potworny czas. Na dworcu w Katowicach szło się slalomem między zgiętymi w pół heroinistami. Gdy dziś patrzę na zdjęcia uzależnionych od fentanylu, przypomina mi się ten dworzec przełomu wieków. Ale wiesz, jak człowiek ma 18 lat, to nie zajmuje się światem, lecz nagle eksplodującym życiem.

Inna sprawa, że przestrzeń wolności była wtedy – wydaje mi się – większa niż dzisiaj.

Możesz chodzić do kościoła co niedzielę, ale jak nie pójdziesz na roraty, to nie jesteś dobrym katolikiem. Mnie takie ortodoksje przestały interesować 15 lat temu

Moglibyśmy o tym pewnie jeszcze długo, ale mieliśmy rozmawiać o twoich 25 latach. Byliśmy już blisko „Morfiny", ale skręciliśmy.
– Czas przed „Morfiną" był dla mnie niezwykle intensywny. W magazynie „Arcana" wychodziły „Wypisy z dziennika". Pisałem relacje z podróży do Rosji i Mongolii, recenzje książek...

Utrzymywałeś się z tego?
– Nie, coś ty!

Gdzie pracowałeś?
– Usiłowałem zostać przedsiębiorcą. Wzorem był dla mnie tata. Leśnik, który skończył w kopalni. Bardziej nad kopalnią, bo zajmował się rekultywacją hałd, czyli ich zalesianiem. Gdy w 1994 roku zwolnił się z kopalni, założył niedużą firmę, która zajmowała się utrzymaniem terenów zielonych. Nie był to wielki biznes, ale zarabiał na rodzinę. Wiesz, kiedy po raz pierwszy leciałem samolotem? Gdy miałem 25 lat. Wtedy też chyba pierwszy raz spałem w hotelu. Wybacz dygresję.

To co z tą pracą?
– Zaczęło się od pasji. Zajmowałem się wtedy hobbystycznie szermierką historyczną, fechtowałem. Mieliśmy z kolegami nawet stronę internetową. Ale w Polsce trudno było kupić broń, która by się do szermierki nadawała. Więc zaczęliśmy ją sami robić. Nauczyłem się pracy z metalem, spawania, obsługiwania szlifierki, frezarki.

Okazało się, że w Stanach Zjednoczonych jest rynek zbytu. I wyjątkowo korzystny kurs dolara. Amerykanie płacili za broń nawet 10 razy więcej niż Polacy. Ze sto sztuk wyeksportowaliśmy. Zarabiałem też na sprzedaży w Polsce – miałem klientów i na ich zamówienie szukałem starych, oryginalnych szabel czy pałaszy, znałem się nieźle na broni z XIX wieku. Potrafiłem kupić „dużego bluchera", tj. pruską szablę kawaleryjską z 1811 r., za 4 tys. i sprzedać za 12.

To dlatego bohaterowie twoich książek niemal zawsze ostrzą jakiś nóż?
– Mam nawyk noszenia ze sobą noża. Mój dziadek uważał, że chłop powinien mieć zawsze przy sobie pieniądze, zapałki i nóż. Nie palę, kartę bankową mam w telefonie, ale nóż mi jakoś został. Nienawidzę tępych noży. Tępy nóż wzbudza we mnie odrazę. Wiesz, to chyba nawet gorzej niż brudne buty. Takie natręctwo po prostu.

To dlaczego dzisiaj nie jesteś potentatem historycznych rapierów?
– Zapadł się kurs dolara, a wraz z rozwojem internetu wyrównały się ceny takiego sprzętu. A do prowadzenia biznesu się po prostu nie nadawałem i wszystkie mi zbankrutowały. Wtedy też dostałem jedyną w moim życiu prawdziwą pracę. Od 2004 do 2006 roku byłem redaktorem inicjującym w gliwickim wydawnictwie. Właśnie wtedy – gdy wysłali mnie na targi do Nowego Jorku – pierwszy raz leciałem samolotem i spałem w hotelu.

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

„Nie wyobrażałem sobie, by można żyć z pisania. Ale w 2025 roku myślę tak samo”.

Szczepan Twardoch
opowiada o ćwierćwieczu swojej twórczości.
I wybiera książkę 25-lecia

FOT. DAWID GRZELAK

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

Co kupowałeś?
– Poradniki biznesowe. Straszne bzdury, starałem się tego nie czytać. Ale nie najgorzej mi szło. Dostałem nawet nagrodę za wypełnienie planów. Potem mnie wyrzucili, bo nie nadawałem się do pracy w organizacji. Nic strasznego się nie działo, po prostu nie potrafiłem utożsamiać się z duchem firmy. Chodziłem tam, bo potrzebowałem wypłaty. Sam też bym się pewnie wywalił z roboty.

Łukasz Orbitowski nazwał kiedyś te czasy gospodarką cudów – nie było żadnego przełożenia między ilością włożonej w coś pracy a zapłatą za nią. Za książkę dostawałem 3 tys. zł, potem może 1,5 tys. ze sprzedaży. Ale poza pisaniem robiłem mnóstwo rzeczy. Pisałem recenzje wewnętrzne dla wydawnictw, artykuły. „Wieczny Grunwald" też napisałem na zlecenie Narodowego Centrum Kultury. Dostałem za niego wtedy dobre pieniądze.

Problemem z NCK była jego dystrybucja, a właściwie jej brak. „Wieczny Grunwald" można było kupić tylko w jednej księgarni – ich własnej. A to było piękne wydanie, Irek Konior je zilustrował.

„Wieczny Grunwald" to dla ciebie przełom w twórczości? Nie „Morfina"?
– To wszystko jest dziwne. „Wieczny Grunwald" miał na pewno jakąś uwagę recenzencką, choć najwięcej zrobił tu Dunin-Wąsowicz. Jednocześnie to była chyba najtrudniejsza z moich książek, jedyna powieść science fiction, jaką napisałem, na koncepcie zaczerpniętym od Teilharda de Chardin i Franka J. Tiplera.

Na pewno „Wieczny Grunwald" był momentem wypracowania własnej dykcji, bardzo konkretnej, której wcześniej nie umiałem znaleźć. Wszystko, co napisałem wcześniej, było treningiem języka. Długi czas był on zwyczajnie niezgrabny.

A „Morfina"? Ta powieść mi się wymyśliła dokładnie tak samo jak poprzednie. Gdy ją pisałem, nie miałem poczucia, że przekraczam jakiś Rubikon. Pisałem ją dokładnie tak samo, jak każdą książkę wcześniej.

Dostałeś Paszport „Polityki", nominację do Nike.
– Było w tym coś z drugiego dojrzewania. Może książka i sukces sprawiły, że musiałem przyspieszyć. Sukces „Morfiny" nie oznaczał dla mnie wejścia na salony, zresztą byłem i jestem raczej na marginesach towarzyskiego życia okołoliterackiego, a raczej to, że nagle zacząłem zarabiać prawdziwe pieniądze, pisząc książki. Jak dostałem pierwszy przelew za „Morfinę", to było bardzo dużo pieniędzy. Na szczęście dzięki pracy w Helionie nauczyłem się rynku wydawniczego od drugiej strony. Umiałem czytać umowy, negocjować, dbać o swój interes.

Zacząłeś dbać o „markę osobistą"?
– Nie tak od razu. W „Wyborczej", chyba zaraz po „Morfinie", mam takie zdjęcie: byłem po paru dniach zabawy z przyjaciółmi, dość, powiedzmy, intensywnej, a rano przyszedł fotograf z gazety i zrobił mi zdjęcie, na którym wyglądam, mówiąc delikatnie, jak człowiek dość zmęczony. A trafiło na okładkę. Później już bym sobie na coś takiego nie pozwolił. Nigdy nie miałem doradców od wizerunku, sam wszystko musiałem wypracować.

Wraz z pojawieniem się Twardocha, który jest autorem „Morfiny" i „Króla", zaczęła się twoja gra z polskim inteligentem, którego czasem po prostu celowo wkurwiałeś. Zarzucano ci np. pokazową apolityczność.
– Sam siebie nie uważam za apolitycznego. Mam bardzo konkretne opinie na temat życia politycznego i nie wydaje mi się, bym je ukrywał. Zmieniały się, to oczywiste. Od licealnego pseudoanarchizmu z dredami...

Czekaj! Miałeś dredy?
– Nie na całej głowie. Kilka. Krótko.

Przepraszam, kontynuuj.
– Więc z licealnego anarchizmu poszedłem w stronę katolicyzmu w stylu G. K. Chestertona, tradycji konserwatywnych czerpiących od Edmunda Burke'a. Przeszedłem też jako młody student przez kompletne już głupoty w rodzaju Klubu Zachowawczo-Monarchistycznego, którego byłem członkiem. Co prawda całe to moje członkostwo polegało na tym, że wysłałem składkę i dostałem odznakę, ale jednak coś mnie do tej deklaracji skłoniło.

Dalej cenię myśl konserwatywną jako taką, ale zdałem sobie sprawę z tego, że nie jest ona jedyną odpowiedzią na problemy tego świata. Wtedy zacząłem sięgać po inne książki. I oprócz czytania Burke'a, de Tocqueville'a czy de Maistre'a, poczytałem Marksa, Trockiego. Nigdy jednak nie miałem skłonności do ortodoksji. Dziś określiłbym samego siebie jako pesymistycznego socjaldemokratę, jeśli to w ogóle jeszcze coś znaczy.

I z tym całym zestawem poglądów stajesz się mainstreamowym pisarzem. Lewica i liberalne centrum były – i wciąż są – podejrzliwe wobec ciebie.
– Niech będą. Zanim jeszcze napisałem „Morfinę", przestało mi być po drodze z polskim konserwatyzmem. Wszystko z powodu śląskości. Dla polskiej prawicy musiałbym się jej wyrzec. A przecież to nie jest moja wybrana czy jakoś przybrana tożsamość, ale coś zinternalizowanego w pierwotnej socjalizacji, wyniesione z domu. Ślązakiem zostałem, jak miałem dwa lata. Konserwatystą później. Te wszystkie histeryczne reakcje na śląskość, oskarżenia o dziadka w Wehrmachcie, wyzywanie od „volksdeutschów" i wysyłanie „do Rzeszy"... Gdy spotykasz się z takimi reakcjami w obozie, który uważasz za swój, zaczynasz go kwestionować.

Od tego czasu jednak minęło już kilkanaście lat. „Dziadek z Wehrmachtu" nie budzi już takich emocji.
– Sporo pracy zostało w to włożone. Myślę, że mam w tym swój wkład. Wiem, do jakiego pytania zmierzasz. O to, że zawsze będę – dla intelektualnej bańki, która od „Morfiny" próbuje mnie wciągnąć do swojego obozu – kimś z zewnątrz. I bardzo dobrze. Nigdy nie marzyłem o studiach w Warszawie czy Krakowie ani o przeprowadzce, dobrze mi w heimacie.

Nigdy nikomu nie dawałem i nie dam gotowej historii na swój temat. Jeśli tak ktoś rozumie „markę osobistą", to ja takiej nigdy nie wypracuję. Co innego marka osobista, która jest elementem mojej pracy, z której żyję. Ale takiej historii o sobie, którą da się skrócić do pięciu punktów w prezentacji, nigdy nie będzie.

W 2015 roku zostajesz „ambasadorem marki Mercedes-Benz". Wybucha jedna z największych afer w polskim świecie literackim tamtej dekady. „Od dziś nie mogę Cię już poważnie traktować jako pisarza" – pisze Dunin-Wąsowicz. Marcin Sendecki mówi, że to „obciach i smutek". A Ziemowit Szczerek pyta: „Co mnie, kurwa, obchodzi, czym jeździ Twardoch?". Porozmawiamy o tym?
– Jasne! Lubię o tym rozmawiać.

Spodziewałeś się takich reakcji?
– Jeśli coś mam dobrze rozpoznane w Polsce, to sposób myślenia pewnego typu polskich inteligentów. Z tego powodu wiem, jak łatwo jest przejechać się kijem po prętach klatki, w której sami się zamknęli, więc tak, doskonale wiedziałem, jakie będą reakcje. I to był jeden z powodów, dla których Mercedes w to poszedł. Mówiąc wprost – spodziewaliśmy się shitstormu.

Myślisz, że Mercedes dzięki mojemu trzyletniemu ambasadorowaniu sprzedał chociaż jeden samochód więcej? Wątpię. Za to policzyli ekwiwalent reklamowy, wizerunkowy tego, co się wydarzyło. I to były gigantyczne kwoty. To była wspaniała akcja, którą bym z rozkoszą powtórzył. Problem w tym, że już się nie da, bo to działa tylko za pierwszym razem. Ale pozostaje satysfakcja, że byliśmy pierwsi.

Wydaje mi się, że to był ważny moment dla polskiej literatury, która wtedy straciła niewinność, a praca pisarza stała się czymś, o czym zaczęliśmy rozmawiać wprost.
– Nie wiem, o jakiej niewinności mówisz. Mnie to całe ambasadorowanie zbudowało rozpoznawalność, która do dzisiaj jakoś tam pewnie owocuje w nakładach.

Ale nie poczułeś, że stajesz się zakładnikiem tego wizerunku?
– Gdybym tak myślał, tobym potem bardziej uważał na to, co mówię. A nie mam wrażenia, żebym się jakoś specjalnie pilnował, więc jakieś skandale czasem wybuchają z powodu moich wypowiedzi. Tym niemniej straciłem ochotę na dzielenie się własnym życiem. Nigdy nie pisałem o życiu prywatnym, ale teraz mam coraz większą niechęć do wchodzenia w interakcje w serwisach społecznościowych.

Czyli nie jesteś „pokazowo apolitycznym nihilistą"?
– Przecież ja jestem zaangażowany, tylko w te sprawy, które są dla mnie ważne, a nie we wszystko. Mam bardzo konkretne agendy w życiu publicznym, zabierając głos czy działając w inny sposób. Tylko wiesz, jak to działa? Ludzie chcą, żebyś był zaangażowany we wszystko.

Gdy w wywiadzie powiedziałem, że nie zajmuję się katastrofą klimatyczną, to zaangażowane inteligenciki od sygnalizowania cnoty natychmiast zdemaskowały mnie jako denialistę. A ja niczemu nie zaprzeczam, po prostu się tym nie zajmuję, bo nie muszę. Nie uważam, aby to był moralny obowiązek.

Ale religijna wrażliwość zaangażowanej polskiej inteligencji, tak młodej, jak i starej jest bardzo podobna do parafialno-katolickiej. Możesz chodzić do kościoła co niedzielę, ale jak nie pójdziesz na roraty, to nie jesteś dobrym katolikiem. Mnie takie ortodoksje przestały interesować 15 lat temu.

Trudno prezentować zestawy obowiązkowe w każdym temacie, to prawda. Ale twoje zaangażowanie w pomoc ukraińskiej armii jest niezwykłe. Wydaje mi się, że dorównuje wręcz „sprawie śląskiej".
– To się nawet łączy. Centralnym elementem śląskości jest wspólnota pamięci. Śląskość jest tożsamością opierającą się na wspólnocie doświadczenia historycznego oraz na wspólnocie doświadczenia dwóch generacji wyparcia tego doświadczenia. A więc doświadczenia historycznego, które nie zostało uwspólnione. Częścią tej wspólnoty pamięci jest tragedia górnośląska, która mimo że oficjalnie została upamiętniona na jakichś tablicach, to wciąż nie jest obecna w tym, jak Polacy myślą o własnej tożsamości. Jacyś tam Ślązacy przybili sobie jakąś tablicę. A dla nas tragedia górnośląska jest bezpośrednim doświadczeniem ludzi, których znaliśmy.

To jest doświadczenie mojej prababci zgwałconej przez rosyjskich żołnierzy, która z tego gwałtu urodziła dziecko. Ta część wspólnej pamięci jest ważnym składnikiem przeżywania śląskości.

Moje dzieciństwo wypełniały historie o rosyjskich żołnierzach, którzy przychodzą i robią złe rzeczy. Od kiedy pamiętam, słyszałem, że Ruscy to, Ruscy tamto. Mojego dziadka, tego, który był w Wehrmachcie, nie poznałem, bo zginął w 1951 roku na kopalni. Dziadek, którego znałem bardzo dobrze i który wywarł na mnie wielki wpływ, był tylko w Volkssturmie, z którego uciekł. Jorg Draga, którego portret wisi w moim gabinecie, był naocznym świadkiem masakry w Przyszowicach. Dwa dni później właśnie w Przyszowicach została zgwałcona moja babcia. Nic ich wtedy nie łączyło. Ona to matka mojego ojca, on – ojciec mojej mamy. Wszyscy żyli w tym samym miejscu.

Dziadek czasem o tym mówił. O rozstrzelaniach, o masakrach, złodziejstwie, gwałtach. Dla mnie Rosja zawsze była czymś, co się unosiło wielkim cieniem nad życiem.

Pamiętasz dzień, gdy wybuchła pełnoskalowa wojna w Ukrainie?
– To był jeden z najdziwniejszych dni w moim życiu. Chciałem jechać tam od razu, nie wiadomo po co, ale nie miałem na szczęście paszportu. I nawet próbowałem wtedy przez jakieś dawne znajomości dotrzeć do kogoś w MSZ, żeby mi wystawili ten paszport od razu, ale był wyraźny zakaz z góry, żeby nikomu nowych paszportów teraz nie wydawać. Sądzę, że słusznie. Jeździłem tylko na granicę, próbowałem angażować się w pomoc humanitarną, rozwoziłem ukraińskich uchodźców po Polsce. Teraz angażuję się w pomoc niehumanitarną.

Ale tego dnia, gdy wybuchła wojna, poczułem, że to wszystko zaczęło się od nowa. Właśnie ze względu na tragedię górnośląską, która zawsze była bardzo ważną częścią mojej własnej tożsamości etnicznej.

Nie od razu zrozumiałem, że ta wojna jest też moim tematem, a nie tylko koszmarem. Ale z drugiej strony wojna zawsze była moim tematem. Chyba nie napisałem ani jednej książki, w której nie byłoby wojny. Czasem myślę, że ja na wojnie zostałem. Urodziłem się 34 lata po wojnie, to niewiele. Rok mojego urodzenia był bliżej II wojny światowej, niż dzisiaj dzieli mnie od daty urodzin.

Jeździsz, organizujesz pomoc. I piszesz o tym powieść. Wydaje mi się ona ryzykowna już jako pomysł.
– Dlaczego? Czy jest jakiś kodeks, który reguluje to, o czym pisarz może pisać, a o czym nie? Wojna w Ukrainie jest tematem, zwłaszcza że to wojna o wiele mi bliższa niż I wojna światowa, którą znam tylko z rodzinnych opowieści i książek. Tę wojnę widziałem na własne oczy. To dlaczego mam o niej nie pisać? Tylko Ukraińcy mogą? Dystans czasem wręcz służy literaturze.

> „Jak powiedziałem, że nie zajmuję się katastrofą klimatyczną, to zaangażowane inteligenciki od sygnalizowania cnoty natychmiast zdemaskowały mnie jako denialistę"

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

PLEBISCYT

Wybierz z nami Książkę 25-lecia

Wybraliśmy 25 wyjątkowych książek, które zostały wydane w ciągu ostatnich 25 lat. Która była dla nas najważniejsza? Która zapadła w pamięć? Która nas zmieniła?

Przez ostatnie dwie i pół dekady w polskiej literaturze działy się rzeczy niezwykłe. Byliśmy świadkami fantastycznych debiutów, wybitnych tomów poezji i reportaży, które czytała „cała" Polska. Poznaliśmy „czułego narratora" i „cioty" z Lubiewa. Weszliśmy do Europy z naszymi umarłymi. Śledziliśmy wyczyny Jakuba Szapiry, Silnego i Jacek Niteckiego. Odkrywaliśmy, kim były nasze babki. I sąsiedzi.

Pisarki i pisarze zabrali nas w podróż przez prawdziwą i wyobrażoną Polskę, kraj wielu języków i religii. I wielu problemów. Czasem pokazywali, że nie jesteśmy wyjątkowi. Że są inne światy, którym warto poświęcić uwagę.

Jak powstała nasza lista? Poprosiliśmy 40 dziennikarek i dziennikarzy różnych mediów (oprócz „Wyborczej", „Wysokich Obcasów", „Książek. Magazynu do Czytania" m.in. Gazety.pl, Onetu, TVN, TVP, Polskiego Radia, „Polityki", „Krytyki Politycznej", „Pisma", ale także ekspertki tworzące Big Book Festival) o wytypowanie 10 tytułów głośnych, ważnych, nagradzanych, świetnie ocenianych książek opublikowanych na polskim rynku od 2000 r. Pozycje, na które oddano najwięcej głosów, utworzyły listę finałową.

Wojciech Szot

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wyborcza.pl

- **TERAZ CZAS NA WAS Prosimy o głos na Twoją książkę 25-lecia! Głosowanie na Wyborcza.pl trwa do 3 lutego. Zwycięzcę ogłosimy 4 lutego.**

- **Jan Tomasz Gross**
  „Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka", 2000, wyd. Pogranicze
- **Maria Janion**
  „Do Europy - tak, ale razem z naszymi umarłymi", 2000, wyd. Sic!
- **Dorota Masłowska**
  „Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną", 2002, wyd. Lampa i Iskra Boża
- **Anna Bikont**
  „My z Jedwabnego", 2004, wyd. Prószyński i S-ka
- **Michał Witkowski**
  „Lubiewo", 2005, wyd. Ha!art
- **Mariusz Szczygieł**
  „Gottland", 2006, wyd. Czarne
- **Wiesław Myśliwski**
  „Traktat o łuskaniu fasoli", 2006, wyd. Znak
- **Jacek Dehnel, „Lala",**
  2006, wyd. W.A.B.
- **Olga Tokarczuk**
  „Bieguni" 2007, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Jacek Dukaj**
  „Lód", 2007, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Bożena Keff**
  „Utwór o Matce i Ojczyźnie", 2008, wyd. Ha!art
- **Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki**
  „Piosenka o zależnościach i uzależnieniach" 2008, wyd. Biuro Literackie
- **Artur Domosławski**
  „Kapuściński non-fiction" 2010, wyd. Świat Książki
- **Aleksandra i Daniel Mizielińscy „Mapy"**
  2012, wyd. Dwie Siostry
- **Andrzej Leder**
  „Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej" 2014, wyd. Krytyka Polityczna
- **Jakub Żulczyk**
  „Ślepnąc od świateł", 2014, wyd. Świat Książki
- **Olga Tokarczuk**
  „Księgi Jakubowe albo Wielka podróż przez siedem granic...", 2014, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Cezary Łazarewicz**
  „Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka", 2016, wyd. Czarne
- **Szczepan Twardoch**
  „Król", 2016, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Magdalena Grzebałkowska**
  „Beksińscy. Portret podwójny", 2016, wyd. Znak
- **Marcin Wicha**
  „Rzeczy, których nie wyrzuciłem", 2017, wyd. Karakter
- **Zyta Rudzka**
  „Krótka wymiana ognia", 2018, wyd. W.A.B.
- **Radek Rak**
  „Baśń o wężowym sercu albo Wtóre słowo o Jakóbie Szeli" 2019, wyd. Powergraph
- **Adam Leszczyński „Ludowa historia Polski. Historia wyzysku i oporu"**
  2020, wyd. W.A.B.
- **Joanna Kuciel-Frydryszak**
  „Chłopki. Opowieść o naszych babkach" 2023, wyd. Marginesy

A ty masz dystans?
– Z jednej strony nie mogę pisać, bo nie jestem Ukraińcem, a z drugiej – bo nie mam dystansu.

Pojedźmy tanią psychoanalizą. Znalazłeś w końcu swoją wojnę?
– Nie wiem, na ile ta wojna jest moja. Podczas jednego z moich przyfrontowych objazdów z pomocą proponowano mi – nieformalnie, nie wiem, na ile to było na serio – podpisanie kontraktu z ZSU [ukraińską armią]. Gdybym to zrobił, pewnie nie trafiłbym do okopów, tylko raczej do służb prasowych, czy gdzie tam na wojnie są potrzebni pisarze. Zresztą nie wiem. Głód ludzi w ukraińskiej armii jest olbrzymi. Gdyby to była moja wojna, to bym ten kontrakt podpisał.

Nie zrobiłem tego, bo mam dzieci, które potrzebują ojca, choć dla moich ukraińskich znajomych to nie jest argument. Nie zrobiłem tego również dlatego, że Ukraina to nie jest przecież moje państwo, wobec którego mam obowiązek obrony.

Dlatego zamiast siebie wysyłasz na wojnę fikcyjnego bohatera?
– Nie wysyłam go zamiast siebie. To postać literacka, nie moje porte-parole. Jego nic nie trzyma w świecie i dlatego może walczyć.

Pisząc „Null", przeżywałeś wojnę?
– Nie musiałem. Wojna oglądana z boku, ale z dość bliska, była już moim doświadczeniem, zanim napisałem tę powieść. Myślę, że formacyjnym, którego nigdy się nie spodziewałem.

Podróżowałeś po Rosji, pisałeś o tym kilka razy. Nigdy do Ukrainy.
– Rosja zawsze była dla mnie interesująca, a Ukraina jako kraj wręcz przeciwnie. Parę razy byłem we Lwowie, coś poczytałem, ale to nie był mój temat. Tym bardziej że nie cierpię tej całej narracji o Kresach. Co to za straszne słowo!

Nie mam też złudzeń co do jakości ukraińskiego państwa. W Polsce wszyscy jakoś łyknęli przez sympatię do Ukrainy, że to jest Gondor, który broni się przed orkami. No... nie bardzo Gondor. To państwo nie jest wzorem republikańskich cnót, mówiąc najdelikatniej.

Taka narracja jest potrzebna, bo kto chce pomagać państwu, które nie jest Gondorem.
– Ja nie zajmuję się pomocą państwu, tylko wojsku. Ale oczywiście potrzebujemy mitu. Widząc to państwo z bliska, nie zacząłem go ani wyjątkowo kochać, ani przesadnie lubić. Polubiłem za to wielu ukraińskich żołnierzy i wierzę w sens ich walki i ofiary.

„Null" jest właśnie powieścią trochę demaskatorską, demitologizującą. Po raz pierwszy piszesz książkę osadzoną w tak bliskiej nam aktualności.
– Historia przyszła do nas, a ja jestem pisarzem, dla którego historia jest ważna. Z drugiej strony nigdy nie sięgałem poza XX wiek.

To skąd „Null"?
– Powodów jest wiele. Samą książkę wymyślił mój niemiecki wydawca, który przeczytał moje teksty o wojnie, które napisałem do „Neue Zürcher Zeitung" i „Wyborczej". Powiedział, że chciałby z tego mieć książkę non-fiction o wojnie. Zgodziłem się. Umówiliśmy się na esej. Siedziałem nad nim pół roku i nie byłem w stanie ruszyć. Nakupiłem książek, przeczytałem wszystko. Od „Wojny peloponeskiej" Tukidydesa przez von Clausewitza po Johna Mearsheimera. Szło jak po grudzie.

W momencie największej rozpaczy zacząłem pisać powieść, bo przypomniałem sobie, że jestem powieściopisarzem.

Miałem wątpliwości. Czy mi wolno? Czy Ukraińcy się obrażą? A potem pomyślałem – nie zajmuję się ukraińską racją stanu. Po co mi te wątpliwości? Gdybym myślał, że ktoś się na mnie obrazi, żadnej książki bym nie napisał. Gdy napisałem „Dracha", to pół rodziny się trochę obraziło za to, że recyklinguję rodzinne historie. No i co? I przeszło im. Potem nawet się cieszyli. A rodzina jest dla mnie nieco ważniejsza niż moi ukraińscy znajomi i przyjaciele. Więc trudno, jak się obrażą, to się obrażą.

Jeszcze jakieś wątpliwości?
– Niejedna. Czy skoro nie walczyłem na tej wojnie, mogę o niej pisać? Przypomniał mi się jednak Hemingway i jego „Komu bije dzwon". On też nie walczył w wojnie, którą opisywał. Był korespondentem. Jeździł, obserwował, ale nie brał czynnego udziału. Nie on jeden.

I nagle po prostu okazało się, że muszę to napisać, że czuję ten wewnętrzny przymus, ten co zawsze, wbrew jakimś instynktom rynkowym czy merkantylnym. Mam rozpisane konspekty trzech dużych powieści, z których każda jest takim – przepraszam za wyrażenie – „klasycznym Twardochem", szeroko zakrojonym, z potencjałem na ekranizację. Mają to, czego czytelnik oczekuje od moich powieści. A jednak musiałem napisać „Null".

Jeśli ta książka będzie się dobrze sprzedawać, to dlatego, że – mam nadzieję – czytelnicy znajdą w niej coś innego, niż do tej pory o tej wojnie czytali czy słyszeli.

Dowiedziałeś się o wojnie coś, czego nie wiedziałeś wcześniej?
– Tak. Siedzenie w bunkrze pod ostrzałem jest doświadczeniem, które zmienia perspektywę na wszystko.

Jak ona się zmienia?
– Jeszcze w pełni nie wiem. Na pewno wiem, że nigdy w życiu tak się nie bałem. A to wcale nie było jakieś wyjątkowe doświadczenie frontowe, byłem na pozycji, na której może się znaleźć przeciętny korespondent wojenny, bynajmniej nie na jakimś najbardziej niebezpiecznym odcinku; do takich raczej mnie nie dopuszczano.

Po kilkunastu latach zostawiasz Wydawnictwo Literackie. „Null" ukaże się w Marginesach. Dlaczego?
– Jestem wdzięczny Literackiemu za te 12 lat. Wiele razem zrobiliśmy. Milion sprzedanych książek to jest coś. Ale przychodzi czas, gdy trzeba coś zmienić.

Czyżbyś dojrzewał po raz trzeci?
– Raczej starzał się, mam nadzieję, że powoli.

Książka 25-lecia wg Szczepana Twardocha to...?
– To bardzo trudny wybór. Pierwszy jednak przyszedł mi do głowy „Dumanowski" Wita Szostaka, więc na tym zostańmy.

eprasa.pl b89c1dd19d

ZAPROJEKTOWANE PO LUDZKU

POLSKA PODMIEJSKA

Na wizualizacjach osiedla zamiast eleganckich modeli i modelek widzimy pana z wielkim brzuchem, rodzinę w gaciach, dzieci biegające w liściach. Można być szczęśliwym na przedmieściach.

Natalia Mazur

FOT. DARIUSZ BOROWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Dom na przedmieściach to wciąż marzenie ponad 70 proc. rodaków. Na zdj. osiedle Villa Campina pod Ożarowem**

Czołowo-Kolonia rosło spontanicznie, 4 km od wielkopolskiego Koła. W 1990 r. było tu 28 domów, dziś 300-400 osób mieszka w 124. Kolejnych 19 jest w budowie.

Właściciele rolnicy odrolniali fragmenty pól przy drodze i sprzedawali ziemię. O pozwolenie na budowę nie było trudno. Niekiedy wystarczyło wydzierżawić hektar ziemi rolnej (niekoniecznie w sąsiedztwie, lecz w dowolnej części gminy), by zyskać prawo do budowy siedliska. Urzędnicy nie wnikali w szczegóły. Jeden z domów został „odbudowany" – wprawdzie od dekad nie było po nim śladu, ale na dawnym planie był rysunek budynku ze studnią.

Dziś nie trzeba korzystać ze studni, są wodociągi. Jest gaz, choć mieszkańcy wolą palić w piecach. Kanalizacji nie ma nawet w planach. Najwyższy, trzykondygnacyjny budynek stoi na skrzyżowaniu drogi wojewódzkiej z powiatową i jest niedoszłą agroturystyką.

Międzymieście

Żywiołowo powstało coś, co Thomas Sieverts, niemiecki architekt i urbanista, nazwałby międzymieściem (Zwischenstadt) – ani to wiejski krajobraz, ani miasto ze zwartą zabudową.

Są w Czołowie-Kolonii domy nawiązujące stylem do dworków, ogrodzenia z betonowych prefabrykatów, stodoła przerobiona na zakład zgrzewający części do kuchenek, wytwórnia mas bitumicznych. Nie ma sklepu, nie ma szkoły, ale są usługi wellness. Jest też utwardzona droga do lasu i nieoświetlona na przystanek, na którym PKS zatrzymuje się osiem razy dziennie (w wakacje tylko dwa).

Agata Twardoch w czasopiśmie „Autoportret" stwierdza, że taki typ zabudowy jest jak Howardowskie miasto-ogród *à rebours*: zamiast zalet miasta i zalet wsi oferuje wady miasta i wsi. „Wszędzie daleko jak na wsi, ale głośno i chaotycznie jak w mieście".

Gdyby Czołowo-Kolonia rozrastało się pod jakimś większym miastem, zapewne urosłoby szybciej, obrosło osiedlami łanowymi, nieład by pozostał, ale za to z Żabką lub Dino. Liczniejsza grupa mieszkańców miałaby większe polityczne przełożenie i może wydreptałaby sobie w samorządzie ścieżkę rowerową. Ale Koło ma 20 tys. mieszkańców, perspektywy rozwoju podmiejskiego osiedla są skromne. Skończy ci się chleb albo papier, musisz jechać do miasta. Lepiej autem. Dr Krzysztof Rosenkiewicz podczas jednej z badawczych wypraw na własne oczy widział, jak rowerzysta uciekł przed tirem do rowu.

Naukowiec związany z Wydziałem Nauk Geograficznych i Geologicznych poznańskiego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza Czołowo-Kolonię uczynił przedmiotem badań nie dlatego, że jest szczególnie dziwne. – Wybrałem typowe i najczęściej występujące osiedla podmiejskie, od chaotycznego po zrównoważone – mówi. Tytuł rozprawy brzmi „Współczesne zespoły zabudowy mieszkaniowej w strefach podmiejskich w Polsce w świetle koncepcji zrównoważonego rozwoju". Autor szuka takich sposobów poprawy polskich przedmieść, by nie szkodząc naturze, poprawić jakość życia w tych miejscach.

Nieefektywne przedmieścia

Czy na polskich przedmieściach można być szczęśliwym? Czołowo-Kolonia ma w oczach mieszkańców ważny atut. To możliwość wybudowania wymarzonego domu – przy niej bledną codzienne niedogodności.

Urbaniści kategorią szczęścia raczej się nie posługują, mówią o potrzebach mieszkańców. Badając nasze codzienne obyczaje, szacują, jaka odległość powinna nas dzielić od określonych usług: 200 m do sklepu, 400 m do szkoły, 600 m do choćby małego parku.

Brytyjski architekt i urbanista Richard Rogers (ten, który zaprojektował Centrum Pompidou) wraz z badaczką Anne Power obliczyli, że do szpitala możemy dojeżdżać 5 km, ale do pubu powinniśmy mieć 500 m i niewiele dalej do przychodni.

Polskie przedmieścia nie tylko nie zaspokajają potrzeb mieszkańców i psują krajobraz, rujnują też portfele. „Roczne koszty rozpraszania zabudowy w Polsce oszacowano w 2018 r. na 84,3 mld zł, co stanowiło równowartość 22 proc. rocznych dochodów budżetu państwa i prawie 4 proc. PKB Polski" – pisze Rosenkiewicz, powołując się na wyliczenia Polskiego Instytutu Ekonomicznego. 2,2 tys. zł od obywatela, łącznie z dziećmi. Na doprowadzenie dróg i wodociągów na rozproszone suburbia składamy się z podatków.

Przedmieścia są nieefektywne ekologicznie. Sektor budowlany odpowiada za 39 proc. emisji dwutlenku węgla – przypomina Filip Springer w swojej najnowszej książce „Szara godzina. Czas na nową architekturę". 85 proc. energii to oświetlenie, ogrzanie, wentylacja. A pozostałe 15 proc.? „Budynki pochłaniają energię, jeszcze zanim zostaną zamieszkane – to ta energia, którą trzeba zużyć na produkcję i transport materiałów budowlanych oraz na samą budowę (...). Czasami nazywa się ją szarą energią. Zużycie szarej energii przy budowie wolnostojącego domu jednorodzinnego jest czterokrotnie większe (w przeliczeniu na 100 m kw. powierzchni mieszkalnej) niż w przypadku wielorodzinnej pięciopiętrowej kamienicy" – czytamy.

Polacy żyją w przestrzennym chaosie, bo nie mają poczucia ontologicznego bezpieczeństwa, może poza rodziną czy kręgiem najbliższych osób, a to na dłuższą metę unieszczęśliwia

– Zabroniłbym stawiania domów na terenach niezabudowanych – mówi Springer w rozmowie z Arkadiuszem Gruszczyńskim. I przywołuje przykład Niemiec, gdzie inwestor, chcąc wybudować się w szczerym polu, musi udowodnić, że nie był w stanie zamieszkać w miejscu z dostępem do pełnej infrastruktury.

Jeśli chcemy, by przyszłe pokolenia były szczęśliwe, miały co pić i czym oddychać, to posłuchajmy Springera, zagęszczajmy miasta, zostawmy pod miastem powierzchnię biologicznie czynną.

Sęk w tym, że te przyszłe pokolenia – tu i teraz – potrzebują miejsca na tapczan i biurko. A stan przedmieść jest rewersem sytuacji w miastach.

„Affordable housing" po polsku

„Jeszcze w latach 90. przeciętne mieszkanie w Warszawie, biorąc pod uwagę zarówno stare, jak i nowe budownictwo, miało cztery izby – pisze w „Wyborczej" Maria Korcz. – Dziś aż 40 proc. nowo powstałych mieszkań w Warszawie to mieszkania dwuizbowe, czyli składające się np. z sypialni i pokoju połączonego z aneksem kuchennym. Mieszkań, w przypadku których założyć można, że mają trzy niezależne pokoje, a więc czteroizbowych i większych, jest w nowym budownictwie jedynie 18,6 proc.".

Dr hab. Łukasz Mikuła z UAM, urbanista, recenzent pracy Rosenkiewicza, zastanawia się, czy odpuszczenie planowania przestrzennego w ostatnich dekadach nie było częścią milczącego konsensusu. – Jedyną formą prowadzenia polityki mieszkalnej nastawionej na „affordable housing", dostępne mieszkania. Czyli pozwalamy indywidualnym inwestorom i deweloperom budować, co popadnie i gdzie popadnie, bo na bardziej ambitną politykę mieszkaniową nie mamy pomysłu albo nas nie stać – mówi. Indywidualne budownictwo jednorodzinne od lat 90. wypełnia mieszkaniową lukę.

71 proc. mieszkańców Polski według raportu Otodom marzy o domu jednorodzinnym. Głównie tych młodszych, między 26. a 45. rokiem życia, którzy są na etapie zakładania rodzin i kupowania mieszkań. Pokażcie mi więc śmiałka, który zabroni zabudowy przedmieść.

Uwaga, dementor!

W podcaście „Ekonomia szczęścia" dr. hab. Piotra Michonia, profesora Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, słyszę, że na przedmieściach łatwiej spotkać dementora, postać z uniwersum Harry'ego Pottera zdolną wysysać z nas szczęście.

„Daniel Kahnemen [izraelsko-amerykański noblista w dziedzinie ekonomii] i Alan Krueger [amerykański ekonomista, doradca Baracka Obamy] już dekadę temu wskazali, że wśród codziennych czynności poranne dojeżdżanie do pracy jest tą, którą lubimy najmniej (na przeciwnym biegunie jest uprawianie seksu)".

Ciekawe jest to, że dojazdy szkodzą nam bardziej niż długie godziny pracy. Osoba, która pracuje 12 godzin na dobę, ma zdrowsze nawyki niż ktoś, kto pracuje 10 godzin i dwie godziny jedzie. Częściej ćwiczy, więcej śpi, lepiej się odżywia. Dojazd do pracy trwający 23 minuty zabiera nam tyle satysfakcji z życia, że musielibyśmy zarabiać 19 proc. więcej, by się to wyrównało.

Natura bez recepty

Ale jest i inny odcinek „Ekonomii szczęścia", w którym Michoń opowiada o zbawiennym

eprasa.pl b89c1dd19d

wpływie kontaktu z naturą. Naukowcy z uniwersytetu w Sheffield przebadali 8 tys. Anglików i stwierdzili, że uprawa ogródka czy spacer po lesie wyraźnie podnosi poziom szczęścia, a funt wydany na ten cel przynosi oszczędności w publicznych wydatkach na zdrowie rzędu 2,5 funta. „W czterech kanadyjskich prowincjach lekarze nie tylko przepisują pacjentom godziny spędzane w środowisku naturalnym, ale też zamiast leków wręczają im całoroczne karnety na wchodzenie do parków narodowych" – podaje Michoń.

I tu plus dla przedmieść. Co więc wybrać, jeśli nie zawsze można mieć wszystko? Las za oknem i ogródek pod domem czy bliskość pracy i niezbędnych usług?

– To, co odpowiada naszym potrzebom, a ich nie zawsze jesteśmy świadomi i kierujemy się stereotypami – mówi dr Agnieszka Labus, architektka i urbanistka z Politechniki Śląskiej. – W każdym wieku różnimy się między sobą, mamy różne style życia. Starsza pani, jak moja babcia, może uwielbiać swoje mieszkanie z widokiem na przystanek tramwajowy, ja – po latach na blokowisku – odnalazłam się w małym miasteczku, a ktoś inny na przedmieściu.

Oprócz świadomości własnych potrzeb konieczna jest wiedza o możliwości ich spełnienia. Przeprowadzając się na osiedle typu „kolonia" – kilkuset mieszkańców wśród pól – lepiej nie zakładajmy, że gmina lada chwila pociągnie do niej autobus. – Ale może się okazać, że w warstwie społecznej, niewidocznej dla oka, dzieją się ciekawe rzeczy. Ludzie, którzy wprowadzili się na takie osiedle, starają się jakoś ułożyć sobie życie, wymieniają się w dowożeniu dzieci do przedszkola, budują coś razem z myślą o lokalnej wspólnocie i w efekcie powstaje szczęśliwe środowisko zamieszkania, szczęśliwe sąsiedztwo – mówi Labus.

„Mam tu wszystko pod ręką"

Marzenie o domku z ogródkiem półtora roku temu zrealizowała Ewa, mieszkanka podpoznańskiej Dąbrówki, mama ośmioletniego chłopca i pięcioletniej dziewczynki. Wcześniej mieszkała z rodziną w nowym bloku w Poznaniu, z początku w otoczeniu łąk, wkrótce – w sąsiedztwie budów.

Objechali z mężem poznański obwarzanek, Dąbrówka nie oszałamiała, ot, ładne domki powielone przez copy-paste. Ale była szkoła, stacja kolejowa. – W 12 minut jestem w centrum Poznania, choć bywam tam rzadko, bo pracuję zdalnie. Na co dzień wszystko, co niezbędne, mam pod ręką. Jest Biedronka, Lidl, Rossmann, apteka, piekarnia, przychodnia z umową z NFZ, boisko, chodniki. Nie będę tylko słodzić: szkoła jest ogromna, dwuzmianowa, anonimowa, z sześcioma-ośmioma klasami w roczniku. Za to dzieci mają tłumy rówieśników, powstają biznesy oferujące zajęcia pozalekcyjne – opowiada Ewa.

Są na wielkomiejskich przedmieściach osiedla mniej udane, źle skomunikowane, łanowe. Dąbrówkę wyróżnia to, że deweloperzy budujący tam osiedla od początku kompleksowo je planowali.

Osada Leśna w Dąbrówce. jak jazzowy utwór

Dąbrówka też pojawia się w rozprawie Rosenkiewicza – wprawdzie nie osiedle, na którym mieszka Ewa, ale położona po zachodniej stronie wsi Osada Leśna budowana przez dewelopera Linea. Poznaniacy pamiętają jej pierwsze reklamy z początku wieku. Na wizualizacjach osiedla zamiast eleganckich modeli i modelek spacerujących po gładkim bruku – pan z wielkim brzuchem wylewającym się spod koszulki prezentuje olbrzymiego borowika, rodzina w gaciach mości się w pościeli, dzieci biegają w liściach.

Osiedle rzeczywiście graniczy z lasem, białe domy wykończone są drewnem. Właściciele, zmieniając w nich cokolwiek, trzymać się muszą formy, detalu, kolorów. We wsi, która pod koniec ubiegłego wieku wyludniała się na rzecz Poznania, są dziś trzy centra handlowe, przedszkola, budynek biurowy z przestrzenią do coworkingu.

Według danych gminy w Dąbrówce mieszka 4,3 tys. mieszkańców, w Osadzie Leśnej – według szacunków badacza – już nawet 3 tys. Szkoła i parafia wynajmują sale na koncerty i imprezy kulturalne, jest popularny Bieg o Koronę Księżnej Dąbrówki. Deweloper, na którego osiedlu dom kupiła Ewa, podkreśla: „Dąbrówka to miasteczko 15-minutowe". Linea reklamuje się hasłem: „Siła miastotwórcza".

Deweloper budował na kilku dużych działkach i przyjął, że stworzy osiedle kompleksowe i samowystarczalne. Plan elastycznie się zmieniał, pojawiały się nowe rodzaje zabudowy, jak np. budynek wielorodzinny, projektowane były kolejne obiekty publiczne. Całość miała być – jak czytam – niczym utwór jazzowy zagrany „z określoną swobodą, lecz na konkretnie oznaczony temat i w oparciu o zaplanowany wyprzedzająco układ harmoniczny".

Może więc – skoro nie możemy zaprzestać zabudowy przedmieść – zabudowujmy się właśnie w ten sposób? Zaspokajając potrzeby mieszkańców? Problem w tym, że – jak widzimy po nieszczęsnych międzymiastach – nie zawsze się da.

Bo jesteśmy nieszczęśliwi

– W zachodniej Polsce grunty są bardziej foremne, na długich i wąskich rozłogach gdzieś w okolicach Warszawy trudno w ogóle zaplanować sensowne osiedle. Owszem, można grunty scalić, na potrzeby rolnictwa względnie łatwo to zrobić, bo działka rolna pozostaje działką rolną. Ale jeśli chodzi o działki, które można przeznaczyć pod zabudowę, każdy strzeże swojej własności – tłumaczy Rosenkiewicz.

Kilka połączonych działek mogłoby mieć wyższą cenę, po podziale zysku każdy z sąsiadów zarobiłby więcej. W teorii, bo skąd mieć pewność, że mnie nie wyrolują? – Jesteśmy nieufni, nie potrafimy współpracować, a własność nam daje poczucie bezpieczeństwa. Takie mamy dziejowe doświadczenie – mówi Rosenkiewicz.

Polacy nie są więc nieszczęśliwi, bo mają chaotyczną przestrzeń: przestrzeń jest chaotyczna, bo jesteśmy nieszczęśliwi. – Polacy żyją w przestrzennym chaosie, bo nie mają poczucia ontologicznego bezpieczeństwa, może poza rodziną czy kręgiem najbliższych osób, a to na dłuższą metę unieszczęśliwia – diagnozuje badacz.

Wielu z nas ostatnie doświadczenie planowania przestrzennego ma z czasów PRL, było ono wtedy elementem państwa autorytarnego. Harmonijnie zaplanowana część Moczkowa pod Barlinkiem – też jednego z bohaterów rozprawy – powstała w latach 80. – Właściciele ziemi dostali symboliczne odszkodowania za grunty, na których gospodarowali, szybko je zjadła inflacja, a na ich miejsce przyszli tzw. wygrani, których stać było na budowę domów – opowiada Rosenkiewicz.

Czy są szanse na poprawę? Latem 2023 r. Sejm uchwalił ustawę reformującą planowanie. Wśród wielu zmian jest taka, która ma zatrzymać rozbudowę w szczerym polu, w miejscach pozbawionych infrastruktury. Ale – uwaga! – jeszcze do końca tego roku można się starać o tzw. wuzetkę, czyli warunki zabudowy na takich działkach (na mocy wuzetki można wystąpić o zgodę na budowę).

Mikuła jest radnym KO, Rosenkiewicz był radnym PiS. Nie wiem, czy na sesjach rady często się spierali, ale jako naukowcy są zgodni. – Reforma daje szansę na wyhamowanie tempa psucia przestrzeni, ale nie na jego wstrzymanie ani na odwrócenie tego procesu – twierdzi Mikuła. – Nadal będziemy mieć problem ze wszystkimi planami miejscowymi i wuzetkami, które już do tego czasu zostaną uchwalone lub wydane.

Rosenkiewicz obawia się wysypu wniosków o wuzetki, przed którymi wójtowie pod lokalną presją się ugną.

Naprawa przedmieść jest możliwa, ale...

– Reforma nie daje żadnego przepisu na naprawę przedmieść, w ogóle tego problemu nie dostrzega – podkreśla Mikuła. – Ich uzdrowienie wymaga zdecydowanie bardziej wysublimowanych instrumentów i działań niż plan ogólny.

W recenzji chwali pracę Rosenkiewicza przede wszystkim za to, że badacz, formułując swoje propozycje poprawy przedmieść, operuje na konkretnych przykładach. Nie tworzy abstrakcyjnych modeli miasteczek, do których regularnie dojeżdża autobus, ale drobiazgowo zaznacza na mapie: te działki trzeba przeznaczyć pod zabudowę, tu dosadzić zieleń, tam uspokoić ruch. Zagęścić, bo przy większej liczbie mieszkańców sens będzie miał sklep. A czasem rozkłada ręce, szczerze przyznając: to może się nie udać. Przeszkodą jest demografia, Polska się wyludnia.

– Naprawa przedmieść dużych miast jest teoretycznie możliwa, choć na pewno rozpisana na długie lata i wymagająca dużej mobilizacji – przyznaje Mikuła. – To będą jedne z ostatnich miejsc w Polsce, które jeszcze przez jakiś czas będą rosły demograficznie, a to zawsze napędza jakiś rozwój, którym być może da się pokierować lepiej niż do tej pory. Trochę jak osiedla z PRL w dużych miastach.

Nie widzi mechanizmu, który mógłby pomóc rozproszonym małym koloniom przy mniejszych i średnich miastach. – Tam już na zawsze pozostaną takie struktury niedokończone. Mieszkańcom pozostanie cieszyć się lasem, łąką, a po resztę jeździć do miasteczka. Na przedmieściach dużych miast są większe szanse na zagospodarowanie usługami publicznymi i komercyjnymi, przestrzeniami publicznymi, lepszym transportem zbiorowym. Ale to nie będzie już życie „wśród natury", tylko nieco inna forma życia w środowisku mocno zurbanizowanym – przewiduje Mikuła.

Na wykładach i prezentacjach czasem wrzuca temat: kto powinien zapłacić za naprawę przedmieść? Deweloperzy, nawet jeśli koszty zostaną przeniesione na nabywców? Indywidualni inwestorzy budujący na własne potrzeby? Samorządy lokalne kosztem dotychczasowych mieszkańców i ich potrzeb? Może państwo? Ale czy prywatna zabudowa na przedmieściach powinna być dotowana w obliczu innych strategicznych wyzwań? ●

Zaprojektowane po ludzku

• W trzeciej edycji akcji „Zaprojektowane po ludzku" przyglądamy się szczęśliwym sąsiedztwom. Co sprawia, że dobrze czujemy się w miejscu, w którym mieszkamy, chętnie do niego wracamy? I nazywamy domem także to, co znajduje się już poza naszymi czterema ścianami.
• Szukamy dobrze zaprojektowanych miejsc i obiektów, a także - jak w poprzedniej edycji - działań i inicjatyw, dzięki którym okolica, w której żyjemy na co dzień, stała się lepsza.
Podsyłajcie swoje zgłoszenia do konkursu, proponujcie tematy do dyskusji.
• Zgłoszenia oceni kapituła, w której skład wchodzą: architektki Agnieszka Labus i Agata Twardoch, neuronaukowczyni Natalia Olszewska, ekspertki rynku mieszkaniowego Katarzyna Kuniewicz i Ewa Tęczak, architekt Robert Konieczny, ekonomista Piotr Michoń, urbanista Łukasz Mikuła, autor książek o architekturze Filip Springer i prowadząca cykl redaktorka „Wyborczej" Natalia Mazur.
• Czytaj więcej na **Wyborcza.pl/zaprojektowanepoludzku**

OGŁOSZENIE

Kraj/34357035

ZAPROJEKTOWANE PO LUDZKU
SZCZĘŚLIWE SĄSIEDZTWA

ORGANIZATOR
wyborcza.pl

SPONSOR STRATEGICZNY
otodom

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

TO NIE PSA WINA

Los zwierząt poprawia się wtedy, kiedy ludzie widzą w tym własny interes.

Z **PROF. HANNĄ MAMZER,** SOCJOLOŻKĄ, BIEGŁĄ SĄDOWĄ W POSTĘPOWANIACH DOTYCZĄCYCH ZWIERZĄT ROZMAWIA **PAULINA NODZYŃSKA**

PAULINA NODZYŃSKA: Polacy kochają zwierzęta?
PROF. HANNA MAMZER: We współczesnych społeczeństwach kultury zachodniej ścierają się przynajmniej dwa podejścia do relacji ludzi z innymi gatunkami. Z jednej strony towarzyszy nam nadal tradycyjne podejście osadzone w religiach monoteistycznych, promujące panowanie nad światem ożywionym i jego dominowanie, także nad istotami żywymi. Z drugiej – mamy coraz częściej do czynienia z „ponowoczesną relacyjnością podmiotową", a więc traktujemy przedstawicieli innych gatunków jako równoprawne byty.

„Czyńcie sobie ziemię poddaną" jako usprawiedliwienie wykorzystywania zwierząt do własnych celów. To ma pani na myśli?
– Taki wniosek wysnuwają ludzie, którzy interpretują Biblię nazbyt literalnie. Współczesne podejścia rozumieją religię bardziej metaforycznie.

To sformułowanie można odczytywać też tak: mamy nie tylko czerpać z natury, ale – jako gatunek świadomy i z wysokimi kompetencjami poznawczo-intelektualnymi – powinniśmy także o tę naturę dbać. Nie oznacza ono tylko przyzwolenia na bezgraniczną eksploatację, ale zobowiązuje nas do troski o tych „poddanych". Oznacza to też konieczność podjęcia odpowiedzialności za inne gatunki, troszczenie się o nie, a nie tylko przyzwolenie na eksploatowanie.

Usłyszałam niedawno od znajomej: „Zwierzęta po to są, żeby je jeść".
– To skrajnie antropocentryczne, zawężone myślenie. Ludzie mają do niego prawo, ale nie ma ono sensu w kontekście ekologii, biologii i bioróżnorodności. To nie jest myślenie o świecie jako o jednym, wielkim ekosystemie, gdzie różne elementy wpływają na siebie.

Zwierzęta zjadają się wzajemnie, a gatunkowo my, ludzie, też jesteśmy zwierzętami. Mamy 98 proc. genów identycznych z szympansami. To podobieństwo widać w mimice, gestach, ale także zachowaniach społecznych. Zwierzęta są po to, by każde z nich mogło odgrywać jakąś rolę w ekosystemie.

Jaką rolę odgrywają kleszcze, wszy, komary?
– Badacze kleszczy mówią, że są one po to, żeby roznosić choroby i eliminować z populacji słabe osobniki. Nie wiadomo, czego zabrakłoby w ekosystemie, jeśli zniknęłyby całkowicie.

Przypomnę tu „walkę z czterema plagami", którą na przełomie lat 50. i 60. wprowadził w Chinach dyktator Mao Zedong. Wydał nakaz, by Chińczycy mordowali szczury, wróble, komary i muchy. Ludzie biegali po miastach i hałasowali, by wróble umierały ze strachu i zmęczenia w locie. Martwe ptaki i pozbierane do butelek muchy zanosili potem na posterunki policji i meldowali wykonanie zadania. Wie pani, do czego doprowadziło to masowe wybijanie wróbli?

Do klęski głodu.
– Z głodu zmarło 30 mln ludzi. Wybicie wróbli spowodowało, że rozmnożyły się szkodniki, które zjadły plony zbóż. Zedong chciał walczyć z plagami, a wywołał plagę głodu.

To pokazuje, jak złożony jest świat ekosystemu. Nie ma w nim zbędnych gatunków. Nie można bezkarnie usuwać gatunku tylko dlatego, że nam się nie podoba albo wydaje się nam szkodliwy.

Przychodzi mi do głowy przykład z naszego podwórka: wybijanie dzików.
– Ten pomysł, pod pretekstem redukcji ASF, jest równie absurdalny. Wszyscy wiemy, że to nie dziki roznoszą wirusa, tylko ludzie. Na wschodzie Polski został zidentyfikowany przypadek zero, który okazał się właścicielem trzody chlewnej i myśliwym. Polował na dziki, potem sam zaraził swoje świnie, wchodząc do chlewni.

Wiemy też, że eksterminacja dzików jest nieskuteczna. Wymordowaliśmy dziki, a ASF dalej szaleje. Namnożyły się za to chrabąszcze majowe, które w postaci larwalnej niszczą uprawy leśne. Leśnicy muszą stosować opryski chemiczne, by je eliminować. A wcześniej ich larwy zjadały dziki, wykopując je ze ściółki.

Strzelając do dzików, trafiamy w siebie rykoszetem. To my będziemy się truli tą chemią.

Ale to nie koniec. Już pojawiają się pomysły, by wpisać koty na listę gatunków „inwazyjnych" i „obcych", a więc móc do nich strzelać. Zgadzam się, że populacja kotów jest duża i niekontrolowana, ale to my, ludzie, nie kontrolujemy ich rozmnażania, nie sterylizujemy, nie kastrujemy, a potem pojawiają się pomysły by koty pozabijać. To poważny problem, bo zamykanie kotów w schroniskach też jest absolutnym nieporozumieniem. 80 proc. z nich tam umiera ze stresu i z powodu chorób na tle idiopatycznym albo jest poddawanych eutanazji. Schroniskom trudno „wyadaptowywać" koty. Jeśli więc chcemy o nie dbać, nie powinniśmy ich rozmnażać.

Są też kontrargumenty, że to zamykając kota w mieszkaniu, męczymy go. Nie może funkcjonować zgodnie ze swoją naturą, np. polować.
– Umówmy się, nie ma gorszego miejsca niż schronisko. Tam też koty nie mogą polować, bo są zamknięte w klatkach, mniejszych niż jakiekolwiek mieszkanie. Są przebodźcowane, żyją w tłoku.

Najlepsze schronisko to puste schronisko.

Lekarka weterynarii Dorota Sumińska przekonuje, że puste schroniska nie leżą w interesie ludzi, którzy je prowadzą. To odcięłoby ich od pieniędzy.
– Bo to prawda. Gminy są zobowiązane, by co roku uchwalać programy zapobiegania bezdomności zwierząt. Muszą tam wskazywać schronisko, do którego będą odsyłać bezdomne zwierzęta. Prowadzących wyłaniają w przetargach lub w drodze zapytań ofertowych. Najczęściej kierują się tylko jednym kryterium: jak najniższą ceną.

Na drugi plan schodzą kwestie takie jak odległość schroniska od gminy czy też pa-

eprasa.pl b89c1dd19d

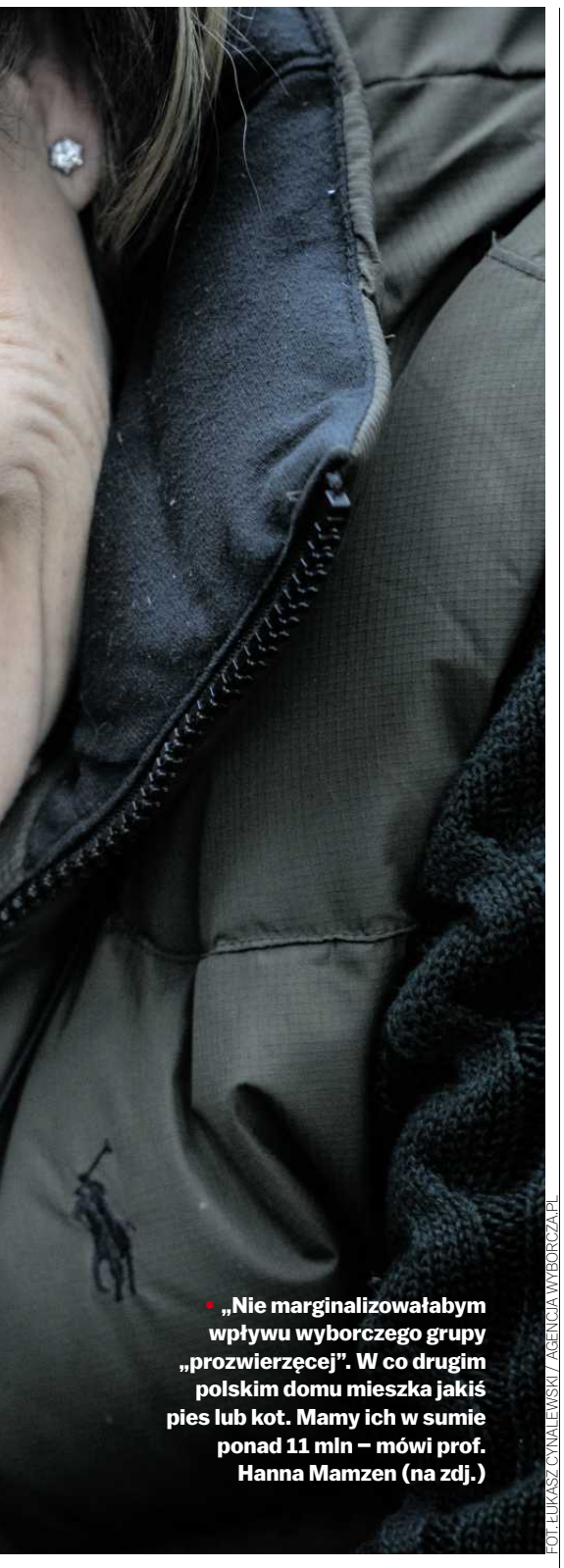

„Nie marginalizowałabym wpływu wyborczego grupy „prozwierzęcej". W co drugim polskim domu mieszka jakiś pies lub kot. Mamy ich w sumie ponad 11 mln – mówi prof. Hanna Mamzen (na zdj.)

FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

nujące w nim warunki. Wygrywa ten, kto wskaże najbardziej atrakcyjne kwoty za dobę utrzymania zwierzęcia. Efekt jest taki, że mamy w Polsce schroniska oddalone od gmin o 300 km. I, co wykazała niedawna kontrola Najwyższej Izby Kontroli, wątpliwe warunki bytowe w których utrzymywane są zwierzęta. Niestety nadal liczne schroniska nie przestrzegają standardów utrzymywania zwierząt zapisanych w ustawie o ochronie zwierząt ani tych, jakie nakłada na nie rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi z 20 stycznia 2022 r. w sprawie szczegółowych wymagań weterynaryjnych dla prowadzenia schronisk.

Przedsiębiorcy zarabiają na tych „dniówkach" za utrzymanie zwierzęcia. Dlatego zależy im, by mieć jak najwięcej podopiecznych, ale zajmować się nimi jak najniższym kosztem.

Kontrola NIK-u wykazała też, że na walkę z bezdomnością zwierząt idzie najmniej pieniędzy z całego tortu. Schroniska najwięcej wydają na utrzymanie psów i kotów, ale nie robią nic, by bezdomności zapobiegać. Kontrolerzy wywnioskowali: „Leczymy problem, zamiast go eliminować".
– Za zapobieganie bezdomności zwierząt odpowiedzialne są gminy, a one najczęściej są zadowolone, że mają podpisaną umowę ze schroniskiem, bo to „znosi problem z widoku". Nie interesują się zwierzętami ze swojego terenu, nie dociekają jak zwierzęta są tam traktowane.

Oczywiście, że zwierzęta bez ludzi sobie nie poradzą, ale czy faktycznie potrzebujemy tak rozbudowanej administracji, z kilkoma księgowymi? Paradoksalnie lwią część pieniędzy schroniska przeznaczają na... dystrybucję tych pieniędzy. Na zwierzęta, czyli np. na karmy, schroniska wydają najmniej. I nawet zamożne schroniska prowadzą zbiórki karmy i darów, co wydaje się nieco zastanawiające.

NIK stwierdziła, że cały system trzeba nie tyle poprawić, ile stworzyć od nowa. Systemowo już zaczyna się coś dziać: w Sejmie powstała komisja ds. zwierząt, która zajmuje się m.in. obywatelskim projektem „ustawy łańcuchowej" podpisanej przez ponad pół miliona ludzi. Rząd szykuje też swoją ustawę o obowiązkowej kastracji i sterylizacji. Wierzy pani, że coś się faktycznie zmieni?
– Smutna prawda jest taka, że los zwierząt poprawia się wtedy, kiedy ludzie widzą w tym własny interes. Obowiązek urozmaicenia żywienia świń, do których zobowiązała nas UE, też nie powstał po to, żeby świniom było lepiej. Chodzi o to, żeby wzmocnić jakość ich mięsa.

Myślę, że zmiany zajdą, ale dlatego, że politycy zaczynają dostrzegać w miłośnikach zwierząt potencjał wyborczy. Pół miliona obywateli, którzy poparli „ustawę łańcuchową", to pół miliona potencjalnych głosów.

Trzeba jednak przyznać, że presja społeczna i nawet indywidualne, jednostkowe działania, mają tu ogromny sens. Weźmy za przykład targ koni w Skaryszewie, gdzie zwierzęta było traktowane w sposób niezgodny z ustawowymi wymogami. Gdy sprawa wyszła na jaw, opinia publiczna się oburzyła, a sytuacja na targu znacząco się poprawiła. Smutne jest jednak to, że to państwo powinno dbać o prawa zwierząt, a nie wymuszać inicjatywy na obywatelach.

Łukasz Litewka zdobył mandat posła Nowej Lewicy, mówiąc w kampanii w zasadzie wyłącznie o pomocy zwierzętom.
– Tak. Da się. Politycy lubią mówić o pomocy chorym dzieciom lub zwierzętom, bo to dwie kategorie, dla których Polacy chętnie się poświęcają. Nie marginalizowałabym więc wpływu wyborczego grupy „prozwierzęcej". Weźmy jeszcze pod uwagę fakt, że w co drugim polskim domu mieszka jakiś pies lub kot. Mamy ich w sumie ponad 11 mln.

To chyba jednak jesteśmy krajem psiarzy i kociarzy?
– Bylibyśmy, gdybyśmy jeszcze potrafili zadbać o ich dobrostan. A nie potrafimy. W większości obszarów podchodzimy do zwierząt w sposób merkantylny, myśląc o zarobku. Jak grzyby po deszczu wyrastają kolejne pseudohodowle. Nie kastrujemy, nie sterylizujemy ani nie czipujemy zwierząt.

Unia Europejska już nawołuje nas do zmian. Po Polsce błąka się ponad milion bezdomnych zwierząt.
– Spójrzmy na kraje, które uporały się z problemem bezdomności zwierząt, np. na Holandię. Wdrożyła trzy elementy, które wszystkie razem okazały się skuteczne, ale właśnie w postaci takiej kombinacji. To kastracja i sterylizacja, czipowanie i edukacja. Bez połączenia tych trzech działań efektów nie będzie.

Ważnym elementem są też kary za przestępstwa związane ze zwierzętami, ale też za niefrasobliwe ich rozmnażanie. Czy teraz zwykły Kowalski przejmuje się tym, że jego kotka urodziła siódmy miot? Nie.

Nie wszyscy właściciele ochoczo garną się do wykonywania tych zabiegów. Mówią: „Nie potrafię tego zrobić mojemu Fafikowi". Podczas dyskusji o „ustawie łańcuchowej" w Sejmie poseł Marek Jakubiak z Wolnych Republikanów stwierdził, że to „zmuszanie go, by pozbawił swojego psa atrybutów".
– To „dobrostan opaczny", który polega na przypisywaniu innym gatunkom cech ludzkich i ludzkiej percepcji siebie i świata. Wydaje nam się, że kastrując je, wyrządzamy im krzywdę, odbieramy im podmiotowość. Ale zwierzęta tak tego nie odczuwają. Nie jest tak, że spada im samoocena, bo zostały pozbawione jąder.

W XXI wieku, w centrum Europy, musimy ważyć koszty i zyski, by pozwolić zwierzętom z nami funkcjonować. Jedną z takich cen jest kontrola rozrodczości zwierząt towarzyszących. To właśnie nie kastrując ich, robimy im krzywdę. Narażamy je na śmierć z głodu, bo większość zostanie bez opieki. I na mękę w okresie rozrodczym, gdy instynkt jest nie do pokonania. Psy mają bardzo wyczulony węch. Potrafią uciec z posesji, gdy wyczują sukę w trakcie cieczki. Nawet jeśli znajduje się ona bardzo daleko.

Jak stoimy z karaniem za znęcanie się nad zwierzętami?
– Sądy są coraz surowsze. Widzę tę zmianę. Wymierzają już kary pozbawienia wolności. To słuszny kierunek, bo różne badania wykazują, że 95 proc. stosujących przemoc wobec zwierząt stosowało ją też wobec ludzi.

Rośnie liczba sądów, które sięgają po opinie biegłych i ekspertów. Oczywiście, wciąż są też takie, które mimo niezbitych dowodów na znęcanie się nad zwierzętami uniewinniają sprawców. Ogromna jest tu rola prokuratur oraz funkcjonariuszy i funkcjonariuszek policji, prowadzących postępowania wyjaśniające. To, jak oni rozumieją zapisy ustawy o ochronie zwierząt jest kluczowe dla stawiania zarzutów.

Z czego wynika dość, niestety, popularne w Polsce przywiązywanie psów do drzew i zostawianie ich w środku lasu?
– Nie ma rozwiązania prawnego, które wskazywałoby, co ma się stać ze zwierzęciem, gdy jego właściciel np. zachoruje, pójdzie do więzienia, złamie nogę albo umrze. Schroniska dla bezdomnych zwierząt, jak sama nazwa wskazuje, nie przyjmują zwierząt od właścicieli.

W Stanach Zjednoczonych są stowarzyszenia, które obejmują zwierzęta opieką na określony czas, dopóki ich właściciele nie wyzdrowieją lub nie poukładają sobie trudnej życiowej sytuacji. W Polsce nie ma na to żadnego systemowego rozwiązania. Ludzie są więc „postawieni pod drzewem". Kota wypuszczą, bo pobiegnie przed siebie, ale pies będzie próbował gonić właściciela i wrócić.

Nie chcę nikogo usprawiedliwiać. Gdy zastanawiam się jednak, z czego to wynika, przychodzą mi do głowy właśnie takie przypadki. Ludzie wolą pozbyć się zwierząt po cichu. Boją się oceniania, ostracyzmu.

No, i chyba też odpowiedzialności karnej. Za porzucenie zwierzęcia grozi kara do trzech lat pozbawienia wolności.
– Tak, ale takich spraw jest niewiele.

Na początku mówiła pani o dwóch ścierających się podejściach do zwierząt. Jedno to tradycyjne, a drugie to „traktowanie zwierząt jak równoprawne byty". To znaczy jakie?
– W sytuacji, kiedy zaspokoimy nasze podstawowe potrzeby, żyje nam się lepiej i wygodniej, zaczynamy się rozglądać dookoła. Włączamy myślenie o innych ludziach i bytach wokół nas. Zastanawiać się, czy na pewno musimy konsumować zwierzęta albo nosić z nich ubrania, czy musimy na nie polować i je zjadać.

I ten nowy trend jest wspierany przez różne rozwiązania legislacyjne, np. z poziomu Unii Europejskiej. To na przykład wymogi dotyczące podnoszenia dobrostanu trzody chlewnej, o którym wspominałam. Ale w Polsce to obchodzimy, stosujemy się do wymogu iluzorycznie.

Problem dobrostanu zwierząt w produkcji zwierzęcej jest niestety nadal marginalizowany. Ciągle słyszymy o pożarach, w których umierają zwierzęta – nie ma tam systemów przeciwpożarowych. To powinno być wymagane prawnie.

Jest też zjawisko nazywane „bambinizmem", czyli emocjonalne i wyidealizowane podejście do zwierząt. Mieszkańcy wsi nazywają tak „miastowych", sugerując, że nie mają oni pojęcia o realiach związanych z życiem zwierząt.
– Często wynika to z przekazów z bajek, które tworzą iluzoryczny świat idealnego współżycia między gatunkami. Czym innym jest naiwność, a czym innym umiejętność wyczuwania zwierząt, ich potrzeb, emocji. Ten „bambinizm" rozumiałabym właśnie jako takie opaczne traktowanie zwierząt, w którym je antropomorfizujemy.

Tymczasem zwierzęta mają potrzeby inne niż ludzie. Konieczność ich właściwego zaspokajania jest podstawą dobrostanu, dlatego przygarniając zwierzęta, o to trzeba przede wszystkim dbać. I świadome osoby to robią.

Istnieje też syllogomania, czyli zbieractwo zwierząt. A więc takie ich gromadzenie, w którym opiekun lub opiekunka nie jest w stanie zadbać o potrzeby podopiecznych.

W Stanach Zjednoczonych już ten problem dostrzegli. Urzędnicy sprawdzają, czy potencjalni właściciele mają odpowiednie zasoby, aby przyjąć kolejne zwierzęta.

Obecność takich wrażliwców jest bardzo wygodna dla społeczeństwa. Zawsze można im podrzucić psa czy kota. Wiadomo, że nie odmówią. Gdyby jednak ci wszyscy ludzie je zostawili, państwo miałoby ogromny problem. Wykorzystujemy tę ponadprzeciętną wrażliwość, dopóki coś nie pęknie.

Mówiąc „psiecko" i „kociecko" posuwamy się za daleko

Aktywistka Beata Krupianik mówi o całkowitym poświęceniu się na rzecz zwierząt jak o bardzo wyczerpującej misji. Zapowiada pozew przeciwko państwu, które – jak mówi – od lat wyręcza. Nie pamięta, kiedy ostatnio była na urlopie. Co z naszym dobrostanem?
– Jeśli całkowicie zaangażujemy się w pomaganie, zapominając o sobie, łatwo o tzw. compassion fatigue, czyli wypalenie, zmęczenie pomaganiem. Naukowcy powoli zaczynają się temu przyglądać, zarówno odnośnie do poświęcania się zwierzętom, jak i dla innych ludzi.

Wszyscy mamy ograniczone zasoby. Jeśli się nie wysypiamy, nie odpoczywamy, zapominamy o naszych relacjach – to doprowadzamy się do stanu, w którym nasze zasoby się wyczerpią. Tu potrzebny jest ten zdrowy egoizm, oparty na założeniu: „jeśli nie będę w stanie zadbać o siebie, to nie będzie miał kto zadbać o innych". Tak jak z tą maską w samolocie, którą najpierw zakładamy sobie, a dopiero potem dziecku.

To wymaga jednak ogromnej autoświadomości, zdolności autodiagnozy, umiejętności oceny, czego naprawdę w danym momencie potrzebuję. W Polsce nie ma żadnego systemowego wsparcia dla takich ludzi. Dotyczy to też opiekunów osób z niepełnosprawnościami. Raczkuje tzw. opieka wytchnieniowa, która pozwala opiekunom na odpoczynek. W ogóle nie mówi się o dofi-

eprasa.pl b89c1dd19d

nansowaniu osób, które wyręczają państwo w opiece nad zwierzętami bezdomnymi.

Co pani sądzi o traktowaniu zwierząt jak własne dzieci, mówieniu o nich „psiecko" i „kociecko"?
– Jestem sceptyczna. Mówienie, że jestem „właścicielem", automatycznie stawia nas w pozycji dominacyjnej, wysoko w hierarchii. „Posiadam zwierzę, a więc jest moją własnością". W świetle prawa, tak właśnie jest, zwierzęta nie są naszymi partnerami, tylko podlegają pod prawo dotyczące rzeczy. Odchodzimy od „właścicieli", mówimy raczej o „opiekunach". Nie jesteśmy jednak, i nigdy nie będziemy, ich „rodzicami".

Mówiąc „psiecko" i „kociecko", posuwamy się odrobinę za daleko. To nie są dzieci, to są psy, koty albo chomiki. Zwierzęta, które mają inne potrzeby niż dzieci. Są badania, które mówią, że psy mają emocjonalność na poziomie dwuipółletniego letniego dziecka. Ale to nadal psy.

Może w ten sposób uzupełniamy niezagospodarowane instynkty rodzicielskie?
– Język jest narzędziem kształtowania naszej rzeczywistości. Filozof Ludwig Wittgenstein mówił, że „granice naszego języka są granicami naszego poznania". Mówimy o świecie tak, jak go widzimy. Nazywając psy naszymi dziećmi, a siebie ich rodzicami, wchodzimy w role, które do nas nie przynależą. Znowu wracamy do wątku,

„po co są zwierzęta". Na pewno nie po to, by udawać nasze dzieci i spełniać nasze niezagospodarowane instynkty.

Instynkt macierzyński zmierza do posiadania dziecka, a nie psiecka.

Jesteśmy zupełnie odrębnymi gatunkami, ale rzeczywiście relacje ludzi z psami, kotami czy innymi towarzyszącymi zwierzętami są niezwykle nagradzające. Są badania, które wykazują, że poziom oksytocyny podnosi się, jeśli nawiązujemy kontakt wzrokowy z psem, a on to odwzajemnia. Oksytocyna jest hormonem, który odpowiada za chęć opiekowania się kimś.

Zwierzęta dają nam ciepło, radość. Ich bliskość jest dla nas budująca. A ich strata to często doświadczenie bardzo bolesne i traumatyczne. Warto jednak trzymać się przypisanych każdemu gatunkowi ról i koniecznie pamiętać o tym, że każdy gatunek, a nawet każdy osobnik, inaczej postrzega świat i czego innego potrzebuje.

À propos języka i straty. Prof. Jerzy Bralczyk rozpętał burzliwą dyskusję, mówiąc, że pies „zdycha", a nie „umiera". Do którego określenia jest nam dziś bliżej?
– Jestem wdzięczna panu profesorowi, że poruszył ten temat. Gdyby to samo powiedziała mniej rozpoznawalna osoba, tej dyskusji by nie było. A była potrzebna.

Okazało się, że ludzie mają wielką trudność ze znalezieniem odpowiednich słów w kontekście straty zwierzęcia. „Zdychać" mają za zbyt pejoratywne, a „umierać" za zbyt daleko idące, przypisane człowiekowi. Wymyślają więc eufemizmy w rodzaju „przeszedł za tęczowy most", „odszedł do krainy wiecznych łowów".

Jesteśmy coraz bliżej, by mówić już o „umieraniu", a nie „zdychaniu" zwierząt.

Podczas jednej ze spraw, w których jako biegła sądowa oceniałam dobrostan zwierzęcia, pani prokurator użyła sformułowania „wiewiórka umarła". To było ujmujące. Nagle organ prawa, postrzegany raczej jako bezduszny, formalny – użył takiego określenia. To pokazuje, że zmiana jest nieuchronna.

Przykładem zmiany świadomościowej, która przełożyła się na rzeczywistość, jest na przykład cyrk. Swego czasu był ogromną atrakcją, wielkim wydarzeniem, gdy zajeżdżał do mniejszych miast. Dziś zwierzęta już w nich nie występują.
– I ta zmiana zadziała się przede wszystkim w głowach ludzi, decyzjach konsumentów, bo nigdy nie było przecież żadnego oficjalnego zakazu występów zwierząt. Miasta przestały udostępniać tereny takim cyrkom.

FOT. PATRYK OGÓRZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Stado 14 dzików pojawiło się na bulwarach nad Wisłokiem w Rzeszowie. Straże pożarna i miejska połączyły siły, by je przepłoszyć (6.10.22)**

Dużą rolę odegrała presja społeczna. Ludzie szczerze się oburzyli, gdy poznali kulisy tych występów.

Z futrami będzie podobnie?
– Popyt na futra już znacząco spadł. Coraz trudniej ukryć, jak powstają. Ludzie są coraz bardziej świadomi. Iść po ulicy w futrze to wstyd. Prawie nikt ich już nie nosi.

Coraz gorzej ma się też polskie lobby futrzarskie. Jeszcze do niedawna producenci sprzedawali futra głównie na Wschodzie, w Rosji i krajach azjatyckich. Teraz ze względu na embarga produkcja futer w naszym kraju drastycznie spadła. Miejsca, w których były hodowane norki, są dziś zastępowane przez kurniki.

Wielbiciele futer też świetnie sobie radzą. Sztuczne futra są robione tak, że trudno dostrzec jakąkolwiek różnicę między prawdziwymi. Kariera futer chyli się więc ku końcowi. Branża dogorywa. Myślę, że to kwestia dziesięciu lat, gdy zupełnie znikną.

Coraz chętniej przestajemy też jeść mięso. Według raportu „Jak odżywiają się Polacy?" opublikowanego przez Kukuła Healthy Food 2021 10 proc. Polaków między 18. a 65. rokiem życia wybrało wegetarianizm. Wzrasta trend, który w PRL i wczesnych latach 90. był brany za dziwactwo.

Mięso może i nawet powinno być całkowicie wycofane

– Bo wtedy mięso było deficytowe, drogie. Uchodziło za towar luksusowy, a jego spożywanie było wyznacznikiem statusu społeczno-ekonomicznego. Było oznaką bogactwa i zamożności. Wybór produktów spożywczych w ogóle był bardzo ograniczony. Nie było alternatyw. Wegetarianie słyszeli: To co ty w takim razie jesz?

Dziś trend się zupełnie odwraca. To właśnie osoba, która nie je mięsa, uchodzi coraz częściej za tę majętną, bo stać ją na zdrowe i ekologiczne odżywianie. Mięso jest powszechnie dostępne, śmiesznie tanie i jak pokazują liczne badania naukowe, niezdrowe.

Może znów powinno być bardzo drogie i niedostępne?
– Może.

Ale powiem więcej: mięso może i nawet powinno być całkowicie wycofane.

Masowe zabijanie zwierząt na taśmie produkcyjnej Henry'ego Forda jest naprawdę okrutne, uprzedmiotawiające. Paul McCartney powiedział, że „gdyby rzeźnie miały szklane ściany, nikt nie jadłby mięsa". Ale my tego nie widzimy, zamykamy oczy. Idziemy do sklepu po skrzydełko czy schab – i do kasy. Udajemy, że cierpienie zwierząt się nie dzieje. Bardzo obiecująco zapowiada się produkcja mięsa z komórek pozyskanych od zwierząt, jednak nie wymagających masowego uboju.

Co z argumentem, że ktoś jest hipokrytą, jeśli odstawia mięso z powodów etycznych, ale skórzane buty nie stanowią już problemu. Tymczasem życie w zgodzie ze zwierzętami to cały, świadomy styl życia: nieużywanie kosmetyków testowanych na zwierzętach, niekupowanie poduszek z gęsimi piórami.
– W ramach przedmiotu „Zwierzęta i ludzie – ujęcie socjologiczne" zadaję moim studentom takie zadanie domowe: niech przejdą się po swoim domu i sprawdzą, ile mają w nim rzeczy, które w jakiś sposób pochodzą od zwierząt. Okazuje się, że mamy ich całe mnóstwo. Na zwierzętach testujemy leki (to w naszym kraju wymóg) i składniki kosmetyków, nosimy wełniane swetry, używamy zwierzęcych tłuszczów. Nawet kiedy oglądamy w telewizji mecz piłki nożnej, to patrzymy na piłkę wykonaną ze zwierzęcej skóry.

Trudno więc całkowicie odciąć od konsumpcji powiązanej ze zwierzętami. Co nie znaczy, że nie możemy zacząć od małych zmian. To my, konsumenci, zmieniamy świat swoimi wyborami. Wszystko weryfikuje rynek.

Coraz więcej marek deklaruje, że nie testuje swoich produktów na zwierzętach.

Firmy, które do tej pory produkowały wyłącznie ryby lub mięso, zaczynają wzbogacać swoje oferty o inne produkty, jak np. kabanosy roślinne. Dziś oferta produktów spożywczych opartych o bazy roślinne jest bardzo duża.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że z mięsa zupełnie zrezygnujemy?
– Czytałam niedawno prognozy, że do 2050 r. połowa populacji zachodnioeuropejskiej nie będzie spożywała mięsa pozyskiwanego tradycyjnie, czyli z uboju, ale że będziemy jeść mięso z hodowli komórkowych (tzw. „czyste mięso").

Idea masowego uboju zwierząt w zasadzie powstała w XIX w. w Stanach Zjednoczonych na fali narastającej konsumpcji, wynikającej z rewolucji przemysłowej. Przetrwało to do dziś, ale zaczynamy wchodzić w trend minimalizmu i ograniczania konsumpcji w ogóle.

Sięgnijmy jeszcze dalej. Pierwsze ludzkie społeczności były określane jako łowiecko-zbieracze. To dawało mylny ogląd, że podstawą diet ludzkich było upolowane mięso. Dziś wiemy, że było inaczej i że podstawą diety tych ludzi było to, co udało im się zebrać: owady, rośliny albo zwierzęta, które byli w stanie złapać. Polowanie przynosiło sporadyczne efekty, bo było bardzo trudne.

Naturalna dieta ludzka jest zbliżona do szympansiej, a nasz przewód pokarmowy przystosowany do jej trawienia. Nie mamy „aparatu" polowania jak drapieżniki: kłów, pazurów, wytrzymałości i prędkości.

Ludzie nie są biologicznie przystosowani do jedzenia mięsa ani pod względem układu trawiennego, ani aparatu gryzącego. Nie bylibyśmy w stanie rozszarpać surowego mięsa. Do zdobywania mięsa używamy narzędzi: strzelb, noktowizorów czy termowizji.

Jedzenie mięsa stanie się obciachem i powtórzy los cyrków i futer?
– Prędzej czy później, tak. Badania socjologiczne prof. Domańskiego o wzorcach konsumpcyjnych dowodzą, że agentami zmian będą kobiety. To one gotują częściej. Na obiad będzie to, co one zarządzą. Problem w tym, że często ulegają wpływom innych domowników. I tu dochodzimy do ciekawych wniosków związanych z jedzeniem mięsa z podziałem na płeć. Mężczyznom przypisuje się spożywanie czerwonego mięsa, a kobietom ryb i drobiu.

Mięso odradzają dietetycy, którzy coraz częściej przekonują do produktów roślinnych. Lekarze przestrzegają przed czerwonym mięsem, które może powodować raka. Wiemy już też, że nie potrzebujemy mięsa, aby dobrze funkcjonować.

Jaka przyszłość czeka mięsożerców?
– Przerzucą się na tzw. mięso bez matki, czyli to wytwarzane w laboratoriach z produkcji komórkowej.

Tak będą też generowane karmy dla zwierząt. I mogą być lepsze. Dziś karmimy koty mięsem ze sklepu, które nigdy nie jest tym, jakie kot sam by upolował. Jeśli chcielibyśmy odpowiadać jego naturalnym potrzebom, powinniśmy podawać mu „mysinę" – można ją stworzyć w laboratorium.

To będzie miało też duże znaczenie w kwestii ochrony środowiska. Ocieplenie klimatu jest w dużej mierze spowodowane produkcją zwierzęcą. W większym stopniu niż korzystaniem z samochodów spalinowych.

Rozwiązanie jest więc bardzo przyszłościowe. Pytanie, w jakim stopniu uda się pójść na ugodę z producentami mięsa.

Podsumujmy, wracając właściwie do pierwszego pytania. Jeśli nasz stosunek do zwierząt faktycznie obrazuje to, jakimi jesteśmy ludźmi i w jakim stanie jest nasze społeczeństwo, to co można powiedzieć o Polakach? Z jednej strony mamy w swoich domach ponad 11 mln psów, oburzamy się na cyrk, futra i mękę koni w Skaryszewie, ale nie potrafimy ogarnąć spraw takich jak kastracja czy zarządzanie schroniskami.
– Indywidualne działania każdego z nas mają ogromne znaczenie. Każdy z nas jest katalizatorem zmiany. Zwykliśmy to kwestionować, mówiąc, że „jedna osoba świata nie zmieni". To nie jest prawda, bo synergia polega na tym, że mikrodziałania składają się na jedną, potężną i zauważalną zmianę, jaką jest w tym przypadku modyfikacja złych praktyk.

Najgorzej jest pozostać biernym, bo bierność oznacza współpracę z opresorem. Nie zapominajmy, że zwierzęta potrzebują naszego wsparcia, bo same za siebie się nie wypowiedzą, nie załatwią swoich spraw. Dlatego trzeba koniecznie zgłaszać przypadki maltretowania zwierząt i podejmować świadome wybory konsumenckie. ●

Prof. Hanna Mamzer

• Socjolożka z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, biegła sądowa w postępowaniach dotyczących dobrostanu zwierząt.

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z **JAGNĄ DOBESZ,** SCENOGRAFKĄ FILMU „DZIEWCZYNA Z IGŁĄ", DUŃSKIEGO KANDYDATA DO OSCARA ROZMAWIA **PIOTR GUSZKOWSKI**

RZEŹBIENIE W MUSZTARDZIE

Marzenia? Czasem widzę na twarzach ludzi uśmieszek, jak o tym mówię. Nie wiem, skąd się biorą te polskie kompleksy.

PIOTR GUSZKOWSKI: Rzeźbisz jeszcze?
JAGNA DOBESZ: Oszukiwałam się przez lata, że wrócę do rzeźbienia. Ale przy moim trybie pracy to niemożliwe. Gdybym malowała, na upartego mogłabym przeznaczyć na to jeden pokój, wyłożyć go folią. Co prawda farba, jak wyschnie, inaczej pracuje, ale można dokończyć obraz nawet po paru latach. Z gliną – a właśnie w niej lubiłam pracować, bo miałam wpływ na kształt – jest inaczej. Glinę musisz ciągle psikać wodą, obkładać szmatami, ale też nie za długo, bo w końcu straci właściwą konsystencję.

To trochę jak z rośliną.

– Nawet gorzej. Roślina jeszcze odbije, a rzeźba bez ciągłego nawilżania wyschnie, popęka, odpadnie i po dwóch tygodniach jest nie do odratowania. Z kolei kamień strasznie pyli, trzeba by mieć osobny garaż. Mogłabym robić małe formy, np. w plastelinie. Ale co się zbiorę i kupię plastelinę, wchodzę w kolejny projekt filmowy i znów brakuje czasu. Na szczęście na planie doświadczam tego, co przy tworzeniu w glinie: postarzam meble papierami ściernymi, patynuję – mnie to relaksuje jak joga. Zdarza się, że wracam do domu cała w błocie albo poplamiona farbami. Chociaż im bardziej skomplikowany projekt, tym mniej mam przestrzeni na taką pracę. Na co dzień muszę być bardzo konkretnym menadżerem: z głową do terminów i pieniędzy. No i ciągłych negocjacji.

Jak to się właściwie stało, że rzeźbiarka trafiła do filmu?

– Przez przypadek. Kiedy byłam na czwartym roku studiów, ekipa z TVP Kultura kręciła u nas na uczelni film dokumentalny o Alinie Szapocznikow. Pomagałam przy realizacji, zrobiłam kilka kopii rzeźb, zagrałam jej ręce. Ktoś mnie polecił do teatru, potem przez przyjaciół rodziców, Magdę i Piotra Łazarkiewiczów, przydarzył się pierwszy plan. Zresztą rzeźbą też zajęłam się w sumie przypadkiem. Myślałam o projektowaniu kostiumów, fotografii. Ale wystarczyło, że wzięłam do ręki glinę i po 20 minutach zrozumiałam, że muszę mieć bezpośredni kontakt z materiałem.

Przejeżdżam ręką po ścianie albo meblu, lubię, jak ma swoją fakturę, niedoskonałości. Jest taka zasada, że białe sufity lepiej odbijają światło. A ja nie znoszę białych sufitów. Nadajmy temu strukturę przez kasetony, dziwne lampy. Do odbijania światła można wykorzystać ramy czy blendy. W tym sensie, kiedy z Anią Maliszewską robiłam serial „Infamia", poczułam więź z Romami. Tak jak ja mają potrzebę zapełniania wszystkiego dekoracją.

O ile dobrze pamiętam z historii sztuki, ten lęk przed pustką, przed pustą przestrzenią, nazywa się horror vacui.

– Zdarza się oczywiście, że jeden kolor ma sens. Przy „Silent Twins" Agnieszki Smoczyńskiej oglądaliśmy zdjęcia z niesławnego psychiatryka Broadmoor, gdzie siostry Gibbons były osadzone wśród największych zwyrodnialców. Na jednym ze zdjęć zobaczyłam celę w ohydnym monochromie. Przypominała pudełko. Zbudowaliśmy pomieszczenie w kształcie trapezu, tak jak rysuje się linie perspektywy. Wrażenie, jakby wciągało, jak lej który się tworzy przy mieszaniu łyżką. Użyłam tej samej farby na sufit, ściany i podłogę. Takie wyzwania lubię najbardziej. Gorzej, jak ktoś dzwoni i mówi, że są do zrobienia dwa współczesne mieszkania. Scenariusz może być fajny, gęsty w dialogu. Ale dla mnie wielkiego wyzwanie nie będzie. Z czasem to się staje nudne.

A w „Sweat" Magnusa von Horna? Tam były praktycznie dwa mieszkania: głównej bohaterki w modnej warszawskiej dzielnicy i drugie, jej matki, w starym bloku na łódzkim osiedlu.

– W przygotowania z Magnusem weszłam dosłownie kilka dni po „Przestrodze", nieźle pokręconym science-fiction. Trudno było się przerzucić na film, gdzie robiłam współczesną scenografię i w pewnym sensie musiałam się ukryć. Zależało nam na uzyskaniu uczucia przypadkowości: jakbyś wszedł z kamerą do jednego z apartamentów gwiazd TikToka. To było nieoczywiste wyzwanie, w pewnym sensie dokumentalne. Polegało na dobieraniu przedmiotów symbolizujących świat ludzi, którzy wymazują wspomnienia.

Trudność polegała również na pokochaniu białych, gładkich ściany. Na szczęście są jeszcze kontakty, włączniki, kable od lamp. Na planie zwykle wszyscy krzyczą: „Schowaj te kable!". Nie rozumiem tego, splątane przewody świetnie uziemiają scenografię. Tak samo jak wymięte paragony czy plastikowe pudełko z niedojedzoną sałatką zostawione na szafce na wysoki połysk.

Jak się pracuje z Magnusem von Hornem?

– Magnus jest genialnym obserwatorem i socjologiem, z dużą inteligencją emocjonalną. Daje dużo od siebie, czuje przestrzeń. No i godzi się na moje szalone pomysły. Sam ma zresztą podobne. Wymyślił, żebyśmy chodzili razem na imprezy dla celebrytów. Urodziny jakiejś marki, nagrody w stylu „osobowość roku". Wszędzie tam, gdzie są ścianki, czerwone dywany, a obok ciebie siedzi detektyw Rutkowski, którego fryzurę niezmiennie podziwiam. Podglądałam scenografię eventową: kubiki, ledy, aranżację sceny i oświetlenia. Chodziło o efekt podobnej sztuczności. Śledziłam profile gwiazd fitnessu. Kiedy opowiadają o diecie, w tle widać jak mieszkają. To był mój mood board.

U Magdy w „Sweat" wszystko jest nowe, dopiero co kupione, nie ma żadnej historii. Odcięła się od Łodzi, od rodziny, robi karierę, jest skupiona na sobie, ale też bardzo samotna. Przez ludzi, którzy nie wiedzą, czym zajmuje się scenograf, jestem postrzegana jako pani od wazonu albo ta, która wybiera tapetę – ale od tego mamy na planie świetnych dekoratorów. Mało kto zdaje sobie sprawę, że scenografia to jest praca na wielu warstwach, także psychologicznej. Po-

Jagna Dobesz

• Scenografka filmowa, absolwentka ASP w Warszawie. Laureatka Europejskiej Nagrody Filmowej i nagrody za najlepszą scenografię na FPFF w Gdyni za scenografię do „Dziewczyny z igłą" w reżyserii Magnusa von Horna. Wcześniej doceniono jej pracę m.in. przy „Silent Twins" Agnieszki Smoczyńskiej. Pracowała również z Pawłem Pawlikowskim („Ida") czy Claire Denis („High Life".

„Dziewczyna z igłą" jest duńskim kandydatem do Oscara w kategorii Najlepszy Film Międzynarodowy. Dzieło Magnusa von Horna znalazło się na tzw. oskarowej shortliście.

eprasa.pl b89c1dd19d

przez dobór kolorów, przedmiotów, organizację przestrzeni – układ form opresyjnych lub przyjaznych – możemy dużo opowiedzieć o człowieku.

Od razu zacząłem się zastanawiać, jak wygląda twój dom.
– Gdyby nie to, że jeszcze go wykańczamy, zaprosiłabym cię do siebie. Niedawno przeniosłam się pod Warszawę i nawet przyjaciele byli zdziwieni, że mam takie grzeczne kolory. W scenografii uwielbiam niepasujące do siebie zestawienia: krzykliwe, przesadzone, a przez to fascynujące dla kamery. Kamera kocha to, co dla ludzkiego oka na co dzień mogłoby być nie do zniesienia. Idę za intuicją, ryzyko jest wliczone. Domyślam się, że w Wielkiej Brytanii w latach 80. nikt nie malował ścian w gabinecie dyrektora na śliwkowo-burgundowy. Ale właśnie taki odcień wydał mi się idealny do sceny szarpaniny w „Silent Twins". Pasował do potwornej sosnowej stolarki. Wreszcie też miałam okazję pracować z innym kolorem skóry.

To ma aż takie znaczenie?
– Zwykle muszę unikać żółtej ściany, bo usłyszę od operatora, że aktor się źle z nią łączy. Z Letitią Wright i Tamarą Lawrance mogłam pójść odważniej, w musztardę i cytrynę. To w pracy. W domu odpoczywam w monochromie – zgaszony beż, kremowy, kawowy, trochę miedzi, wszystko wypalone jak na pustyni. Ścieramy się czasem z chłopakiem. Marcin jest policjantem kryminalnym i zupełnie inaczej odczytuje przedmioty. Stawia na funkcjonalność. Młynek do kawy ma dobrze mielić ziarno. Dla mnie równie ważne jest, czy pasuje do naszej kuchni. Mogę przez dwa tygodnie szukać do domu solniczki, która nie będzie mnie denerwować. Dla najbliższego otoczenia to musi być męczące. W sensie wszystkie te moje obsesje.

Jest ich więcej?
– Potrafię godzinami przeglądać na Pintereście foldery z popękanymi ścianami. Nikogo wtedy nie słucham, znikam w myślach. Albo zawieszam się w trakcie rozmowy, bo właśnie zobaczyłam idealne rynny do filmu. Nazywam to zbieraniem eksponatów do muzeum wyobraźni. Wyjmuję telefon, robię zdjęcia struktur, faktur, detali. Ale to nie tylko ja, chyba wszyscy w tak mamy, scenografowie, operatorzy. Wystarczy przejrzeć nasze konta na Instagramie.

Jest taka stacja benzynowa na Dolnym Śląsku, nie zdradzę gdzie. Śmialiśmy się z operatorem Kubą Kijowskim, że wygląda jak opuszczony amerykański motel na końcu świata. Sprzedają tam strzelby, dziwne meble sosnowe, worki ziemniaków po 50 kg, wielkie pluszaki. Masa inspiracji w jednym miejscu. Tak naprawdę wystarczy wyjechać poza Warszawę, gdzie nie ma tylu wnętrz urządzonych przez projektantów, choć na Pradze i na Woli przytrafiają się podobne znaleziska.

Korzystasz z tego, że masz pod ręką konsultanta, jeśli chodzi np. o miejsca zbrodni?
– Śmiejesz się, ale jak Marcin mnie odwozi albo odbiera z planu, mówi czasem: „Wchodziliśmy tutaj po takiego i takiego". Nagle dowiaduję się, że pan Marek – dla mnie przemiły, pomocny facet, który pozwolił nawet wbić gwóźdź w ukochaną tapetę – ma za sobą pół roku odsiadki. W innej kamienicy Marcin był na sprawdzeniu. Ciekawe jest to, że nasze zawodowe ścieżki, wydawałoby się tak różne – policjant kryminalny i scenografka filmowa – często się przecinają. A ile ja się nasłuchałam od ludzi z mojej branży, jak ja się mogę spotykać z „psem". To się działo akurat w czasie protestów przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego, więc stosunek do policji był wtedy, jaki był.

Jak reagowałaś?
– Że ktoś musi prowadzić sprawy morderstw, łapać złodziei. Też chodziłam na demonstracje. Starałam się rozmawiać z policjantami w kordonach, wielu z nich było przyjezdnych. Prosiłam, żeby nas ostrzegali, kiedy będą używać gazu. Przecież ja wiem, że rozkazy przychodzą z góry. Jeden mnie odepchnął i upadłam na ulicę. Ale byli też tacy, co mówili: „Lepiej niech pani stąd odejdzie, bo za chwilę nie będzie wesoło".

FOT.GUTEK FILM (2), PIOTR LITWIC/NETFLIX

• **Dziewczyna z igłą" (2024). Czarno-biały film, w konwencji mrocznej baśni. Grozę czuje się nawet w sklepie z cukierkami**

• **„Infamia" (2023). Serial o zbuntowanej romskiej dziewczynie. To kolory, wzory, faktury i ich zaskakujące połączenia**

Nie pozwalam sobie na to, żeby w filmie mieć jakiś nijaki obiekt, jedną lokację gorszą od innych. Nie interesuje mnie, że tam rozgrywa się tylko jedna rozmowa. Jak wydrukujesz stopklatkę, to ona ma wyglądać wspaniale

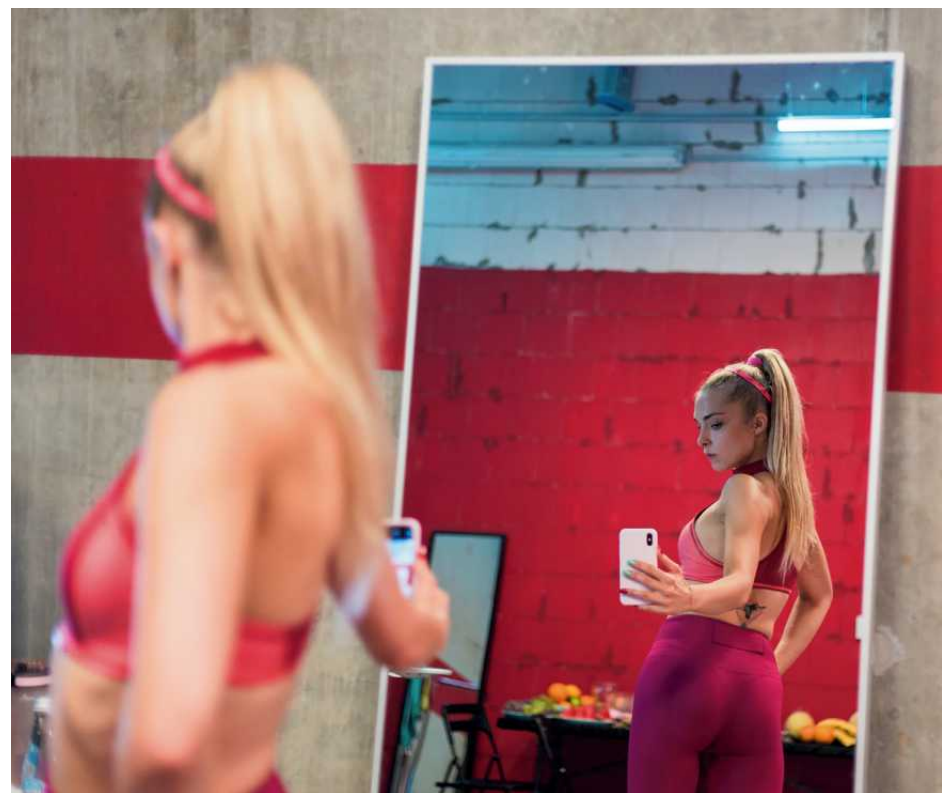

• **„Sweat" (2020). Podglądanie życia fitnesowych influencerek. Wszystko jest tu nowe, błyszczące, pełen dziwnych gadżetów. Sztuczne, jak ten wykreowany świat**

Zdarza się, że kręcicie u ludzi w domach. Przemalowujecie ściany, dostawiacie meble.
– Podpisujemy umowę z ubezpieczeniem, wykonujemy zdjęcia przed i po. Najmniej problemów robią ci, którzy najmniej mają. Wyciągają dla nas rzeczy ze strychu albo przynoszą od sąsiada. Ale zdarza się, że po zdjęciach przychodzi właścicielka cała oburzona, że te poduszki na kanapie to były inaczej ułożone. Ogromną przyjemność sprawia mi, kiedy ludzie chcą coś sobie zostawić. Ale umówmy się, zdarza się to jednak rzadko, bo dokonujemy dziwacznych zmian. Marcin śmieje się, że mogłabym być jak Dorota Szelągowska.

Mogłabyś?
– Właściwie czemu nie? Byłam zaskoczona, że po „Infamii" pan zdecydował się zachować naprawdę mocny akcent na suficie: malowidło przedstawiające Romkę z koniem na różowym tle i kremowe kasetony. Najczęściej kończy się na tym, że przychodzę z próbnikiem NCS i pytam, czy malujemy na biało, czy wolą jakiś kolor – wtedy mogę doradzić.

Poznajesz historie tych ludzi?
– To bywają przejmujące sytuacje. Przy fajce albo mocnej kawie ludzie się otwierają. Zdarza się, że wchodzimy do naprawdę biednych domów. W jednym mieszkała ciężko chora kobieta, jej mąż tylko palił, psy zabiedzone. Zabrałyśmy je z dziewczynami do weterynarza, kupiłyśmy karmę. Przy „Infamii" spędziłam prawie rok z Romami. Miałam poczucie, że mnie zaakceptowali. Zostały mi różne przyjaźnie. Pani, u której kręciliśmy dom Alicji w „Fudze" Agi Smoczyńskiej, na wszystkie urodziny czy święta wysyła mi zdjęcia z życzeniami. Jak jestem w okolicy, wpadam na herbatę.

Jesteś z Dolnego Śląska. To chyba twój atut? Znasz bogactwo tych rejonów. Można odnieść wrażenie, że dziś powstaje tam co drugi polski film i serial.
– Od kilkunastu lat mieszkam w Warszawie. Lubię to miasto, ale jest tu dla mnie za płasko. Wolę góry. Kiedy byłam dru-

eprasa.pl b89c1dd19d

gim scenografem – u boku Kasi Sobańskiej i Marcela Sławińskiego, od których wiele się nauczyłam – dużo jeździłam. Szukałam na przykład pięknej drogi na przejazd pośród przyrody, w lesie. W uszach muzyka, obok mnie pies, wspaniale się czułam. Z perspektywy czasu zdaję sobie sprawę, że bywały to niebezpieczne przygody. Szczególnie po nocy. Zaglądałam z latarką w ciemne zaułki na wałbrzyskim Sobęcinie albo na posesje na zupełnym odludziu, pukałam do drzwi i nie nigdy tak naprawdę nie wiedziałam, kto mi otworzy.

Dobrze, że na Dolnym Śląsku tyle się kręci, bo po powodzi temu regionowi przyda się promocja. Choć nie ukrywam, że jestem zmęczona kręceniem kolejnych filmów w tych samych miejscach.

Bo to chyba tak jest, że jak ktoś odkryje klimatyczny pałac albo otworzy się skwer po rewitalizacji czy ciekawa architektonicznie inwestycja, to potem pojawia się, w co drugim filmie albo reklamie. Tak było z ekranami Trasy S8, placem Grzybowskim czy Browarami w Warszawie.
– To pójście na łatwiznę. Zawsze zachęcam do odkrywania nowych miejsc. Z drugiej strony, to samo miejsce można pokazać z zupełnie różnej perspektywy. Weźmy Bystrzycę Kłodzką. Był taki moment, że dosłownie mijaliśmy się w hotelach z innymi ekipami. Jednak ostatecznie dużo zależy od pracy kamery, scenografii, światła. Co innego kolorowe zdjęcia z drona, co innego nasz film: czarno-biały, w kostiumie i konwencji mrocznej baśni. Wszędzie błoto, zacieki. O to mi chodziło przy „Dziewczynie z igłą", żeby budynki były wręcz organicznie brudne i wywoływały poczucie zagrożenia.

A ci, co muszą w tym błocie brodzić, nie narzekają?
– Zataiłam, ile tej ziemi zamierzam wywalić. Więc jak o 6 rano przyjechały wywrotki, zrobiła się niezła draka. Teraz wszyscy się z tego śmiejemy, ale wtedy ekipa w myślach mnie przeklinała. Trzeba było tę ziemię rozrzucić łopatami, wydeptać. W ten sposób na ulicy powstała rzeźbiarska struktura. Chciałam, żeby ta uliczka była jak z horroru. Morderczyni w sklepie z cukierkami. Takie klimaty, z posmakiem absurdu. Ludzie zapominają o poświęceniu, jeśli widzą potem na ekranie, że miało ono sens.

Magnus von Horn opowiadał mi, że w prawdziwej historii Dagmar Overbye, która zainspirowała „Dziewczynę z igłą", odnalazł odbicie swoich lęków o dzieci. A o czym ty myślałaś, czytając ten scenariusz?
– Że żyję w innym świecie, gdzie mam swoje prawa, i że my jako kobiety znaczymy dziś w społeczeństwie znacznie więcej. Ale pomyślałam też, jak potworne są bieda oraz strach, ponieważ wyzwalają w ludziach potwory, które są zdolne do okrucieństwa.

Jak wyczarowałaś w Polsce wrażenie Kopenhagi z początku XX w.?
– To nie miał być portret miasta, tylko historia człowieka. Skupiłam się bardziej na oddaniu klimatu mroku, wszechobecnej biedy i brudu, niż na elementach związanych z Kopenhagą. Odwoływaliśmy się do pewnych wyobrażeń świata po I wojnie światowej, używaliśmy dużo drewna obecnego w duńskiej architekturze.

Są jakieś szczególnie trudne obiekty dla scenografów?
– Zdziwisz się, ale kościoły. Jest ich w Polsce pełno, mają różnorodną architekturę, ale trudno uzyskać zgodę na filmowanie. Księża boją się antyklerykalnej wymowy. Ogromne obostrzenia obowiązują również w sądach. W wystroju nic nie można zmienić, budynek jest udostępniany poza godzinami pracy, o zupełnie nieludzkich porach. Dlatego budujemy te wnętrza. Tak zrobiliśmy przy „Silent Twins". Potem nasz sąd, odpowiednio przearanżowany, grał w kolejnych filmach, co mnie akurat cieszy, bo jest ekologiczne. Słyszałam, że Patryk Vega zbudował Sejm i gdzieś go teraz trzyma.

Zdarza ci się dostrzec na ekranie jakieś błędy?
– Własne?

Tak, błędy w scenografii.
– Czasem sobie pomyślę, że mogłam dołożyć więcej rzeczy na parapecie. Ale to już perfekcjonizm. Chyba nie zdarzyło się, żebym musiała się wstydzić w kinie. Nie pozwalam sobie na to, żeby w filmie mieć jakiś nijaki obiekt, jedną lokację gorszą od innych. Nie interesuje mnie, że tam rozgrywa się tylko jedna rozmowa. Jak wydrukujesz stopklatkę, to ona ma wyglądać wspaniale.

Pamiętam, że Paweł Pawlikowski chciał po pół roku przekręcić jedną scenę. Umówmy się, po takim czasie nikt nie trzyma wszystkich elementów dekoracji, mebli. Zadanie było o tyle trudne, że w „Idzie", poza ostatnią sceną, kamera pozostaje nieruchoma. A wtedy dostrzegasz każdy detal w kadrze. Skończyło się na tym, że musieliśmy trochę udawać. Korzystając z przedmiotów, jakie były do dyspozycji, zbudowaliśmy odpowiednie wrażenie. Liczy się zachowanie wiarygodnej kontynuacji miejsca w kolejnych scenach. Nikt nie będzie liczył, ile krzeseł stoi przy stole, bo jakie to ma znaczenie dla historii? No, chyba że scena zupełnie nie działa, wtedy widz traci zainteresowanie i zaczyna się rozglądać.

A jakie pytania widzowie zadają scenografce?
– Zależy gdzie. Na festiwalu Nowe Horyzonty na sali jest wyrobiona publiczność, oczytani ludzie, w większości młodzi. Wiesz, że to będzie pobudzająca intelektualnie rozmowa, ale możesz się spodziewać, jakie padną pytania. Lubię spotkania w galeriach handlowych, serio. Jak na festiwalu w Gdyni. Polacy okazują się bardzo bezpośredni. Kiedyś na spotkaniu do „Fugi" jedna kobieta przyznała, że po obejrzeniu naszego filmu podjęła decyzję o rozwodzie. Nigdy się nie odnajdywała w roli żony ani matki. Teraz płaci alimenty, ale uwolniła się od tego koszmaru, a męża i dziecko uwolniła od siebie. Z kolei pani, która pracuje na poczcie, powiedziała: „Jezu, to wszystko zimne, mokre, tak się czułam niebezpiecznie".

Z Gdyni przywiozłaś już dwie nagrody za najlepszą scenografię, teraz doceniła cię również Europejska Akademia Filmowa. Zaraz zrobi się z tego niezła kolekcja trofeów. Gdzie je stawiasz?
– Planuję urządzić sobie pokój, w którym powieszę zdjęcia z wyjazdów filmowych. Zaplanowałam też półkę na nagrody. Nie ukrywam, że jest we mnie zdrowa żyłka sportowej rywalizacji. Najgorzej jak w trakcie festiwalu zaczynają ci gratulować wygranej. Potem można się rozczarować. Na szczęście na rozdanie Europejskich Nagród Filmowych do Lucerny jechałam spokojna, w mojej kategorii wszystko było jasne. Więc denerwowałam się już tylko tym, w co się ubrać.

Tych nagród nie dostałam znowu aż tyle, dopiero niedawno zaczęłam być doceniana. Więcej miejsca zajmują pamiątki. Mam taką tradycję, że z każdego ważnego planu zachowuję sobie jakiś przedmiot. Zaczęło się od „Idy", w sumie przypadkiem, po prostu po zdjęciach znalazłam to w swoim samochodzie.

Uznajmy, że nastąpiło przedawnienie. Powiedz lepiej co to za przedmiot?
– Tabliczka z nazwiskiem „Wanda Gruz". Klasyczna wizytówka na drzwi, w miedzi, odpowiednio postarzona. Teraz z „Dziewczyny z igłą" zachowałam sobie notes, w którym z Basią Koczarową i Paulą Kuklą wypisywałyśmy po duńsku notatki Dagmar. Z biegiem czasu pismo staje się coraz mniej wyraźne, a strony bardziej brudne. Chodziło o pokazanie, jak zaostrza się jej obłęd. Drobiazgi, które zachowuję, są mocno związane z postacią.

Z kolejnego filmu co sobie zostawisz?
– Dopiero rozmawiam o kolejnych. Obecnie rozkoszuję się stabilizacją. Przez ostatnich 15 lat pracowałam bardzo intensywnie, zaniedbałam życie prywatne. Wyjazdy na plan to duży koszt dla rodziny i znajomych. Mam przyjaciółki z Wrocławia, które dzielnie znoszą ten mój tryb od 20 lat. Rodzice jakoś się przyzwyczaili. Marcin też to rozumie, sam dostaje czasem telefon i musi od razu jechać.

Marzenia?
– Praca z Jorgosem Lantimosem, Sofią Coppolą i Pedro Almodovarem. Czasem widzę na twarzach ludzi uśmieszek, jak o tym mówię. Nie wiem, skąd się biorą te polskie kompleksy. Na ostatnim festiwalu w Cannes „Dziewczyna z igłą" była w jednym konkursie z „Rodzajami życzliwości" Lantimosa. To nie jest żaden cud, jak słyszałam, tylko talent i zaangażowanie Magnusa.

Magnus przypomina mi Pawła Pawlikowskiego, który na początku pracy wysoko ustawił mi poprzeczkę. Uczyłam się od niego pewności siebie, ufania swojej intuicji. Pracujemy tak samo, jak Amerykanie, oni mają tylko lepsze warunki finansowe. Dlatego moim marzeniem jest, żeby Magnus dostał na tyle duży budżet, żeby miał szansę rozwinąć skrzydła. Moglibyśmy pół roku przygotowywać się do produkcji, mieć wolne dni i weekendy.

Wolne weekendy to nie brzmi jak szczyt marzeń.
– Znam realia. Praca przy reklamach daje mi komfort, że mogę wybierać filmy, które nie tylko mnie zainteresują, ale będą miały przyzwoite warunki finansowe dla mojej ekipy. Bo bywa niestety, że te stawki są zaniżone. Na przykład drugi scenograf zarabia mniej niż techniczny, którego zadaniem jest podpiąć lampę zgodnie z wytycznymi operatora. Mam dość słuchania: „Przecież wy żyjecie sztuką". Dekoracje można robić sposobem – bez kasy jest trudniej, ale się da. Ale na ludziach nie oszczędzajmy. ●

REKLAMA

Kraj/34357744

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

JAK SIĘ ROBI prawdziwego MĘŻCZYZNĘ

Bezcenne jest doświadczenie miłości, które sprawia, że lęk ustępuje

Z **ADAMEM STRUGIEM,** ŚPIEWAKIEM, POETĄ I KOMPOZYTOREM, ROZMAWIA **ANNA S. DĘBOWSKA**

Porozmawiajmy o męskości. Co ty na to?
– Słabo to brzmi.

Czemu?
– Nie wiem, na ile jestem w tym miarodajny.

Jesteś mężczyzną, tak zakładam.
– Tak, niewątpliwie. Jednocześnie daleko mi do tego, co uważa się powszechnie za ideał prawdziwego faceta.

Co to za ideał?
– „Maczo, niech kobiety mi wybaczo". Wyrosłem w środowisku, dla którego to był obowiązujący wzorzec. Ale życie już dawno mi powiedziało, że każdemu jest ciężko, i to niezależnie od płci. Kto wie, czy współcześnie mężczyznom nie jest ciężej – paradoksalnie – niż kobietom.

Zaraz zapłaczę nad waszym losem. Dziś możesz powiedzieć: „Mam gdzieś patriarchat i jego nakazy, jestem sobą". A kiedyś był nacisk społeczny, nieprawdaż?
– Tak, i o ile we współczesności mnóstwo rzeczy mi się nie podoba, to tę akurat popieram całym sercem. Możemy żyć wreszcie tak, jak chcemy, bez obligu religijnego lub obyczajowego. Kobietom daje to wolność, ale jest też wyzwoleniem dla facetów.

Czyli jednak.
– Ale to generuje nowe problemy. Rozchwianie tożsamości, zagubienie w świecie, niepewność co do swojej roli i przeznaczenia. Faceci dostają teraz mocno po nosie od kobiet. Nie twierdzę, że im się nie należy, ale współczesne kobiety, wiele z nich, zachowują się jak mścicielki wielowiekowych prześladowań.

Sęk w tym, że to teraz za bardzo wychyliło się w drugą stronę, zupełnie niepotrzebnie, bo antagonizm między płciami jest moim zdaniem wtórny wobec biologicznej symbiozy, do której jesteśmy stworzeni.

Zwróć uwagę, że o ile istnieje ruch feministyczny, to maskulinistyczny się nie narodził, czyli faceci są w szoku.

Bez przesady. Niedawno w Krakowie odbył się I Kongres Mężczyzn. Istnieją różne grupy, na których mężczyźni szukają wspólnej energii, wsparcia w sobie nawzajem. Ty już dawno założyłeś

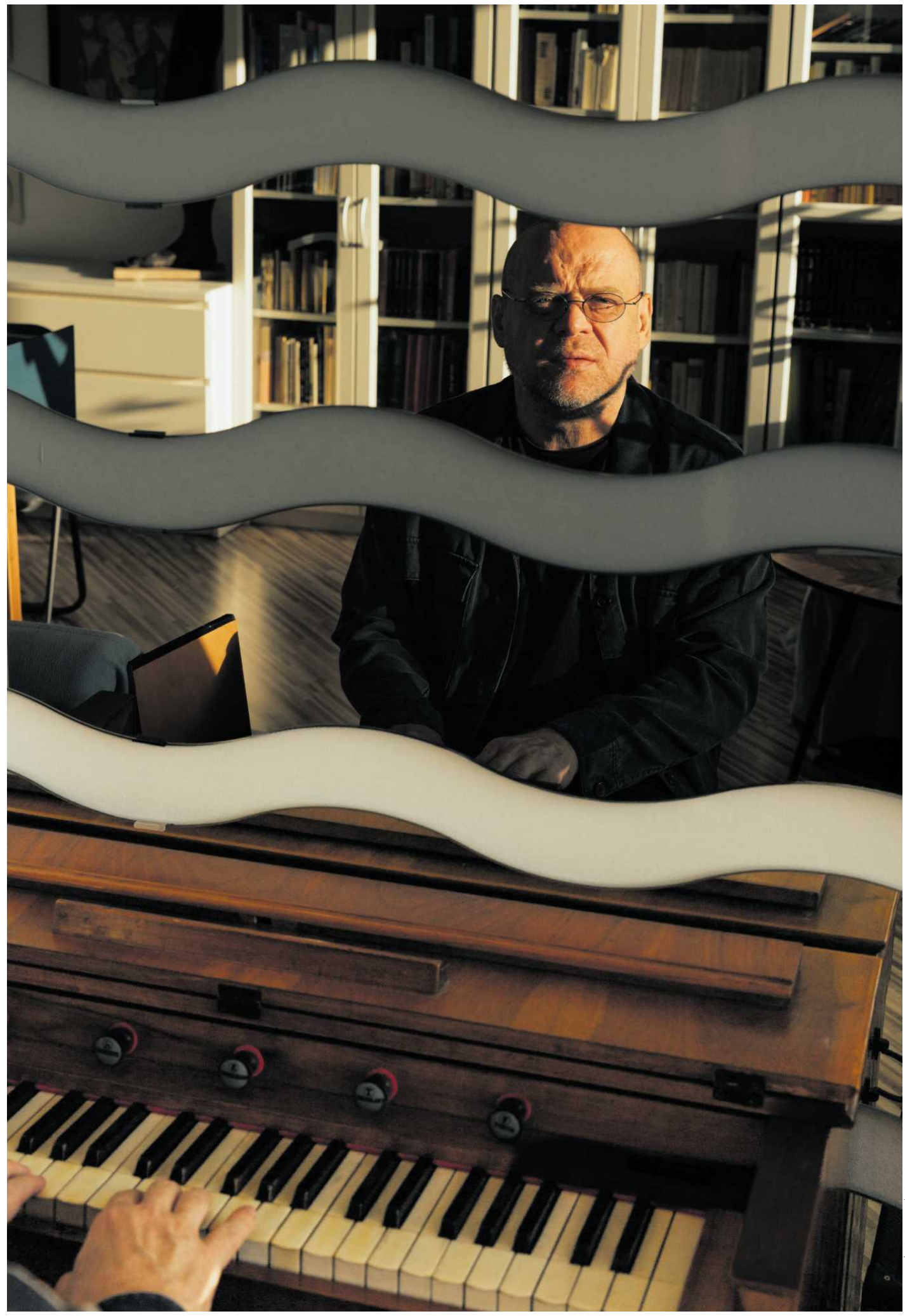

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

Monodię Polską, męski zespół wokalny. Więc coś tam jednak działa.
– Monodia to teraz dwunastu byków i baba. Przyszła do nas młodziutka dziewczyna, świeżo upieczona muzykolożka Sonia Wronkowska, specjalistka od muzyki dawnej, i jest z nami od paru lat. Sonia jest wybitną uczoną, bardzo ciekawym człowiekiem, a do tego śpiewa jak chłopiec. Od pierwszego wejrzenia, od pierwszych słów było jasne, że jest między nami mięta.

Co się ceni w świecie arabskim?

Nie mam pojęcia.
– Ceni się niskie głosy niewieście śpiewające ową śliwkową, gęstą barwą. To jest sam smak ich muzyki.

A gdzie w świecie arabskim te głosy śpiewają? Spod czadoru?
– To, co teraz mówisz, to jest – wybacz – typowa dla Europejczyków nieznajomość innej kultury. Pozycja kobiet w świecie arabskim obniżyła się na skutek radykalnych ruchów islamskich.

Popatrz na zdjęcia z Iranu z lat 70. XX w. Kobiety tam chodziły w mini. A potem doszło do zaostrzenia ruchów integrystycznych i stało się to, o czym mówisz. Ale integryści to zaledwie kilkanaście procent całej społeczności muzułmańskiej.

Na Zachodzie wszyscy są wrzucani do jednego wora, co jest kompletnym nieporozumieniem. Tym bardziej że tam co kraj, ba!, co plemię, to inny islam. Odmian tej religii jest wiele, a co za tym idzie, pozycja kobiet w życiu rodzinnym i społecznym też bywa zróżnicowana.

Ciągnie cię w tamte strony?
– Od 20 lat każdej zimy jeżdżę do krajów języka arabskiego.

A dokąd najchętniej?
– Na południe od Arabii Saudyjskiej. Głównie do Omanu. Do Jemenu nie, mimo wspaniałej architektury, ale tam przecież jest wojna. Nie będę płacił. Wykupienie białego kosztuje 16 tys. euro. Ochrony też.

Wprawdzie stolica – Sana – funkcjonuje, jak gdyby nigdy nic i żyje się tam mniej więcej po europejsku, ale wystarczy wyjechać poza granice miasta, by zobaczyć, że jest kompletna katastrofa. Chociaż muzykę mają w Jemenie wspaniałą, najchętniej ląduję w Omanie.

A gdy patrzysz na ludzi w Omanie, to jak tam wygląda relacja kobiet i mężczyzn?
– Kobiet na ulicach niemalże nie ma. Ale cieszą się i tak dużą autonomią. To znaczy, nie ma takiej paranoi, że nie mogą np. prowadzić auta. Jednocześnie jest to jednak świat mężczyzn.

Dlatego tam jeździsz?
– Dla słonecznej ciszy i dlatego, że nie ma tam tej popierdolonej europejskiej historii, tej naszej hipokryzji i zbrodni. Mam na myśli wszystkie niesprawiedliwości i okrucieństwa dziejowe, które w Europie miały miejsce i które Europa eksportowała do innych części świata.

Ale chciałbym jeszcze wrócić do muzyki. Arabowie są w swojej masie melomanami. I tam muzyka odgrywa bardzo ważną rolę. U nas została sprowadzona do roli tła, i to jeszcze szpetnego, „amerykanoidalnego".

Dla Arabów jest istotną wypowiedzią egzystencjalną. Rodzimy się i umieramy. Co możemy zrobić w międzyczasie? Co w ogóle zrobić z tą zagadką, jaką jest życie? Możemy zaśpiewać, możemy napisać wiersz. Dlatego wypowiedzi liryczne są tam niezwykle cenione i również śpiewaczki tamtejsze mają niezwykle wysoką pozycję społeczną.

Weźmy Umm Kulthum, śpiewaczkę egipską, która odgrywała rolę mediatora w tamtejszych sporach politycznych. Wojnę sześciodniową wygrał Izrael podobno dlatego, że wszyscy Arabowie decydującego wieczoru słuchali radiowego koncertu Umm Kulthum. Zmarła w 1975 roku. Na jej pogrzeb przyszły cztery miliony ludzi – tyle, ile na mszę odprawianą przez Wojtyłę w Manili.

I te głosy można gdzieś usłyszeć?
– W miejscach, gdzie praktykowana jest muzyka tradycyjna. Nie w meczetach. To prawda, że śpiew świątynny jest tylko dla mężczyzn. Ale to nie znaczy, że nie ma kobiet recytujących Koran. Śpiew Koranu nazywają recytacją, kobiety też w nim uczestniczą. Organizowane są też turnieje śpiewacze. Odsyłam państwa do radiowej „Dwójki", gdzie wiszą moje autorskie audycje poświęcone muzyce arabskiej. Proszę sobie wpisać Adam Strug. Zrobiłem 88 takich audycji.

To jaki jest ten świat mężczyzn na południu Półwyspu Arabskiego?
– Biali nie wiedzą, że w świecie arabskim prowadzi się podwójne, nawet potrójne życie. Podam dwa przykłady. Oczywiście nie dotyczą one wszystkich mężczyzn, ale istotnego procentu.

Mianowicie, prawo tamtejsze zakazuje narkotyków, a przecież haszysz pomaga znosić upały. Dlatego niezależnie od płci, wieku i kondycji społecznej jarają niemal wszyscy poza miejscami, gdzie jest to karane śmiercią. Gdy wieczorem wychodzisz na miasto, widzisz wokół przekrwione białka oczne i wiadomo, o co chodzi.

Drugi przykład. Homoseksualizm jest potępiony, tu i ówdzie karany śmiercią, ale bardzo istotny odsetek arabskich mężczyzn przeżywa inicjację seksualną w okresie dojrzewania.

Z kolegą?
– Nie, na ogół z mężczyzną. Nie potrafię teraz podać źródła, ale to jest ponad 70 proc. inicjacji seksualnych. To jest wpisane w kulturę i tradycję. Efebofilia. Chłopiec przechodzący w wiek męski jest dla dorosłych facetów tak cenny jak kobieta. To znaczy jego ciało jest równie cenione.

W wielu krajach surowo się za to karze, ale akurat w Omanie patrzy się na takie praktyki przez palce. Ten kraj jest wyjątkowy nie tylko dlatego, że innowierców traktuje łagodnie. Wieloletni sułtan Omanu Kabus ibn Sa'id był homoseksualny i mimo że była to wiedza powszechna, cieszył się olbrzymim szacunkiem u swoich, ale też i na zewnątrz, pełnił bowiem misję pojednania między Rijadem a Teheranem.

Ale to, o czym wspominasz, to jest stosunek z nieletnim.
– Tak. I ja tego absolutnie nie pochwalam. Po prostu inicjacja seksualna w tamtej części świata odbywa się wcześniej, czy nam się to podoba, czy nie. Widzę, że jesteś w szoku. No właśnie, o tym chciałem powiedzieć, że mało wiemy o kulturze arabskiej.

Biali są potwornymi ignorantami, jeśli chodzi o inne części globu. Ten nasz „turystyczny" ogląd świata powoduje, że nie wchodzimy do środka, a dopiero tam się coś naprawdę dzieje. A najwięcej w sztuce.

Arabowie są estetami we wszystkim. Ich rozumienie piękna manifestuje się w poezji i muzyce, w opisach urody wielbłądów i koni, potem chłopców i wina. W XVIII wieku doszło do zaostrzenia religijnego i to się oficjalnie zamknęło. Ale w życiu jest nadal obecne. Do tego stopnia, że gdy widzisz ich siedzących w kawiarni we dwóch lub w grupie, to jest to ewidentne, że oni są bliżej siebie, niżbyśmy byli gotowi sądzić.

Kultura arabska jest dla mnie homoerotyczna. Dlatego wyklucza kobiety z przestrzeni publicznej.
– To jest pozostałość świata, w którym kobietę kupowało się za określoną liczbę wielbłądów i traktowało rozpłodowo. Trzeba ją było utuczyć i miała rodzić dzieci. A życie – to rzeczywiste życie – toczyło się między mężczyznami.

I co mężczyzna miał takiego, że zyskał władzę nad kobietą?
– A nie idzie o przewagę siły fizycznej? I o to, że od zarania jest w nas mechanizm biologiczny? Żyjemy w otoczce kulturowej, więc już tego nie zauważamy. Ale gdy funkcjonuje grupa, natychmiast pojawia się samiec alfa, a wokół niego tworzy się haremik. Baby walczą między sobą. To po prostu jest niewyobrażalne, jak kobiety potrafią się nienawidzić.

Ale jest też dużo solidarności i przyjaźni.
– A konflikt między ojcem a synem, starym a młodym? Jestem pewien, że u zarania leżą instynkty stadne. Po prostu młody byk się rozpycha, a stary musi ustąpić pola, ale nie chce. To samo jest w większych grupach i między narodami. Jak masz wrogie sobie stada, to czasem kamień na kamieniu nie zostaje. Silniejszy połyka słabszego.

To darwinizm społeczny. I skąd w takim razie to biadanie, że koniec męskości, mężczyzna w kryzysie? Fizycznej siły przecież nie traci.
– Kryzys może nie, ale na pewno jest pewna zmiana. Polega ona na tym, że kwestia płci jest mocno, powiedziałbym, rozchwiana. To, czy mi się to podoba, czy nie, nie ma tu kompletnie żadnego znaczenia.

Rozmawiam przy różnych okazjach z wieloma mężczyznami. I nagle oni sami zaczynają, że w sumie to chętnie by spróbowali z facetem. Ale środowisko jest katolickie i to jest rozdarcie. Bo opresja religijna jest wpisana w język, w mentalność, we wszystko. Wyrwanie się z niej jest czymś szalenie trudnym.

No dobrze, ale co sądzisz o tym, że nastąpiło to – jak mówisz – rozchwianie?
– Możemy żyć tak, jak chcemy i to jest cudowne! Jednocześnie teraz ludzie tęsknią za silnymi facetami lub takimi, którzy sobie roszczą siłę.

I dlatego głosują na Trumpa i jemu podobnych?
– To ci powiem, że ruchy lewicowe przeciągnęły strunę, i to się stało trudne do przełknięcia nawet w kraju tak zaawansowanym cywilizacyjnie jak Stany Zjednoczone.

Wyobraź sobie, że jadę do swoich ziomków w Łomżyńskiem i opowiadam im o prawach mniejszości seksualnych. Nie, nie zrobię tego, bo oni w to nie wejdą. Ale już ich dzieci – tak. I na tym to polega, żeby dać czasowi czas. Nie napinać struny.

Dla jednych to będzie napinanie struny, dla innych prawo człowieka do godnego życia. Dlaczego ci drudzy mają ustąpić tym pierwszym?
– Bo to są procesy, to jest mental, na to trzeba czasu. W kwestii wolności obyczajowej jestem stuprocentowym wolnościowcem. Ale rozumiem, że czas nie wszędzie biegnie tak samo, więc ja im tej nowiny nie będę głosił.

A w Polsce biegnie tak, jak powinien? Jeszcze nie czas na związki partnerskie? Słyszysz w moim głosie ironię?
– Biegnie tak, jak biegnie. Przecież na skutek II wojny światowej i opresji komunistycznej staliśmy się skomunizowanym narodem chłopskim. Ze wszystkimi tego konsekwencjami. Więc czego teraz od tego skomunizowanego chłopstwa oczekiwać? Że oni nagle przebiorą się w tęczę?

Mówisz tak, jakby na polskiej wsi nie było homoseksualizmu.
– Ależ oczywiście, że był, ale wszystko było mocno zakonspirowane. Ludzie gadali między sobą, że tamten to pedał. Ale go nie atakowano, bo to był swój pedał, rozumiesz? Tylko nie mógł jawnie okazywać swoich preferencji seksualnych.

To skąd wiedzieli?
– Po wódce zawsze coś wyszło. A jeszcze na wsi mówiło się, że jak się do czterdziestki nie chajtnął, to albo wariat, albo pedał. Więc wielu chłopaków uciekało w duchowieństwo. Bo to był sposób, w jaki można było uciec od prawdy o sobie. A potem wyrastały te wszystkie patologie, o których teraz tyle się pisze.

A powiedz, jakim ty byłeś facetem w młodości?
– Myślę, że byłem dziwolągiem, odstającym mocno. Różne były powody.

Czułeś tę presję?
– O tak, chciano ze mnie zrobić prawdziwego mężczyznę. Byłem na przykład angażowany do prac, których szczerze nienawidziłem – w warsztacie samochodowym albo w polu. Pamiętam taki obrazek: mam lat dziewięć, stoję w polu, są wykopki.

Mieszkałem w mieście, ale wywożono nas na wieś do rodziny. Stoimy w deszczu. Jest w tym wszystkim coś fascynującego na poziomie obrazu i zapachu. Ale sam ten proceder był mi niemiły. I pamiętam to wrażenie, które miałem, że ja waszego losu nie podzielę.

Były też plusy – mogłem prowadzić auto i ciągnik jako małoletni. Albo powozić. To było świetne. Jazda konna była cudowna. Ale prac gospodarskich czy w warsztatach nie znosiłem.

I tak trafiłeś do kuchni?
– Tak, wolałem być z babami w kuchni. Pamiętam taką scenę, miałem może z 14 lat. Kolega ojca mówi do mnie: „Masz szczęście, że nie jesteś moim synem, bo ja bym z ciebie zrobił mężczyznę".

Taki tekst mi rzucił, właśnie w kontekście mojego domniemanego lenistwa. A to nie było to. Wiesz, ja miałem głowę zaprzątniętą literaturą. Po prostu słuchałem, odkryłem radiową „Dwójkę", gdy miałem osiem lat. Słuchałem tych nazwisk pisarzy z wypiekami na twarzy i wiedziałem, że to jest moje przeznaczenie.

Czyli radio stało w kuchni?
– Radio było wszędzie. Miałem je na swoim biurku.

Więc dlaczego ta kuchnia?
– Moja babka, którą bardzo kochałem i z którą byłem bardziej związany niż z rodzicami, była śpiewaczką, choć nie uważała siebie za kogoś takiego. I ona mi w czasie tych prac kuchennych śpiewała. To jest

No dobra, powiem. Byłem bity. Pasem albo kablem. Powody były różne mniej lub bardziej wydumane

eprasa.pl b89c1dd19d

taki obrazek od najwcześniejszego dzieciństwa, mniej więcej do 15. roku życia, gdy dałem stamtąd nogę. Śpiewała, jak się później okazało, barokowe pieśni nabożne trwające nieraz po kilkadziesiąt minut.

Jako dziecko nasiąkłem tym repertuarem i z tego między innymi powodu jestem muzykiem.

Czyli tak naprawdę ciągnęło cię do muzyki.
– Też, ale – szczerze mówiąc – wolałem babrać się w mące niż w smarze samochodowym. Lubiłem te zapachy, te czynności. Do dziś dnia jestem naprawdę wymarzonym pomocnikiem kucharza. Nakarmienie bliźniego swego, takie usługiwanie w kuchni czy przy stole jest dla mnie wielką frajdą.

A miasto, w którym się wychowałeś, jakie było?
– Tradycjonalistyczne, kościelne, północno-wschodnie Mazowsze. Były tam bandy wyrostków. Banda przeciwko bandzie. A ja się nigdy nie biłem. A wiesz dlaczego? Bo szybko biegałem. I gdy tylko wyczułem, że się coś wydarzy, to chodu.

Raz mnie złapali i taki koleś bierze mnie za przyramki, podnosi do góry i wiem, że zaraz dostanę pięścią, więc mówię do niego: „To omyłka. To nieporozumienie, jest pan w błędzie”.

Na co tamten puścił mnie z odrazą i powiedział do swoich kompanów: „Ten to gada, jakby do ogólniaka chodził. Ręki szkoda”. Wiesz, jak wejdziesz w jego melodię, to jest po tobie. Załatw go uprzejmością, to skuteczniejsze.

A teraz jakim jesteś facetem?
– Mam 54 lata. Trochę się naoglądałem. Coś tam przeżyłem. Dostałem mocny wpierdol od życia. Za darmo, potem jeszcze sam sobie dołożyłem. I myślę, że to jest dojrzałość. I jako człowiek dojrzały chciałbym coś czytelnikom powiedzieć.

Niezależnie od płci, jeżeli w ogóle jest cokolwiek warte zachodu na tym łez padole, to miłość. Wszystko inne – praca, kasa, kariera – jest guzik warte, jeśli nie ma miłości.

Bezcenne jest doświadczenie miłości, które powoduje, że lęk ustępuje mimo grozy świata, pustego nieba, tych wszystkich pędzących nad nami planet. To leczy. Ale nie idzie mi o utylitarne aspekty miłości. Miłość dla niej samej.

Mówiłeś, że nie wyszło ci małżeństwo.
– Jestem przekonany, że nie wyszło przez to, co mnie spotkało w dzieciństwie, z niedojrzałości wywołanej tym, że się zatrzymałem w rozwoju emocjonalnym w ósmym roku życia. Molestował mnie ksiądz. Mówiłem o tym kiedyś w rozmowie z Kasią Surmiak-Domańską.

Przeszedłem dwie próby gwałtu i trzy lata opresji, prześladowań ze strony tego człowieka. Trauma to mało powiedziane. Na lata mnie to przymknęło psychicznie. Dochodzę do tego wszystkiego z opóźnieniem.

Czym jest miłość?
– Nie sakralizuję jej. Nie uważam za Boga. Absolutnie. Nie uważam zdania, że Bóg jest miłością, za prawdziwe.

Więc co to jest?
– To coś, co jako jedyne nadaje życiu sens i wartość. Gdy kochasz, patrzysz oczami tego drugiego człowieka. Chcę jego dobra, ale tak jak on je rozumie, a nie tak, jak ja bym chciał. Bo ja to sobie mogę chcieć. No tak, ale to rzeczywiście wymaga dojrzałości i wspięcia się ponad własny egoizm, który jest naszą cechą gatunkową.

Rozumiem, że jest osoba, którą kochasz w ten sposób.
– Tak. Nic więcej nie powiem.

I to nie przyszło od razu?
– Nie, w tym sęk. Czyli musi być jakiś dłuższy czas, żeby człowieka olśniło, by dojrzał po prostu. I nagle to do mnie dotarło.

Niesamowite, że facet mówi otwarcie o miłości i się przy tym wzrusza. Dlaczego zwykle jesteście tacy powściągliwi?
– Myślę, że to jest jakoś tam wpisane w kulturowe wzorce. A ja chyba jestem „kobietem”. No widzisz, nowe słowo się stworzyło. Kobietem w tym sensie, że się nie wstydzę uczuć ani łez.

Jesteś poetą, muzykiem.
– Bo mam świadomość krótkości żywota. Naprawdę nie ma czasu na żadne udawanki, strojenie się w piórka albo co sobie ludzie pomyślą.

Ciekawe, bo sprawiasz wrażenie naturalnego lidera.
– I właśnie tu jest paradoks, bo siłą rzeczy jestem frontmanem. To nie jest zbyt szczęśliwe połączenie. Bycie szefem jest bardzo niewdzięczne. Nie mam do tego mięty.

Ale dajesz energię.
– Tak, bo to moja muzyka. To wszystko jedzie na moim szaleństwie, ich wrażliwości, biegłości w sztuce i właśnie to połączenie daje ten efekt.

No, a jak tak patrzysz na tych swoich kumpli, to co sobie myślisz?
– Myślę, że każdemu jest ciężko.

Zakładają rodziny. I wtedy dopiero zaczyna się hardcore. Dlatego że każdy jest przekonany, że nie powtórzy błędów swoich rodziców, a to tak nie działa, bo jesteśmy do siebie podobni jak w mrowisku.

Ale to nie to, że sobie nie radzą z byciem ojcem?
– Radzą sobie najlepiej jak mogą. Zapewniam cię, że w Monodii i kompanii nie ma ani jednego skurwysyna, który by źle traktował dzieci. Moi współpracownicy to wymarzeni tatusiowie.

A twój tata jaki był?
– Nie chcę o tym mówić.

No dobra, powiem. Byłem bity. Pasem albo kablem. Powody były różne, mniej lub bardziej wydumane.

Jestem ojcem i nie mogę uwierzyć, że to w ogóle miało miejsce.

Ba, to było tolerowane przez kobiety, które niby są takie delikatne i wrażliwe, a patrzyły na to i nic. Raz tak dostałem, że miałem krwawe wybroczyny na tyłku i nie byłem w stanie usiąść.

Czyli to był właśnie taki polski maczo?
– I o tym już nie chcę mówić. Dobra? Nie chcę tego poruszać, bo szlag mnie trafia.

To było zjawisko społeczne.
– Tak, byliśmy bici. Kary cielesne były na porządku dziennym w domach, w parafiach, w szkołach. Dziś niewyobrażalne, ale tak było. Byłem tego świadkiem, sam obrywałem w szkole, było bicie po rękach, po tyłku, po plecach, rzucanie kluczami na odległość, ubliżanie, poniżanie.

I to wszystko podobno dla naszego dobra.
– Ależ oczywiście! I jak ja mam być sprawny psychicznie po tego typu tresurze? Jak mogę być oazą spokoju, która się nie zdenerwuje i nie zachowa się nieadekwatnie? Skoro w czasie, gdy psychika dopiero się kształtuje, bywałem maltretowany.

Ojciec nie musi mieć ciężkiej ręki?
– Byłoby dobrze, gdyby był po prostu stabilny, ale nie może być stabilny, gdy sam był katowany. Błąd idzie z pokolenia w pokolenie. Chodzi o to, aby wyrwać się z tego kołowrotu, tego błędnego koła sadystycznych wcieleń.

Masz córkę.
– Tak, Jaga ma 16 lat, jest kochanym ufoludem, cudowną kobietą, piękną, niezwykle zdolną, mądrą, dobrą babą. W pewnym momencie zaczęła się interesować moim życiem, a ja nie uchylam się od odpowiedzi. Była między nami kiedyś sprzeczka. I w pewnym momencie mówię jej, że w relacji między nami, jeżeli ktoś jest problematyczny, to ja, a nie ona. „To ja jestem raptusem, narwańcem, a to bierze się z tego, w jaki sposób byłem traktowany. Ty jesteś w porządku” – powiedziałem.

Piękne słowa.
– Jestem pewny, że to ją na mnie odetkało, zobaczyła, że ja nie jestem wszechmogącym maczo, tylko facetem ze słabościami.

Któregoś dnia – czekaliśmy pod myjnią samochodową, aż nas tam wypiorą. Ona coś do mnie mówiła, ja byłem totalnie zdruzgotany i rozkojarzony i ona to wyczuła. Nie zapytała, co się dzieje, po prostu podeszła do mnie, objęła mnie i wiedziałem, że to jest to, że się udało. Ale udało się właśnie dlatego, że zszedłem z tej pozycji wszechmogącego. A ona ma wyższą inteligencję emocjonalną niż ja.

Ale jest jeszcze coś. Istnieje – i słusznie – coś takiego jak władza rodzicielska, która winna być w 100 proc. respektowana w dwóch sferach – zdrowia i bezpieczeństwa.

Czyli?
– Już wyjaśniam. Córka ma moje całkowite zaufanie i wolność. Nikt jej się nie wpieprza w życie. Nikt jej nie kontroluje. Nie ma żadnego sprawdzania telefonów.

Musi to być oparte na zaufaniu, inaczej jest po relacji. Ale są takie sytuacje jak koncert, na który ona chce iść w nocy. W porządku, nie ma sprawy, ale nie sama.

Na wsi mówiło się, że jak się do czterdziestki nie chajtnął, to albo wariat, albo pedał

Mam takiego sąsiada. Jak się tu sprowadziłem, po prostu na wstępie chciał zaznaczyć, że on tu jest dyrektorem. I zaczął mi ubliżać, twierdząc, że parkuję w złym miejscu. Absolutnie wydumane. Więc mu mówię: „Przecież jesteśmy sąsiadami, jesteśmy na siebie skazani. A ty skaczesz na mnie, krzyczysz, używasz wyrazów”. Pomogło, teraz jestem jego najlepszym fąflem na dzielni.

Jest coś takiego, że faceci czują się zobowiązani, żeby zachowywać się jak ten jedyny kogut w stadzie?
– Na pewno są to zachowania stadne. W Monodii tego nie ma. Przyroda oszczędziła mi chorej ambicji i pragnienia rywalizacji.

Jeżeli widzę w stadzie samca, który ze mną rywalizuje, natychmiast wychodzę.

Nie brakuje mi poczucia własnej wartości. Właśnie dlatego, że je mam, nie muszę z nikim rywalizować.

Powiem więcej. Jeżeli spotykam młodszych, zdolnych, wybitnych, to ich promuję. Wspieram, daję robotę.

A jeśli chodzi o Monodię i mój drugi zespół, czyli instrumentalną kompanię, to wygląda to tak, niestety, że najsłabszym psychicznie elementem jestem ja. Ale myślę, że przyjaźnimy się, a nawet – że mnie kochają, bo inaczej by ze mną tyle lat nie siedzieli.

Masz 16 lat. Nie chcę, żebyś wracała sama do domu. Jesteś śliczna jak anioł. Chcę ci oszczędzić nawalonych kolesi, którzy będą wracać z tego koncertu.

I ona to rozumie?
– Tak, ona to rozumie. Poszła z koleżanką.

Albo na przykład kwestie garderoby no, wiadomo, trzeba mieć ten łeb odkryty.

No, pamiętam.
– Jest mróz i ona wychodzi. No po prostu nie ustąpię w tej kwestii. Albo to – permanentne spóźnianie się do szkoły. A to przeprowadziłem na chama: wysokość kieszonkowego zależy od liczby spóźnień.

I nagle okazało się, że mechanizm ekonomiczny działa. „Szkoła na tym etapie jest twoją pracą”.

Ale ilu facetów chce się tak gimnastykować? Łatwiej jest złapać za pas.
– O tak! Najfajniej to właśnie przylać. Kłopoty w relacji między rodzicami a dziećmi albo w ogóle między starszymi a dziećmi zawsze są przegraną dorosłych, bo dziecko nie ma władzy sądzenia, nie ma danych i doświadczenia.

Dlatego rodzic musi wspiąć się na wyżyny cierpliwości, przeczekać burzę hormonalną, oddać serce temu nieopierzonemu pisklakowi, szczenięciu czy cielęciu i służyć.

Wejść właśnie w rolę służebną, umniejszyć siebie, nie wstydzić się tego, nie liczyć na wdzięczność, a czas pokaże. ●

Adam Strug

• śpiewak i instrumentalista, poeta, autor piosenek, kompozytor muzyki teatralnej i filmowej, kurator i producent muzyczny, reżyser i scenarzysta, popularyzator muzyki tradycyjnej. Pomysłodawca zespołu śpiewaczego Monodia Polska, z którym praktykuje pieśni przekazywane w tradycji ustnej.

1 RP

wyborcza | magazyn **wyborczej** WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYNY-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Dominik Gajda (Ale Historia)
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

eprasa.pl b89c1dd19d

ADAM MICHNIK POLECA

Wraca „Podróż romantyczna" Marcina Króla

PRZEWODNIK Z AGENCJI UDANYCH PODRÓŻY

Zbiorowość potrzebuje przewodników, ale pada łupem demagogów i szalbierzy. I porzuca swych proroków. Jak Sokratesa.

Marek Zaleski*

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl b89c1dd19d

„Podróż romantyczna” Marcina Króla - filozofa, historyka idei, profesora uniwersytetu, eseisty i publicysty, wieloletniego redaktora naczelnego pisma „Res Publica” - po latach uświadamia, że choć świat wokół nas zmienił się diametralnie, to kwestie, które zaprzątały jej zmarłego przed czterema laty autora, nie straciły dla nas swej aktualności.

To dla Marcina Króla powód do chwały, choć dla nas może niekoniecznie. Czy dlatego, że dokądkolwiek byśmy wyruszali, zabieramy zawsze samych siebie? Stale tych samych? Nieuleczalnie tych samych?

Kiedy czytam dzisiaj tę książkę, którą uważał za swoją najważniejszą, często odnoszę wrażenie, że tkwimy w kole nieustannych powtórzeń. I nie jest to powodem do zadowolenia, bo - jak wiemy od ojców psychoanalizy - powtórzenie czyni nas zakładnikami tego, co pozostaje w nas nieprzepracowane i co powraca zmorą.

●

Pewnie dlatego dla pierwszych, nielicznych czytelników tej książki (ukazała się w roku 1986 w sławnej niebieskiej serii w paryskiej oficynie Libella Zofii i Kazimierza Romanowiczów, i aż do tej pory nie znalazła krajowego reprintu) ważny był otwierający ją opis „Nieustającego Zbaraża”.

Pod tą wywiedzioną z Sienkiewicza metaforą ukrywa się polska mentalność oblężonej twierdzy, fantazmat uciemiężonej ojczyzny jako niewinnej ofiary spisku złowrogich sił, wszelako także miejsca, z którego wyjdzie odnowicielski impuls dla świata. Jednocześnie, opisując fatalizm polskiego losu, pozwala przedstawiać nasze klęski jako moralne zwycięstwa.

I dziś jeszcze „Nieustający Zbaraż” dostarcza wsparcia w uprawianej narcystycznie polityce tożsamościowej. Myślenie w niewoli tych urojeń to myślenie żywiące się resentymentem, myślenie Polski zdziecinniałej i nierozumiejącej samej siebie, Polski, o której pisali Brzozowski, Gombrowicz, Miłosz i wielu innych.

Marcin chciał przebić jej upiora osinowym kołkiem, bo w latach stanu wojennego powracał na mszach za ojczyznę, i to nie tylko jako recydywa myślenia opartego na teologii męczeństwa. Wracał również na intelektualne salony jako echo romantycznego mesjanizmu i - znowu - jako głębokie źródło dyskursu tożsamościowego.

„Kto mnie, Europejczyka, nie! Obywatela świata! Kto mnie esperantystę, kosmopolitę, agenta obcego mocarstwa Uniwersalności Losów, kto mnie przemienił, jak w złej bajce, w zacietrzewionego, ciemnego, wściekłego Polaczka?” - pytał w roku 1977 Konwicki w „Kompleksie polskim”. W 1984 Jarosław Marek Rymkiewicz w „Rozmowach polskich latem 1983 roku” (a i potem w tych z roku 2009, nie mówiąc już o kolejnych jego książkach) deklarował swoją wiarę w „zbawczą moc polskości”.

Okazało się, że upiór ciągle ma się nieźle i może się stać politycznym „złotem”: po katastrofie prezydenckiego samolotu łatwość, z jaką politycy PiS-u, media i Kościół przywołały ten urazowy dyskurs, świadczy o żywotności treści go konstytuujących, na co dzień skrytych w zbiorowej nieświadomości i pamięci.

Król w swej książce pokazał siłę fatalną myślenia, które od półtora wieku narzuca nam skrypty zachowań i stanowi iluzoryczne spoiwo więzi społecznych. Dlatego i dziś lektura jego książki okazuje się tyleż frustrująca, co pożyteczna: ciemna rozkosz nie traci swego trucicielskiego czaru.

Romantyczny mesjanizm wyrządził w Polsce wiele szkód. Zdaniem Marcina odpowiedzialność ponoszą epigoni naszych wielkich romantycznych poetów, ci, którzy spłycili ocean romantycznej duchowości. W jego przekonaniu romantyczna duchowość ciągle stanowi ważną tradycję intelektualnych poszukiwań.

Czy tak jest w istocie, to już temat na osobną dyskusję. Czy romantyzm - owo piekło i niebo Polaków, jak pisał w roku 1998 w książce tak właśnie zatytułowanej - był bardziej szczęśliwą przygodą kultury polskiej czy raczej nieszczęśliwą aberracją umysłów zbiorowości, która miała historycznego pecha. Na razie wartości, jakie w nim Marcin upatrywał, uwiarygodniają prace Andrzeja Walickiego, wybitnego historyka myśli filozoficznej polskiego mesjanizmu, który również bronił jej dokonań przed trywializacjami.

●

To jednak nasze lokalne zmartwienie. Ciekawsza dziś, a i bardziej uniwersalna kwestia jest przedmiotem kolejnych partii książki, w których autor podejmuje próbę wyjścia z sytuacji patowej, w jakiej znalazła się dziś filozofia, i gdzie pojawia się pytanie o obiektywne istnienie wartości wyposażających nasze istnienie w sens, przede wszystkim o istnienie prawdy, wartości dla filozofa najważniejszej, choć oczywiście nie jedynej.

Przedsięwzięte w tym względzie przez filozofię próby zdobycia pewności poniosły fiasko: za ich finalną postać uznał autor prezentację umysłu abdykującego pośród sprzeczności, zawartą w książce Leszka Kołakowskiego o religii - po polsku wyszła pod tytułem „Horror metafizyczny”. Myślenie swego nauczyciela, który po tym jak został pozbawiony katedry na Uniwersytecie Warszawskim, osiadł w Oksfordzie, uznał Marcin za łabędzi śpiew europejskiej filozofii racjonalistycznej.

Sama filozofia oczywiście się nie skończyła. Odbywały się uniwersyteckie seminaria, dalej wychodziły ważne książki, dyskurs o braku pewności co do kwestii metafizycznych stał się tematem modnym, ale wkrótce filozofia ponowoczesna na dość długo uznała go za filozoficznie nieopłacalny. Takie rozwiązanie Kołakowski, a za nim i Król, uznawał za porażkę. Filozofia, która uchylała pytanie o pewność, o prawdę jako byt bezwarunkowy, rozczarowywała i była akcją samoniszczycielską.

Kołakowski zwracał uwagę, że radykalizm ponowoczesnej filozofii obraca się przeciw źródłu, z którego filozofia wypływa, a samo odsłonięcie niemożności zdobycia pewności istnienia prawdy absolutnej, choć ważne w obliczu „niewygasłego pragnienia prawdy jako samocelowej wartości”, przyczyniać się może tylko do wzrostu owego nienasycenia, czego następstwem, dopowiada Marcin, jest albo rozpacz, heroistyczny tragiczny humanizm, albo wytworny nihilizm bądź wyrozumowany pragmatyzm.

Jest oczywiście jeszcze religia, która łatwo daje pewność tam, gdzie filozofia grzęźnie w niepewności. I pasją Kołakowskiego, pisze Król, była religia, bo dla umysłu filozofa była prowokacją: w sytuacji, w której rozum ogłaszał kapitulację, ona nieoczekiwanie zyskiwała - ni mniej, ni więcej - racjonalność właśnie.

Autor „Podróży romantycznej” przedstawia etapy tej fascynacji: najpierw w myśleniu Kołakowskiego religia istniała na prawach mitu i miała reintegrować człowieka w świat społeczny, była odpowiedzią na naszą potrzebę sensu, wyjaśniała przeżywane przez tak wielu doświadczenie obecności transcendencji. Co nie znaczy, że porządek wiary i porządek filozofii w jego myśleniu znalazły się w unii.

Kołakowski, jak Marcin podkreśla w swej książce, ciągle nie widzi szans na pojednanie obu perspektyw. Obie są „całkowicie nie do pogodzenia i żadna z nich nie może się szczycić większą »racjonalnością«”. Ciągle stoi w obliczu tego, co uznaje za nieuchronne, czyli w obliczu konieczności wyboru między nimi.

Wszelako „Horror metafizyczny” kończy zdaniem, które jest ucieczką ze świata dwuwartościowej logiki „albo-albo” i zdaje się stanowić zapowiedź szukania koła ratunkowego w świecie innej tradycji niż tradycja europejskiego racjonalizmu, choćby w świecie wywiedzionym z filozofii Spinozy, której kiedyś przecież poświęcił swoją pierwszą poważną książkę. „Co jest dla nas rzeczywiste, a co nierzeczywiste, wynika raczej z praktycznej niż z filozoficznej tradycji; rzeczywiste jest to, czego ludzie rzeczywiście pragną” - powiada Kołakowski cytowany przez Króla.

●

Można śmiało powiedzieć, że cały wywód autora „Podróży romantycznej” ugruntowany jest w tym bardzo spinozjańskim zdaniu. Kiedy deklaruje w swojej książce chęć wydobycia się z sytuacji, jak pisze, „szantażowej” („ani nie jest tak, że »aut Deus aut nihil«, ani że »aut filozofia racjonalistyczna aut nihil«”), i kiedy wielokrotnie wyznaje przekonanie o rzeczywistym, a więc prawdziwym istnieniu wartości takich jak miłość, prawda, dobro, swoją pewność w tym względzie opiera na realności ich istnienia we własnym przeżyciu duchowym.

Taka ich realność skłania go do domniemania ich prawdziwego istnienia, domniemania czynionego „w imię nadziei na dotarcie do świata duchowego”. Nie trzeba tu wcale myśleć konfesyjnie, a już na pewno nie wyznaniowo - powiada, bo przecież „akt domniemania i akt wiary nie przynosi w odniesieniu do świata duchowego odmiennych konsekwencji”. Jak mogę nie wierzyć w obiektywne istnienie świata duchowego, skoro jest on dla mnie nieodpartą realnością i jego obecności doświadczam na co dzień, uczestnicząc we wspólnocie intencji zmierzania do prawdy, złowiony w sieć porozumień, które nazywamy kulturą, czyli jak pisze Marcin, w „kościele dla uczuć niereligijnych”.

Nastrojenie na obecność świata duchowego, pozostawanie we władzy popędu prawdy, zobowiązanie do jej dociekania - to wszystko w tej książce znowu bardzo przypomina napomnienie Spinozy: „Dążymy do czegoś, chcemy, pragniemy, pożądamy czegoś nie dlatego, że uważamy to za dobre, lecz przeciwnie, dlatego poczytujemy coś za dobre, że do tego dążymy, pragniemy i pożądamy”.

I kiedy Król pisze, że „największym filozoficznym problemem naszych czasów nie jest dylemat, czy prawda istnieje i czy istnieje rzeczywistość pozaludzka, lecz jak istnieje prawda i jak istnieje ta rzeczywistość”, jego stanowisko jest już tylko logiczną konsekwencją.

W polskiej demokracji prawie nigdy do głosu nie dochodzili liberałowie. Zresztą dziś już nigdzie na świecie nie dochodzą.

Co najwyżej jako wołający na puszczy

Pisze więc o istnieniu rzeczywistości transcendentnej i zapisuje z wielkiej litery nazwy wartości, jakby podkreślając, że nie są one konstruktami ludzkiego umysłu ani rezultatem naszych gier językowych; przysługuje im obecność „absolutna” na podobieństwo obecności platońskich bytów.

Uznać to można nie tyle za akt wiary, ile za wybór intelektualny. Prawda, jak nas zapewnia, do końca pozostanie niepoznawalna, a rzeczywistość duchowa nieprzenikniona. Jak w sporze z nowożytną tradycją racjonalistyczną, powiada za Hannah Arendt, myślenie wcale się nie wyczerpało: w naszej postfilozoficznej erze ten kryzys należy wykorzystać i zająć się myśleniem o myśleniu.

On sam w kolejnej partii swojej książki, napisanej już z mniejszym wigorem niż część poświęcona krytyce „romantyzmu usługowego”, odwołuje się do duchowości rodzimego Wielkiego Romantyzmu i pisze o romantycznej metodzie „docierania do świata duchowego”.

Romantycy domniemywali albo uznawali za rzecz pewną obiektywne istnienie świata wartości duchowych, ogłosili też, że wartości nie są odkrywane, ale tworzone w niekończącym samostwarzaniu się świata.

W samym sercu tego myślenia znajduje się przekonanie, że ludzka wyobraźnia jest jedyną instancją, która może udzielić odpowiedzi na nasze pytania, a świat człowieka jest taki, jakim on sam zechce go uczynić - pisze wybitny historyk idei Isaiah Berlin, którego książki i eseje drukowała potem Marcinowa „Res Publica”.

W rozumieniu Marcina romantyzm, którego narodziny zbiegły się z narodzinami liberalizmu, zarażał i inspirował liberalizm, ale i sam liberalizm był dzieckiem romantycznej filozofii wolności i tak jak ona dążył do „odnowy oblicza ziemi”.

Dzisiaj to upodobanie Marcina do romantycznego wglądu w świat ducha pozostaje trudne do zaakceptowania. Już u niego samego owa wiara w niczym nieograniczone samostanowienie świata ludzkich wartości, odnajdująca się potem w przekona-

Marcin Król, **„Podróż romantyczna”,** wstęp Jarosław Kuisz, wyd. Iskry, Warszawa 2024.

eprasa.pl b89c1dd19d

niu liberalizmu, że rzekomo przyrodzone nam zło można wyeliminować, budziła sprzeciw. Z kolei romantyczne poznanie jest przygodą jednostek, a nie zbiorowości - wspólnota ducha jest więc czymś wysoce wątpliwym.

●

Zbiorowość potrzebuje przewodników, tymczasem pada łupem demagogów i szalbierzy, odwraca się od swoich elit, porzuca swoich proroków: wiersz Norwida „Coś ty Atenom zrobił, Sokratesie..." jest wierszem emblematycznym.

Skarb „Solidarności", ostatniej romantycznej insurekcji, jak raczej nietrafnie ją nazywano, przez chwilę mógł być dowodem na prawdziwość wygłoszonej w książce Króla tezy o nadchodzącej światowej koniunkturze na uroki objawionej światu polskiej samorządnej duchowości - skarb przez nas samych został roztrwoniony i utracony.

Koniec paradygmatu romantycznego ogłoszony przez prof. Marię Janion w ostatnich latach ubiegłego wieku nie wywołał żadnej dyskusji, pewnie dlatego, że był rzeczywistą rzeczywistością. Dziś, myśląc: romantyzm, słyszymy brednie i złorzeczenia romantyzmu posmoleńskiego. Więc szkoda, że Marcin nie pozostał przy Arendt albo przy Spinozie.

Na przeszkodzie zapewne stanęła tu - paradoksalnie, jako że sam czuł się już człowiekiem ery postfilozoficznej - jego niechęć, skądinąd dzielona z Leszkiem Kołakowskim, do filozofii postfilozoficznej, utożsamianej z wkraczającą na intelektualną arenę filozofią dekonstrukcji, która uznała, że myślenie może pozostawać w dobrej kondycji bez konieczności zamartwiania się o stan metafizycznych fundamentów. A jak się wydaje, stamtąd też mógłby czerpać inspiracje i znaleźć tam sojuszników. Nie znaczy to jednak, że cała jego podróż poza granice nowożytnej filozofii racjonalistycznej i wiara w istnienie „ładu utajonego" dziś się unieważnia.

Odwrotnie! - sprzeciw Marcina Króla dzisiaj obleka się w kształty najzupełniej realne i podsuwane z często diametralnie różnych stron: i tak święciła swe triumfy filozofia postspinozjańska, podobnie jak podjęta na nowo filozofia nadziei, która próbuje rewindykować racjonalnie uprawomocnioną metafizykę jako drogę dostępu do nadchodzącego absolutu. Zresztą uprawiana dziś filozofia odwołuje się do struktur myślenia religijnego i określana jest jako postsekularna. Choć nasze jednostkowe życia znajdują swój kres, nasze myślenie i nasza rzeczywistość pozostają na razie niezakończone i ci, którzy spekulują o ich finalnych postaciach, są uzurpatorami.

●

W „Podróży romantycznej" jest jeszcze jeden ważny wątek przynależny do swego czasu i miejsca, a więc tylko historyczny, co znowu nie znaczy, że nieaktualny albo że unieważniły się powody, dla których pojawił się w książce. Jest nim pytanie o szanse społecznej i politycznej wspólnoty, w której nasze intencje zmierzania do prawdy mogłyby zostać zrealizowane.

Król, czytelnik przenikliwego tekstu Kołakowskiego o samozatruciu liberalnego społeczeństwa, wszelako wierzył, że technologiczne know-how liberalnej demokracji jako organizacja życia politycznego pozostaje jednym z naszych najdonioślejszych wynalazków.

„Czy możliwe jest przejście od mentalności liberalnej do wiary bez odrzucania podstawowych liberalnych przeświadczeń" - pyta i to pytanie zyskiwało szczególną aktualność w Polsce po roku 1989, kiedy pojawiła się szansa na odzyskanie politycznej suwerenności.

Pytający wychodził z założenia, że skoro liberalny porządek polityczny jest najbardziej pożądaną formą polityczności i skoro religia chrześcijańska stanowi formę duchowości, która zalecza poczucie absurdu istnienia, czyni świat bardziej zrozumiałym, to w kraju, w którym żyjemy, mógłby się okazać nadzwyczaj pożądany konsensus ludzi wierzących i zwolenników demokracji liberalnej.

To ćwiczenie intelektualne wkrótce w Polsce mogło się realizować w życiu społecznym i politycznym, zyskało też od razu swoje dopełnienie: równie paląca okazywała się odpowiedź na to, czy i jak możliwa jest kohabitacja ludzi wierzących z liberałami, dla których religia to tylko forma dającej się racjonalnie zaakceptować moralności, oferta ładu serca zatrwożonego grozą i tajemnicą świata albo wręcz polityka jako jej świecka postać.

Dla Króla ta niewiara albo indyferentyzm w kwestii metafizycznych potrzeb człowieka były skazą światopoglądu liberalnego. Rezygnacja, jak pisał, z prawa do wypowiadania się o rzeczywistości duchowej, o sensie ludzkiego życia, o sensie historii, o prawdzie, otworzyła wrota społecznym i politycznym nieszczęściom XX wieku. Liberałowie nie powinni stawiać sobie za cel jedynie obrony naszych wolności przed siłą i władzą (taki liberalizm nazywał Marcin liberalizmem strachu), ale także docieranie do transcendentnej prawdy, do wartości, które są pomocne w realizacji naszego człowieczeństwa (ten liberalizm nazywał liberalizmem odwagi).

Autor „Podróży", w swoich wyborach politycznych liberał afirmujący związki z religią chrześcijańską, w wyborach intelektualnych konserwatysta, ale także socjalista uczulony na potrzebę sprawiedliwej redystrybucji dóbr, sformułował pozytywną propozycję nie tyle rozdziału stref wpływów - Kościół zgodzi się, że w świecie liberalnym religia przestanie być sprawą publiczną, zrezygnuje z pretensji do urządzania życia społecznego, liberalizm zaś, uznając istotność duchowości, zrezygnuje z pretensji do rządu dusz - ile przekroczenia tego podziału.

Proponował rozwiązanie oparte na jakimś rozsądnym modus vivendi, gdzie w sferze prywatnej rządzilibyśmy się etyką przekonań, w sferze publicznej etyką odpowiedzialności za poszanowanie reguł życia w liberalnej demokracji.

Zdaniem Króla liberalizm może tylko zyskać na uznaniu religii i faktycznej obecności tradycji religijnej w życiu zbiorowości. To, co dla wielu jest źródłem sensu, moralności i w ostatecznym rachunku podstawą wspólnoty demokratycznej, nie może być wyłącznie przesądem, pisał. Od współpracy wiary i rozumu jako przedpolitycznych podstaw demokracji zależy przyszłość naszego świata.

Co jednak z gotowością drugiej strony do takiej reorientacji mentalności? W Polsce nietrudno zauważyć utopijną bezradność takiego projektu. Na co dzień działo się dokładnie odwrotnie.

Rozważana przez Marcina „sakralizacja liberalizmu" okazuje się równie karkołomnym przedsięwzięciem, co liberalizacja zinstytucjonalizowanej religijności - on sam wracał do tego w kolejnych książkach: w „Liberalizmie strachu i liberalizmie odwagi" z 1996 r. oraz w „Bezradności liberałów" z roku 2005.

Jak na ironię w polskiej demokracji prawie nigdy do głosu nie dochodzili liberałowie. Zresztą dziś już nigdzie na świecie nie dochodzą, co najwyżej jako wołający na puszczy, jak przyjaciel Marcina, John Gray, piszący w swojej ostatniej, wydanej przez Kulturę Liberalną książce o straconej szansie dzisiejszych obywateli demokracji kapitalistycznych, teraz już nowych „państw-lewiatanów".

Demokracje liberalne miały zabezpieczać religię obywatelskich wolności, pomocną w poszukiwaniach sensu. Dzisiaj te demokracje zmieniają się w swoje namiastki - w „demokratury". Oferują nową religię i nowe zbawienie, jakim jest szczęśliwe posiadanie, uczucie przynależności, bezpieczeństwo i wolność od ciężaru wolności.

●

Dzisiaj zatem podróż, którą Marcin Król proponował, nie bardzo może dojść do skutku. Polak katolik zawsze i wszędzie czuje się u siebie, czasem wobec swoich bliźnich aż zanadto u siebie. Liberał czuje się towarzyszem nieudanej podróży, bo po drodze neoliberałowie, do spółki z oligarchami i dyktatorami, ukradli mu jego skarb.

Po lekturze książki z tej podróży wracamy dziś zatem ci sami i nie ci sami. Rozpoznajemy siebie takich, jakimi nie chcielibyśmy się widzieć, i takich, jakimi chcielibyśmy się zobaczyć, ale do tego straciliśmy jakąś dzielność. Dzielność, która - oprócz ciekawości i gotowości do konfrontowania się z innością, do ryzyka - bywa sekretem udanych podróży.

Ta dzielność jest siostrą nadziei na udaną podróż, jak w wierszu Kawafisa, jednego z ulubionych poetów Marcina. I może sekretem dzielności Marcina było właśnie to, że on, „umiarkowany pesymista", jak sam siebie nazwał w tej książce, mimo wszystko instalował się w pozytywności. Siły negatywności są dziś w natarciu, ale pozytywność to dyspozycja, która wiele potrafi obiecać, a jeszcze więcej ocalić. To myślenie, które każe być przygotowanym na najgorsze, ale spodziewać się najlepszego.

Marcin i chciał, i lubił podróżować razem z innymi. Jak pisał w swojej książce-podróży do świata - także tego duchowego - nasz kontakt ze światem sensu jest łatwiejszy, jeśli podtrzymuje go obecność kogoś drugiego, a także obecność tych, którzy odbywali tę podróż przed nami. Chciał, żeby „Res Publica", którą po latach nazwał najlepszą przygodą swojego życia, była taką agencją udanych podróży. I czasami bywała. Dlatego dzisiaj brakuje nam takich jak on. ●

Polak katolik zawsze i wszędzie czuje się u siebie. Czasem wobec swoich bliźnich aż zanadto u siebie

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zbigniew Dmitroca*

Klasyk

Pod wieloma względami
był wybrańcem losu
chociaż sam się kreował
na „poète maudit"

Kpił że to nie wymagało
wielkiego charakteru
a wszyscy jego słowa
brali na poważnie

Do twarzy mu było
w tej masce ironisty
która uszlachetniała
rysy bon vivanta

Lecz jemu się roiło
władztwo Króla-Ducha
towarzystwo herosów
książąt krwi i myśli

Wreszcie całkiem zatracił
poczucie humoru
i bił w werbel patosu
jak nakręcany dobosz

24-29 KWIETNIA 2011

***Zbigniew Dmitroca** - ur. w 1962 r., poeta, m.in. autor wierszy dla dzieci, bajkopisarz, satyryk. Tłumacz poezji rosyjskiej: utworów Błoka, Jesienina, Cwietajewej, Mandelsztama, Achmatowej, Brodskiego czy Wysockiego. Wiersz z jego tomu „Geoglify", Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN", Lublin 2014.

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Marek Zaleski**

• ur. w 1952 r., profesor nauk humanistycznych. Do roku 2023 pracownik Instytutu Badań Literackich PAN. W latach 1987-2007 członek redakcji „Res Publiki", gdzie od 2000 r. pełnił funkcję zastępcy redaktora naczelnego. Ostatnio wydał „Intensywność i rzeczy pokrewne" (2021).

eprasa.pl b89c1dd19d

ALE HISTORIA

◀ **Władysław Osik (ur. 1943), był trzecim niemowlakiem urodzonym w Auschwitz, któremu darowano życie, wcześniej wszystkie zabijano. Po wojnie pracował jako spawacz**
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Auschwitz
OSTATNI ŚWIADKOWIE

Karolina Osik wspominała, że wyzwolenie zaczęło się koło trzeciej po południu. Niektórzy nie chcieli wychodzić, bali się, że to podstęp.

Mateusz Demski

Na 80. rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau przyjadą z całego świata. Zostało ich kilkudziesięciu. Mają po dziewięćdziesiąt, nawet sto lat. Spotkałem się z trojgiem.

CICHA NOC

– Nie mam żadnych oporów, żadnych złych snów też nie mam, mogę z panem normalnie rozmawiać – uspokaja i już się rwie, żeby zacząć opowiadać.

– Tamte dni nie wracają do pani nocą?

– Absolutnie, mowy nie ma! Wie pan, od samego urodzenia nie umiałam się bać. Nigdy żadnego lęku w sobie nie miałam, co ja zrobię.

Do koszmarów Anna Szałaśna była przyzwyczajona od dziecka.

Jako mała dziewczynka wychowywała się w Chryplinie pod Stanisławowem, w Poznaniu, do szkoły poszła we Lwowie. Ojca, naczelnika biura wojskowego w dyrekcji kolejowej, rzucali z jednego miejsca w drugie. Ostatnie pół roku przed wojną spędzili w Toruniu. Atmosfera wiadoma, różne napięcia wisiały w powietrzu. Ojca ciągle nie było w domu. W środku nocy dzwonili z biura i zajeżdżał po niego samochód. Wracał i znowu telefon. I tak przez całe dwa tygodnie, aż do wojny.

3 września trzeba było decydować. Jadą albo zostają. Pociąg czekał już na dworcu, ojca przenosili do Warszawy. Każdy zabrał ze sobą, co mógł. Brat spakował skrzypce. Anna swój gimnazjalny płaszczyk. Ani jednego dnia w nim nie przechodziła. Bo wojna pozamykała szkoły.

Pociąg wlókł się po torach, co chwilę stawał, bo bomby spadały. Konduktor wywiesił białą flagę, ale to wojny nie przerwało. Kutno, które mijali, było całe spalone. Czarne jak sadza. Pod Warszawą zobaczyła przez okno dorożkę wojskową, na niej rodziny z bagażami. Skurczyło jej się serce, zacisnęła ręce i pomyślała: „Boże, dokąd oni tak pędzą?”.

Nie wiedzieli, że Niemcy byli już pod stolicą.

A potem usłyszała tylko pif-paf! Ktoś krzyknął: „Pociąg się pali!”. W biegu złapała swój płaszczyk, wyskoczyła na żwir, ale nie mogła już chodzić. Kula przeleciała na wylot przez jej kostkę. Całą noc strzelali. Kartoflisko było zasłane trupami.

Nad ranem, jak zrobiło się cicho, ojciec złapał konia, który biegał po polu, i zaprzągł do furmanki. To była ta sama wojskowa bryczka, cała gromada zginęła.

– Nie można było jechać, bo cała droga w kierunku Warszawy była pełna trupów: końskich i ludzkich – wspomina. Ojciec z bratem musieli usuwać to wszystko, żeby dało się w ogóle przejść. Do dziś to widzę.

W Warszawie w Pałacu Staszica działał szpital dziecięcy. Kilka dni przeleżała przykuta do łóżka. Zaczęły się bóle w nodze, nie do wytrzymania. Kiedyś o poranku na salę przyszła sprzątaczka i znalazła kłęby włosów przy jej łóżku. W nocy, żeby nie krzyczeć i nie pobudzić innych dzieci, darła włosy z głowy.

Lekarze zdecydowali: trzeba amputować. Rano obudziła się bez nogi. Dostała pierwszą młodzieżową protezę. Przeżyje w niej całą wojnę i Oświęcim.

Po pół roku ojciec postanowił, że pojadą na gospodarkę do Radgoszczy pod Tarnowem, gdzie się urodził. Płakały z mamą, bo nie chciały opuszczać Warszawy, ale nie było wyjścia.

To właśnie stamtąd zabrali ją do Auschwitz.

Nie zapomni tego, który ją tam zesłał. Ukrainiec w czarnej koszuli i ciemnobrązowym garniturze. Główny szef gestapo w Tarnowie. Pyskowała mu, nie dawała spokoju, bo wcześniej aresztował jej ojca. Powiedział: „Czekaj, ja sobie ciebie zapamiętam”.

W tym czasie jej brat Adam został wywieziony do Niemiec, na roboty. Wysyłał listy, były w nich smutek i tęsknota. Żeby go pocieszyć, odpisała najlepiej jak umiała: „Piesek żyje, ciocia ma się dobrze”. Na koniec dodała: „Ale najważniejsze, że chwila wyzwolenia się zbliża”.

Zwykle była ostrożna, doskonale wiedziała, co wolno, a czego nie wolno pisać. Ale tym razem serce ją poniosło. Za to jedno zdanie trafi do transportu.

W Tarnowie przesłuchiwał ją ten sam człowiek, który zamknął jej ojca. Na biurku przy oknie leżał list, który wysłała do brata. Złapał ją za włosy, rąbnął głową o blat tak mocno, że zrobiło się jej szaro, i zemdlała. Policzek palił tak, jakby ktoś ogień przykładał. Groził jej, że jak nie będzie mówić, to wyśle ją do Oświęcimia.

Odpyskowała mu tylko: „Przecież tam już są ludzie, nie będę sama”.

•••

Wagon był podzielony na pół: tu mężczyźni, tam kobiety. Na każdej stacji czekały tłumy z paczkami. Niemcy, którzy byli z nimi w pociągu, okazali się ludźmi. Pozwolili zabrać wszystko, a nawet wysiąść na powietrze i pożegnać się z rodzinami. Na stacji Oświęcim jeden z Niemców poprosił ich, żeby nie wspominali w obozie, że byli tak dobrze traktowani.

Pierwsze, co zobaczyła, przed bramą wjazdową, to ludzi w pasiakach, którzy śmieją się, rozmawiają. Spojrzały na siebie z koleżankami i westchnęły: „E, patrzcie, nie jest tak źle!”.

Od wejścia czekały dwie Niemki. Jedna miała zeszyt z nazwiskami. Druga strzykawką od zastrzyków wpuszczała pod skórę atrament.

– Na mnie wypadło 47628 – podwija lewy rękaw i pokazuje numer.

W małym murowanym budynku więźniarki Żydówki goliły włosy. Do gołej skóry. Co siadała do strzeżenia, żadna nie chciała do niej podejść. Wszystkie jej koleżanki z transportu już ostrzyżone, poszły, a ona została. Kobiety płakały nad nią i mówiły: „Ja nie mogę, nie obetnę, takie piękne włosy”. W końcu jakaś Niemka wzięła do ręki brzytwę.

W wielkiej żelaznej hali szukała swoich dziewczyn. Nie mogła żadnej rozpoznać. Wszyscy nago wyglądali jednakowo, utracili indywidualność.

Wreszcie któraś woła: „Haneczko, czemu do nas nie idziesz?”.

Znalazły się w jednym baraku. Szedł z niego wrzask wszystkich języków świata. Dziki tłum, po pięć-sześć osób na jednej koi, pod jednym kocem. Nie chciały się rozdzielać, zaszyły się gdzieś w kącie, pod ścianą. Leżały jedna przy drugiej, mówiły, że uszyły sobie dziuplę.

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

◀ **Anna Szałaśna (ur. 1926), do Auschwitz trafiła w 1943, potem była więziona w Ravensbrück. Po wojnie skończyła muzykologię**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

▶ **Leon Weintraub (ur. 1926), w obozie od sierpnia 1944. Następnie w kilku kolejnych obozach. Po wojnie został lekarzem**

FOT. MAŁGORZATA KUJAWKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Była ich dziesiątka na jednym sienniku z twardej grochowiny.

Ludzi wysłano do pracy skoro świt. Wiele kobiet chodziło w pole, kilka kilometrów. Ona z protezą na nodze nie mogła dużo chodzić. Blokowa pozwoliła jej zostać w obozie. Dostały taczki, przez cały dzień miały wozić ziemię z jednego miejsca w drugie. Do niczego to nie było potrzebne. Trzeba było ludzi umęczyć.

Rano nalewali im chlupy do miski, którą nosiło się ze sobą na sznurku. Chleb dostawało się tylko wieczorem. Cztery małe i cieniutkie kromeczki. Na to wąski plasterek margaryny. Musiało starczyć na całą dobę.

Któregoś dnia pod sąsiedni blok, żydowski, zajechała ciężarówka z gestapowcami. Przez szparę w deskach patrzyła na to, co się działo. Otwierają się drzwi, wychodzą jedna za drugą. Jak któraś nie może iść, upada, inne ją łapią i odkładają na bok. Mają obowiązek zanosić półżywe koleżanki na blok dwudziesty piąty zwany blokiem śmierci.

●●●

Zawsze w takich momentach zasypiały razem. Wspólnie spędzały święta: odkładały suchy chleb, po apelu Marylka z kuchni ładowała jej do zacięcia w pasiaku gorącej kapusty. Jednej Wigilii szczypały opłatek z chleba, aż rozległo się głośne: „Stille Nacht, heilige Nacht!".

– Odechciało nam się wszystkiego – wspomina. – Krematoria się palą, tam płoną nie myszy, tylko ludzie, a oni: „Cicha noc, święta noc!". Na cały głos. Po wojnie, gdy w kościele zaczynali to śpiewać, wychodziłam.

Kiedy indziej udało jej się wyjść w nocy z baraku. Było ciasno, duszno, musiała złapać powietrza. Czmychnęła powoli, po cichutku. Wszędzie światła, reflektory, szła blisko przy ścianie. Był mróz. Trupy leżały pod śniegiem. W jednej chwili stanęła i zamarła. Parę metrów przed nią wszystko płonęło, jakby całe miasto się paliło. Dowiedziała się, że krematoria już nie nadążały. Więźniowie mieli rozkaz wykopać wielki dół, dziewczyny nosiły do obozu gałęzie z lasu. Niemcy dymili i kazali ludziom iść przed siebie. Ci wpadali w żywy ogień.

We wspomnieniach zapisał się jeszcze taki obraz. Zimą trafiła do szpitala z potwornym bólem głowy. Za rewirem ani bloków, ani torów, żadnej duszy. W nocy obudził ją dźwięk za oknem: stuk, stuk, stuk. O świcie dobiegł szum, jakby pociąg zajechał.

Tam, gdzie stało puste pole, z wagonów wysiadały kobiety z dziećmi.

Niemcy nocami budowali tory i nowe bloki, żeby nikt nie widział.

Kilka dni wcześniej podczas apelu dostała od więźniarki w tłumie różaniec. Zawiesiła go na szyję, upchnęła głęboko pod pasiak. Tego dnia w kranach pojawiła się woda, zrzuciła z siebie wszystko do naga, chlapała się, aż weszła Niemka z drągiem. Porwała ubranie, co sił w nogach pobiegła przed siebie. A medalik został. Nie zdążyła go chwycić.

– Pani Paszkowa wzięła mnie wtedy za rękę i powiedziała mi coś, co do końca życia będę pamiętać: „Haneczko, ty bez medalika możesz się dalej modlić, a może znalazł go ktoś, kto w tym upadłym stanie psychicznie już nie mógł. I ten znaleziony medalik uratował mu życie".

Modlitwa była otuchą. Składała ręce do pacierza i mówiła: „Panie Boże, to nie może być tak sobie, po coś mnie tu dałeś, widocznie mam tu coś do zrobienia". Uważa, że jeśli ludzie przestawali wierzyć, jak się zastanawiali, gdzie jest Pan Bóg, to umierali.

– Najgorszym powodem śmierci była depresja, nie choroba – tłumaczy. – W obozie była z nami pani Jarecka, dentystka, którą nazywali Ciotką. Zawsze wszystkich podnosiła na duchu, uzdrawiała. Jednego dnia zabrali ją na blok szpitalny, tak zwany rewir. W ciągu trzech dni poszła. Nie zmarła na żadną chorobę. Tylko po wiadomości, że jej mąż, który był w Anglii, zginął w samolocie. Natychmiast koniec, załamała się.

Lata się zastanawiała, jak człowiek mógł wymyślić Oświęcim. Nie znalazła wytłumaczenia.

DZIECI OŚWIĘCIMIA

Żadne wspomnienie stamtąd nie należy do niego. Jego pamięć zbudowana jest na pamięci matki.

Przed wojną mieszkali w Rembertowie, za okupacji jego ojciec uciekł z łapanki. Ukrywali się we wsi Skierbieszów, w Zamojskiem. Gdy przyszli Niemcy, wszystkich wysiedlili i wsadzili do pociągu. Najpierw znaleźli się w obozie przejściowym w Zamościu. Po dwóch tygodniach zabiera ich kolejny transport. Zatrzymuje się w okolicach Pilawy, miejscowi sadownicy przygarniają jego siostrę, reszta zostaje ze stryjenką.

Następny transport, z jego mamą i ojcem, jedzie do Auschwitz. Przywieźli ich w nocy z 12 na 13 grudnia 1942 roku. Zupełnie tego nie pamięta, po prostu nie ma prawa.

Nie było go jeszcze na świecie.

W lipcu 1943 roku Karolina Osik rodzi w Auschwitz-Birkenau syna, Władysława. Na świadectwie urodzenia ma wpisane „Oświęcim". Cały czas powtarza, że w dokumentach jest błąd, powinna być Brzezinka. Żeby być precyzyjnym – „Birkenau".

Jak tylko przyjechali, Niemcy kazali wystąpić wszystkim ciężarnym. Za dwa-trzy dni zabrał je samochód i żadna już nie wróciła. Jego mama nie wyszła z szeregu, nawet nie drgnęła. Dlatego urodziła.

Potem cudem uniknął śmierci po raz drugi. Do maja wszystkie noworodki, które urodziły się w obozie, były duszone, topione, mówiło się, że Niemcy psom przez okna je wyrzucali. Niemowlęta Żydówek wrzucali do toalety i tonęły w fekaliach.

Władysław Osik był trzecim niemowlakiem w Auschwitz, któremu darowano życie. Choć z obozu nie zostało mu ani jedno wspomnienie, całą historię zna na pamięć. Z głowy recytuje: „Mama miała wytatuowany numer 27001, ojciec 82743, a jego brat o jeden niżej". Różnica między rodzicami była duża, bo mężczyźni mieli inną numerację.

Córka wuja bała się numerów. Jego mama uprosiła wtedy, żeby przesunąć tatuowanie chociaż o dzień. Dzięki temu dostała robotę w tzw. Kanadzie, przy sortowaniu odzieży więźniów. Gdyby tamtego dnia dała sobie wytatuować numer, poszłaby tyrać w pole i kopać rowy. Zwykle ludzie umierali tam z wycieńczenia po dwóch-trzech miesiącach.

On sam numeru nie ma. Od małego był przeznaczony do zniemczenia. Niemcy zmienili podejście: od teraz, zamiast zabijać dzieci, mieli zabierać je od matek i wywozić do III Rzeszy, żeby wyrosły na człowieka aryjskiego. Matce zabronili już go karmić. Strasznie rozpaczała, ale ratunkiem okazała się choroba. Mały miał najpierw szkarlatynę, potem dostał odry.

Władysław w ten sposób został cofnięty z transportu. I doczekał wyzwolenia przy matce.

●●●

Z obozu wracali dwa miesiące, na piechotę. Potem pojechała do sadowników spod Piławy po córkę. Nie chcieli jej puścić. Obiecywali, że dadzą małej szkołę, wykształcenie. Ale matka chciała mieć wszystkie dzieci przy sobie.

Z ojcem mama żadnego kontaktu w obozie nie miała. Podobno raz widzieli się przez druty. Po powrocie zaczęła szukać męża przez Czerwony Krzyż.

Władysław Osik przeszukuje teczkę, którą przyszykował na nasze spotkanie. Wyciąga z niej równo ułożone dokumenty.

– Mama zmarła w 1989 roku, a rok później przyszedł do nas list z Czerwonego Krzyża. Czterdzieści pięć lat do nas szedł – opowiada. – Dopiero po jej śmierci dowiedzieliśmy się, kiedy ojciec w ogóle zmarł. 20 lutego 1943 roku. Czyli był w obozie tylko dwa miesiące. Ale co tam robił, jak wyglądało jego życie? Nic się już nigdy nie dowiemy.

Przyczyną zgonu według dokumentów było osłabienie mięśnia sercowego.

– Ojciec był podobno zdrowy. Musieli mu podać zastrzyk fenolu – dodaje.

Wyciąga odbitkę czarno-białej fotografii. Jedyna pamiątka, jaka została. Na pierwszym planie widać dwóch mężczyzn: jeden stoi ze skrzypcami, drugi siedzi i kolanami przytrzymuje akordeon. Wacław Osik przed wojną chodził po wiejskich zabawach. Ponoć pięknie grał na akordeonie.

Cała reszta to niedopowiedzenia, przypuszczenia, niewiele więcej wiadomo. Od matki nigdy nie usłyszał nic o Auschwitz, pozostało to jej najpilniej strzeżonym sekretem.

– Nie chciała opowiadać o obozie – wspomina żona pana Władysław, Irena. – Raz tylko z mężem tam była, w 1988 roku. Zaszła do archiwum, ale na Brzezince już nie była. Nie mogła, taki uraz widocznie miała.

O wyzwoleniu mówiła tylko tyle, że zaczęło się koło trzeciej po południu. Niektórzy nie chcieli wychodzić, bali się, że to podstęp. Nie dowierzali. Ona nawet się nie zastanawiała. Byle szybko do domu.

Co jakiś czas przypominała jej się taka scena: ciągnęła małego Władysława na sankach, strasznie wtedy płakał z głodu, z naprzeciwka szedł polski żołnierz. Z chlebaka wyjął kawał chleba razowego.

Więcej już nie zapłakał.

●●●

Ale obóz zostawił w nim jakiś ślad, ciało nie zapomina. W 1965 roku był na obserwacji w Klinice Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Krakowie, w ramach akcji Głównej Komisji Badań Zbrodni Niemieckich w Polsce. Badania wykazały organiczne uszkodzenie centralnego systemu nerwowego spowodowane chorobą głodową, jaką przebył we wczesnym dzieciństwie. Do tego objawy z kręgu padaczki i skłonność do stanów depresji. Powodem – stwierdzono – był pobyt w obozie koncentracyjnym.

Do pewnego momentu miał uraz do Niemców. Mówi, że to weszło do krwi. Kiedyś, jadąc pociągiem do Anglii, przejeżdżał przez Berlin. Jak usłyszał na dworcu: „Achtung, Achtung!", to ciarki przeszły mu po plecach. Choć przecież niczego nie pamięta.

Jak oglądał mecze piłki, zawsze mówił: „Niech wygra każdy, aby nie Niemcy!". Trochę lęku miał też, gdy zanosiło się na zjednoczenie Niemiec.

›

eprasa.pl b89c1dd19d

– Z czasem to mi się zmieniło, nie wolno chować urazy – mówi. – Uważam, że Niemcy i tak odrobili lekcję. W tym roku byłem tam dwa razy, po szkołach chodziliśmy. Bardzo dobrze reagowali. Tam mają podejście, nie mam zastrzeżeń.

Do mnie taka nauczycielka mówi tam tak: „Ja tylko łzy ocierałam, jak pan opowiadał". Nasi to niepotrzebnie tak na nich plują. Ile to można gadać: „i Niemcy, i Niemcy". I to ci gadają, co nic nie ucierpieli.

Pytam, czemu właściwie przeżył, czy zdarzył się cud.

– Na pewno, jak to mówią, w czepku urodzony byłem. Jakoś przeżyłem. Jako Polak.

Do Oświęcimia jeździ raz na pięć lat. Na okrągłe rocznice wyzwolenia. W latach 60. kustosz Muzeum Auschwitz-Birkenau Tadeusz Szymański organizował co najmniej raz w roku zlot najmłodszych więźniów. Część trafiła do obozu z Witebska albo powstania warszawskiego.

– Młodzi byliśmy wtedy, autokarami jeździliśmy, śpiewy, wszystko było – wspomina.

Na fotografii, którą wyciąga z kolejnej teczki, widać grupę przyjaciół. Uśmiechają się do obiektywu, piękna młodzież, ubrani elegancko, założyli okulary z ciemnymi szkłami.

Nazywali ich „dziećmi Oświęcimia".

DYM W NIEBIOSACH

– Wczoraj skończyłem pisać – mówi do mnie z ekranu komputera. – Najpierw piszę o sobie, krótko, tylko się przedstawiam. Takie pół stronniczki. Potem mówię o tym okropnym miejscu. Ale głównie o tym, co się dzieje dzisiaj. O wzrastającej prawicy radykalnej.

Leon Weintraub pisze przemówienie w imieniu Ocalałych. Wygłosi je 27 stycznia, w 80. rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz.

W 2019 r. pan Leon miał podobną przemowę, w tym samym miejscu. Potępił wówczas rząd za patrzenie przez palce na młodych ludzi, którzy z nazistowskimi sloganami na ustach krążą po ulicach polskich miast, które tak ucierpiały przez nazistów. Bezpośrednio po nim głos zabrał Mateusz Morawiecki: „Przecież to nie naziści popełnili zbrodnię, tylko Niemcy hitlerowcy!".

– Dzielić na ludzi różnego sortu, wywyższać się nad innymi i dawać sobie prawo, by tych innych ludzi potępiać? To prowadzi prostą drogą do komory gazowej – komentuje pan Leon.

Złe obrazy ma ciągle zakotwiczone w mózgu, są nie do wymazania. Trudno opisać te okrucieństwa, ale zmusza pamięć do powrotu. I zdanie po zdaniu zaczyna się znowu sierpień 1944 roku.

Afisze rozwieszone na słupach ogłoszeniowych w Litzmannstadt-ghetto zawiadamiają, że Armia Czerwona walczy na prawym brzegu Wisły, niecałe 140 km od miasta. Getto zostanie przeniesione w głąb III Rzeszy, w bezpieczne miejsce.

Okupant uspokaja, że to dla dobra ludzi. Kto się zgłosi dobrowolnie, dostanie dodatkową żywność na drogę.

Dobrze zapamięta pakowanie do wagonów bydlęcych. Ludzie mogą tylko stać gęsto ściśnięci obok siebie. W lewym tylnym kącie, za kocem, stoi kubeł na potrzeby naturalne. I nagle olśnienie: „Tak się nie przewozi ludzi do żadnego miejsca pracy".

Naziści nigdy nie powiedzieli, dokąd ich wywożą. Do końca wojny nie wie, że trafił do Auschwitz. Nie wiedział nawet, że takie miejsce w ogóle istnieje.

Na rampie pomachał tylko mamie ręką. Krzyknął: „Mama, mama, zobaczymy się w środku!".

Więcej się nie zobaczą.

●●●

„Do przodu! Szybko, szybko!". Wszystko trwa sekundy. W biegu kątem oka widzi ogrodzenie, słupy, druty kolczaste, a ponad tym białe izolatory i przewody. W Litzmannstadt-ghetto był elektrykiem. Skojarzył, że druty są pod napięciem. Kto się na nie nabije, natychmiast umiera. Gdzie ja wylądowałem? Dokąd nas wywieźli?

Kciuk skierował go na lewo, czyli na „dobrą" stronę. W obozie oznaczało to życie darowane tylko na chwilę. Inni szli prosto do gazu.

– Byliśmy przewidziani jako przedmioty jednorazowego użytku – tłumaczy. – Póki przydatny, zdolny do wykonywania pracy, to w porządku. Jak nie dał rady, ledwie trzymał się na nogach, opadł już całkowicie z sił, to likwidowano. Nas tam uznano za nieludzi.

Dalej prysznic. Pamięta każdy szczegół. Strzeżenie było straszliwe. Czasem kawałki skóry szły razem z włosami. Dalej dezynfekcja cuchnącym płynem. Wszyscy skowyczeli z bólu. W miejscach, gdzie było zacięcie, okropnie piekło. Potem przyszedł dobrze ubrany Niemiec. Początkowo spokojnym głosem, potem coraz groźniej nawoływał, że każdy, kto schował kosztowności w naturalnych

• Grupa dzieci ocalonych z Auschwitz. Obóz 27 stycznia 1945 roku wyzwolili żołnierze 60. armii Pierwszego Frontu Ukraińskiego. Tego dnia w obozach Auschwitz, Birkenau i Monowitz wciąż przebywało około 7 tys. więźniów

FOT. UNITED STATES HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM

otworach ciała, ma je wyciągnąć i włożyć do naczynia, które trzymał na stole. Jeśli na rentgenie coś wyjdzie, będzie okropna kara.

– Parę osób wstało i coś tam wrzuciło – wspomina. – Tak odebrano nam wszystkie atrybuty bycia człowiekiem.

Przed oczami staje mu jeszcze jeden obraz: przenikający wszystko, palący się okrągłą dobę słup ognia. I czarny, ciężki dym z wysokich kominów. Nie rozumiał, co się tam dzieje. Zagadką było, że kolumny ludzi wchodzą do środka, a potem tylko dym znika w niebiosach.

Jako osiemnastolatek znalazł się w bloku dziesiątym, młodzieżowym. Dla chłopaków w jego wieku nie było żadnej pracy. Inni więźniowie byli tak zwaną rezerwą roboczą. Czasem przychodziły zamówienia z zakładów Kruppa lub Siemensa. Brano dwustu młodych do roboty, tatuowano ich i wywożono do okolicznych obozów pracy.

Leon będzie wyjątkiem wśród więźniów. Bez numeru na przedramieniu.

Któregoś dnia, po paru tygodniach, zobaczył grupę nagich mężczyzn między blokiem szesnastym i osiemnastym. Byli wytatuowani numerami, mówili, że czekają tylko na odzież, żeby wyjechać na roboty. Słowo „wyjechać" było sygnałem. Ani sekundy się nie zastanawiał, spojrzał w lewo, prawo, nie widział ani esesmanów, ani capo. W cieniu budynku zrzucił z siebie łachy i wmieszał się w tłum.

Parę dni później cały blok dziesiąty uznany za nieużyteczny do pracy został wymordowany.

Bez wiedzy, bez zgody dostał się do KL Gross-Rosen. Tam był elektrykiem, właził na słupy wysokiego napięcia, by dostarczyć prąd do projektu „Riese" w Górach Sowich. Od marca 1944 r. był już w Natzweiler, podobozie w Offenburgu. Grupa, w której się znalazł, miała usuwać miny z torów kolejowych. Jego przeznaczono do specjalnego zadania: prał bieliznę wartowników.

●●●

W piśmie z Czerwonego Krzyża z Bad Arolsen było parę zdań o tym, że jego mama prowadziła pralnię w Łodzi. Po śmierci męża w czerwcu 1937 r. sprzedała wszystko, co mogła, i otworzyła mały zakład na rogu Kamiennej i Wschodniej. Stoły, które w ciągu dnia służą do prasowania i maglowania, wieczorem stają się łóżkami dla jego czterech sióstr.

Kilka razy w getcie zmieniają mieszkanie. W kolejnym, na ulicy św. Jakuba, był kredens, spory stół, szafa i dwa okna na podwórze. Trochę garnków, trochę odzieży. To wszystko. Jeden pokój, może pięć na sześć metrów, dla ośmiu osób. Jego mama z pięciorgiem dzieci i ciocia Ewa z Konina z mężem Michałem. Zagadkowe jest to, że nie potrafi przypomnieć sobie, żeby mieli tam łóżka. Czy to możliwe?

– Jeżeli jest coś typowego w mojej pamięci, to słowo „głód". Od września 1939 r. do wyzwolenia przez wojska francuskie koło Donaueschingen, na południu Niemiec, nie pamiętam uczucia, że jestem najedzony. Nie można było zasnąć. Ten bolesny ucisk w dołku. Na palcach liczy dni, kiedy brakowało jedzenia. Pięć lat, osiem miesięcy i trzy tygodnie. Z „przysmaków" pamięta tylko brukiew. Tak zwane owoce ziemne dla bydła.

Tylko raz najadł się do syta. Kierownik robót projektu „Riese" widział, że dobrze pracuje, zabrał go do miasta po materiały. Zamiast do hurtowni pojechali do mieszkania. Drzwi otworzyła młoda kobieta. Usadzili go w kuchni przed michą zupy i stosem chleba. Jadł, jadł i tylko wznosił ręce do nieba, prosząc, żeby tamci dłużej zabawiali się w sypialni, aby on mógł jeszcze pooddychać powietrzem innym niż obozowe.

W getcie takie wyjątki były nie do pomyślenia. Ale choć było ciężko, głodująco, byli razem. Ciepło rodzinne było. W obozie został sam jak palec. Rozdzielony od mamy, sióstr i cioci, która jechała z nimi w wagonie.

Był w stanie katatonii. Słyszał, widział, wykonywał rozkazy, ale pozostała część mózgu była nieczynna. To nie było życie. To była wegetacja.

W pamięci zapadła mu jeszcze jedna scena z obozu Arbeitslager Dörnhau. Przed bramą dwóch więźniów i szubienica na placu apelowym. Jak usunięto stołek spod ich nóg, to sznury się zerwały. Płacz, błagania, prośby o litość: „To znak od Boga, jestem niewinny, darujcie mi życie!", Leon nadal ma w uszach.

Nic nie pomogło. Przywieziono nowe stryczki. Tym razem sznur dobrze trzymał.

Codziennie jeden albo dwa trupy kolegów znosili z powrotem do obozu.

●●●

1 stycznia pan Leon zaczął setny rok życia. Nie ma już nikogo z jego pokolenia. Jest ostatni od strony mamy i ojca. Był najmłodszy, teraz jest jedyny najstarszy z rodziny. Doliczył się, że przed wojną było ich osiemdziesiąt osób. Po niej zostało szesnaścioro. Jedna na pięć osób ocalała z Holocaustu.

Czemu akurat on? Wciąż nie znalazł odpowiedzi. Nie mieli wpływu na swój los. Byli oddani na złą wolę kata. Komory gazowej uniknął tylko przypadkiem.

Dopiero po wojnie mógł cokolwiek wybrać świadomie, rozważnie. Marzeniem było zostać lekarzem. Po długim przemyśleniu padło na położnictwo i choroby kobiece. Bo skoro był w tak ścisłym kontakcie ze śmiercią przez lata, to chciał pomóc życiu. Przecież po to ocalał.

Naprawdę wolnym człowiekiem poczuł się dopiero wtedy, gdy odnalazł rodzinę. Przez przypadek. W sanatorium nad Jeziorem Bodeńskim spotkał dwie młode kobiety, które w Bergen-Belsen poznały trzy dziewczynki: Lolę, Frankę i Malę. Wcześniej nie miał o nich wieści. Siostry myślały, że Leon nie żyje, bo ktoś widział go w bloku młodzieżowym, który poszedł do gazu.

Odnalazł je parę dni później. Dowiedział się od nich, że oficer na rampie skierował ciocię Ewę kciukiem na prawo, do gazu. Za rękę trzymała jego mamę. Pociągnęła ją za sobą, prosto na śmierć.

Teraz kończy przemówienie na obchody. Mówi z pamięci: to posłannictwo dla ludzi dobrej woli. Głównie dla młodzieży. Żeby się ocknąć i zobaczyć, że jesteśmy przede wszystkim ludźmi. Rodzimy się jak ludzie, żyjmy jak ludzie. Wrogość jest bardzo droga. Być przyjaznym nawzajem dla siebie nie kosztuje ani grosza. A jaka jest cena życia ludzkiego?

– Jako lekarz ginekolog i położnik, gdy operuję, to widzę, że jakikolwiek kolor skóry by był, to tkanka pod skórą jest zawsze identyczna. U wszystkich operowanych. Gdy pomagam dziecku wyjść z łona matki, to w tej głowie nic nie ma. Nie ma stanowisk ani uprzedzeń. Nie ma nienawiści do drugiego człowieka. I wszyscy mamy mieszankę różnych genów.

DNA wykazuje, że nie ma czegoś takiego jak ludzka rasa. Wywodzimy się z jednej jedynej linii *Homo sapiens*. Koniec kropka. ●

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d

Dwie pamięci BAD AROLSEN

Kilkunastotysięczne miasteczko na północy Hesji jest siedzibą Arolsen Archives, największego na świecie archiwum dokumentów dotyczących ofiar reżimu nazistowskiego. Miejscowość ma jednak drugie, mroczne oblicze.

Joanna Banaś

• **Jedna z milionów kart ewidencyjnych dipisów, czyli ludzi przymusowo przesiedlonych w czasie II wojny światowej**
FOT. CORNELIS GOLLHARDT / AROLSEN ARCHIVES

Jeszcze pod koniec lat 70. odbywały się tu huczne zjazdy weteranów zbrodniczej 3. Dywizji Pancernej Waffen-SS „Totenkopf", której żołnierze mordowali ludność cywilną i jeńców w Europie Zachodniej, Polsce i ZSRR. „W Arolsen Holocaust niczego nie zmienił" – pisał w 1979 roku dziennikarz „Spiegla".

KSIĄŻĘ NAZISTA

Arolsen, od 1997 roku uzdrowisko Bad Arolsen, ku nazizmowi poprowadził Jozjasz (Josias), książę Waldecku i Pyrmontu. Siedzibą jego rodu był okazały XVIII-wieczny pałac, w którym od niemal 40 lat odbywa się znany festiwal muzyki barokowej.

Książę wstąpił do NSDAP w 1929 roku, a rok później do SS. Adolf Hitler i Reichsführer-SS Heinrich Himmler byli ojcami chrzestnymi jego jedynego syna urodzonego w 1936 roku.

Książę miał stopień SS-Obergruppenführera (najwyższy stopień generalski w SS), był adiutantem Himmlera i dowódcą policji w dystrykcie obejmującym także KL Buchenwald, pośrednio więc odpowiadał za popełnione tam zbrodnie. Jego czyny zostały w 1947 roku osądzone w procesie załogi obozu, choć formalnie do niej nie należał.

Jak wielu nazistowskich zbrodniarzy wojennych amerykański trybunał wojskowy skazał go na dożywocie. Jednak karę szybko skrócono do 20 lat, a już w 1950 roku książę został zwolniony z więzienia z powodu złego stanu zdrowia. Musiał szybko wydobrzeć, bo w swoim zamku Schaumburg przeżył jeszcze 17 lat jako głowa rodu.

FILIA KL BUCHENWALD

Ważną częścią Arolsen były XIX-wieczne koszary wybudowane dla armii pruskiej. W latach 1939-43 stacjonowały w nich różne jednostki SS, w tym dwa pułki 3. Dywizji Pancernej SS „Totenkopf" przed wymarszem do Francji wiosną 1940 roku.

Twórcą i dowódcą dywizji był Theodor Eicke (1892-1943), organizator systemu nazistowskich obozów koncentracyjnych, komendant KL Dachau, twórca oddziałów SS-Totenkopfverbände (Oddziały Trupiej Czaszki) zajmujących się zarządzaniem i służbą wartowniczą w kacetach, później wcielonych do Waffen-SS. W czasie nocy długich noży (z 30 czerwca na 1 lipca 1934) osobiście dokonał egzekucji dowódcy SA Ernsta Röhma.

W maju 1940 roku żołnierze dywizji Eickego zamordowali 97 brytyjskich jeńców (tzw. masakra w Le Paradis) – była to pierwsza taka zbrodnia wojenna na froncie zachodnim. Dywizję obwinia się między innymi o śmierć 20 tys. cywilów i rosyjskich jeńców wojennych w rejonie Charkowa.

Od listopada 1943 roku na terenie garnizonu w Arolsen działała filia obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Ponad 100 więźniów – rolnicy, rzemieślnicy, murarze, kucharze, rzeźnicy, piekarze – usługiwało słuchaczom szkoły dowódców SS przeniesionej z Dachau. Więźniowie musieli też pomagać przy budowie domów dla esesmanów. W sumie przez podobóz przewinęło się 185 więźniów, najwięcej z Polski i Rosji. 30 marca 1945 roku więźniów popędzono do KL Buchenwald. Mieli do przejścia 185 km. Choć żaden nie umarł w Arolsen, w Buchenwaldzie już tak – obóz został wyzwolony 11 kwietnia przez armię gen. George'a Pattona.

NIECH SIĘ ŁĄCZĄ RODZINY

W styczniu 1946 roku w koszarach niezniszczonych podczas wojny alianci umieścili siedzibę Centralnego Biura Poszukiwań, od 1948 roku działającego jako Międzynarodowa Służba Poszukiwań (International Tracing Service, ITS). O wyborze miasta na siedzibę ITS zdecydowało jego centralne położenie, blisko granic wszystkich stref okupacyjnych, oraz dobrze zachowana infrastruktura – w Arolsen nie toczyły się walki, miasto nie zostało zbombardowane, nienaruszone były drogi, sieć telefoniczna czy telegraficzna.

ITS miał umożliwić repatriację milionów tzw. osób przemieszczonych – dipisów (displaced persons), byłych robotników przymusowych i więźniów obozów koncentracyjnych, oraz ułatwić łączenie rodzin rozdzielonych podczas wojny. Dipisi wypełniali kwestionariusze, które znalazły się w zbiorach ITS – niektóre są zdawkowe, a inne szczegółowo opisywały przeżycia w niewoli.

Dokumenty zawierały także dowody przeciwko nazistowskim oprawcom – do Arolsen przekazano wszystkie akta z obozów koncentracyjnych wyzwolonych przez zachodnich aliantów. Z Dachau i Buchenwaldu zachowały się niemal kompletne akta. Ciekawostką w zbiorach archiwum są karty o wymiarach 90 x 70 mm – SS w początkowym okresie używało opakowań po popularnych papierosach do prowadzenia kartoteki więźniów.

Zawartość archiwum pozwalała również ofiarom nazistów starać się o rentę czy odszkodowanie. Tuż po wojnie Międzynarodowa Służba Poszukiwań dostawała rocznie ponad 200 tys. zapytań.

W październiku 1952 roku ITS przeniósł się do nowego, własnego budynku, ponieważ koszary były potrzebne belgijskim oddziałom NATO (stacjonowały w Arolsen do 1994 roku).

Archiwum działa w nim do dziś, od 2019 roku jako Arolsen Archives – International Center on Nazi Prosecusion (Międzynarodowe Centrum Badań Prześladowań Nazistowskich). Jego działalność jest finansowana przez rząd RFN.

CORAZ WIĘCEJ DOKUMENTÓW

Gdy po wojnie ofiary nazizmu wracały do swoich krajów lub emigrowały, choćby do Palestyny czy Australii, powstawały kolejne spisy osób, oczywiście przekazywane do Arolsen.

W latach 70. do ITS dotarły mikrofilmy z dokumentacją z KL Stutthof.

eprasa.pl b89c1dd19d

Prof. Alfred Konieczny z Uniwersytetu Wrocławskiego udostępnił wyniki swoich badań nad KL Gross Rosen – oryginalne dokumenty tego obozu zostały zniszczone lub zaginęły podczas ewakuacji w lutym 1945 roku, podobnie jak akta KL Neuengamme (dzielnica Hamburga).

Po upadku muru berlińskiego i zjednoczeniu Niemiec do archiwum napływały kolejne materiały, jak mikrofilmy z księgami zgonów urzędu stanu cywilnego KL Auschwitz poszukiwane od 1964 roku – sporą część akt obozu wywieźli Sowieci, niektóre trafiły później do Arolsen jako kopie. Pozyskano też dokumenty z obozów Sachsenhausen i Ravensbrück wyzwolonych przez Armię Czerwoną. Archiwum nadal szuka na całym świecie materiałów na temat ofiar nazizmu.

POD ZNAKIEM CZASZKI I KRZYŻA

W latach 60. Arolsen był jednym z bastionów neonazistowskiej Narodowodemokratycznej Partii Niemiec (NDP) – w wyborach do Landtagu w 1966 roku partia uzyskała 14,4 proc. głosów.

W kwietniu 1979 roku „Der Spiegel" opisał, jak przed barokową rezydencją książąt Waldeck i Pyrmont w Arolsen co roku ustawiają się orkiestry marszowe i mężczyźni niosący pochodnie, a przy akompaniamencie werbli i bicia dzwonów weterani z SS maszerują pod pomnik poległych towarzyszy broni. Świętują „powrót naszej dywizji do obszaru zgrupowania i gotowości przed kampanią francuską", jak donosił „Der Freiwillige" (Ochotnik), pismo Stowarzyszenia Samopomocy Byłych Członków Waffen-SS działającego w RFN w latach 1951-92.

Do Arolsen przyjechali także weterani Korpusu Pancernego „Großdeutschland" i jednostki specjalnej Brandenburg. A gdy

• **Pracownicy International Tracing Service (Międzynarodowej Służby Poszukiwań) w archiwum w Arolsen** FOT. WIKIPEDIA

Narodowodemokratyczna Partia Niemiec wybrała Arolsen jako miejsce swojej konferencji w listopadzie 1978 roku, poseł heskiego Landtagu z ramienia SPD Horst Bökemeier stwierdził: „Stajemy się tutaj specjalnym uzdrowiskiem dla Waffen-SS i NPD". Notabene magistrat próbował nie udostępnić im miejskiej hali, sąd administracyjny orzekł jednak na korzyść prawicowych ekstremistów.

Kilkanaście dni po publikacji tekstu weterani 3. Dywizji Pancernej SS „Totenkopf" po raz czwarty zjechali się do Arolsen. Ich spotkanie stało się głośne za sprawą protestów ulicznych młodszego pokolenia mieszkańców. Magazyn „Panorama", najważniejszy wówczas program w niemieckiej telewizji publicznej, po trzech tygodniach przeprowadził w Arolsen sondę uliczną. Podczas gdy młoda kobieta mówiła: „To powinno być zakazane", mężczyźni, którzy mogliby być jej dziadkami, jak jeden mąż recytowali, że dywizja walczyła dzielnie, a jej żołnierze nie mieli nic wspólnego z tym, co działo się w KL Buchenwald. W wypowiedzi przed kamerą weteran dywizji i poseł CDU Hans Wissenbach stwierdził: „Nie mamy sobie nic do zarzucenia. Mieszkańcy Arolsen o tym wiedzą". Podkreślił, że dywizja walczyła w strukturach Wehrmachtu, przyznał wprawdzie, że jej nazwa („Totenkopf") jest pewnym obciążeniem, ale żołnierze nie mieli nic wspólnego z obozem koncentracyjnym – nie mieli nawet wstępu na jego teren.

Wissenbach nie powiedział całej prawdy – żołnierze dywizji odpowiadali bowiem za zewnętrzną ochronę KL Buchenwald, chronili ogrodzenie, ale też pilnowali więźniów idących do pracy poza obozem.

Günter Welteke, bezpartyjny burmistrz miasta w latach 1966-84, podkreślił, że dywizja formowała się w tutejszym garnizonie, nawiązały się wtedy przyjaźnie, a ci, którzy przeżyli wojnę, wracają do miejsca swojej młodości.

Zapytany przez dziennikarkę „Panoramy" Luc Jochimsen, czy protesty sprzed kilku tygodni zmieniły Arolsen, Welteke z uśmiechem odparł, że nie sądzi, najwyżej ktoś podyskutował o tym w domu, ale wszystko wróciło do normalności.

ZAPAMIĘTAJ IMIĘ SWOJE

Archiwum przechowuje ponad 64 tys. akt dotyczących poszukiwań dzieci, głównie z lat 1945-51. Są tam też tysiące aktów zgonu, którymi niemieckie urzędy stanu cywilnego zawiadamiały o przedwczesnej śmierci dziewczynek i chłopców, głównie o polskich imionach.

Przez ponad dziesięć lat niemiecka dziennikarka Dorothee Schmitz-Köster badała losy dzieci z domów Lebensbornu, w których SS wychowywało tysiące dzieci – spłodzonych „dla Führera" lub odebranych rodzinom w krajach okupowanych. Analizowała akta, przeprowadziła ponad sto wywiadów ze współczesnymi świadkami, zebrała wiele zdjęć i dokumentów. W 2021 roku wróciła do Arolsen, by przekazać te materiały archiwum.

RZECZY OSOBISTE

W 1963 roku do ITS trafiło 4,7 tys. kopert z rzeczami osobistymi więźniów, głównie z obozów koncentracyjnych Neuengamme, Bergen-Belsen i Dachau. Były one odbierane przy przyjmowaniu do obozu i skrupulatnie opisane wędrowały za więźniami, gdy byli przenoszeni do innych placówek.

Tzw. Effekten (niem. bagaż podróżny) tworzą jedyny dział archiwum, który liczy coraz mniej pozycji. Arolsen Archives z pomocą wolontariuszy z całego świata szukają rodzin ofiar, by zwrócić im te przedmioty: zegarki, obrączki, pierścionki, portfele. Od 2016 roku archiwa prowadzą akcję „Stolen Memory" (Skradziona Pamięć), której celem jest odszukanie rodzin ofiar i wręczenie im pamiątek po ich bliskich. Elementem akcji jest objazdowa wystawa – można ją teraz oglądać w Łambinowicach, a w marcu dotrze do Krakowa. W zbiorach archiwów jest jeszcze ok. 2,5 tys. depozytów.

Z okazji 80-lecia powstania warszawskiego w 2024 roku Arolsen Archives zaczęły akcję „Powstanie Warszawskie. Nieznane hiSTOrie" – sto depozytów ma być zwróconych w ciągu roku rodzinom wraz z kopiami dokumentów dotyczących ich bliskich.

Jednym z odnalezionym w ramach tej akcji był Zbigniew Miłecki, który w chwili wybuchu powstania był niemowlakiem. Wraz z rodzicami został wywieziony z miasta. Zbigniew, jego matka i urodzona w 1945 roku siostra po wojnie wrócili do Warszawy. Los ojca był nieznany. Do czasu, gdy do Zbigniewa dotarła wiadomość, że w Arolsen Archives przechowywany jest zegarek należący do jego taty. Z dokumentów znajdujących się w archiwum wynika, że Bronisław Miłecki trafił najpierw do KL Sachsenhausen. Tam strażnicy odebrali mu zegarek. Później naziści przewieźli więźnia do Neuengamme, gdzie ślad po nim zaginął.

Zegarek i kolczyki, a także broszka i puderniczka to pamiątki po dwóch kobietach, które zostały aresztowane przez Niemców w ostatnich dniach powstania warszawskiego i wywiezione do KL Ravensbrück – Stanisławy Mordes i Anny Tomczyk. Uratowane z obozu przez szwedzkiego dyplomatę Folkego Bernadotte'a po wojnie wróciły do Polski. 80 lat później pamiątki po nich odebrali bratanek Stanisławy i wnuczka Anny.

26 KILOMETRÓW AKT

W przeciwieństwie do archiwów specjalizujących się w dokumentowaniu określonych grup ofiar nazizmu, na przykład Żydów (Instytut Yad Vashem) czy więźniów konkretnego obozu (Muzeum KL Auschwitz-Birkenau), Arolsen Archives jako jedyne zbierają informacje dotyczące wszystkich grup.

Obecnie archiwa w Arolsen zawierają 30 mln dokumentów dotyczących 17,5 mln osób: więźniów obozów koncentracyjnych, robotników przymusowych, ofiar prześladowań policyjnych i sądowych, dzieci odebranych rodzicom przez nazistów oraz dipisów. Oryginalne dokumenty archiwum w 2013 roku zostały wpisane na listę programu UNESCO „Pamięć Świata".

Ludzie z całego świata mogą w archiwum – osobiście, online lub za pomocą partnerskich instytucji (w Polsce jest nią IPN) – poznać losy swoich bliskich, którzy ucierpieli w czasach nazizmu. Nie zawsze tak było. Do 2012 roku ITS działał jako instytucja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża kierowana przez szwajcarskich dyplomatów, których nadrzędnym celem było zachowanie neutralności. Zasoby niechętnie udostępniano nawet historykom i dziennikarzom, co w 2013 roku opisał „Die Welt". Charles-Claude Biedermann, dyrektor ITS do 2006 roku, kazał nawet usunąć z holu budynku malowidła ukazujące cierpienie robotników przymusowych i więźniów obozu.

Obecnie zapytań jest ok. 20 tys. rocznie, głównie od osób prywatnych, naukowców i organizacji humanitarnych. Niekiedy dopiero wnuki ofiar zaczynają badać dzieje rodziny, ale niedawno 96-letni więzień Buchenwaldu przyjechał do Bad Arolsen, aby osobiście obejrzeć dokumenty dotyczące jego prześladowania w Trzeciej Rzeszy.

Od 2015 roku trwa digitalizacja zbiorów. Wszyscy chętni mogą pomóc w ramach akcji „Every Name Counts" („Każde nazwisko się liczy"), wpisując do bazy treść papierowych dokumentów. ●

1 RP

REKLAMA Kraj/34357502

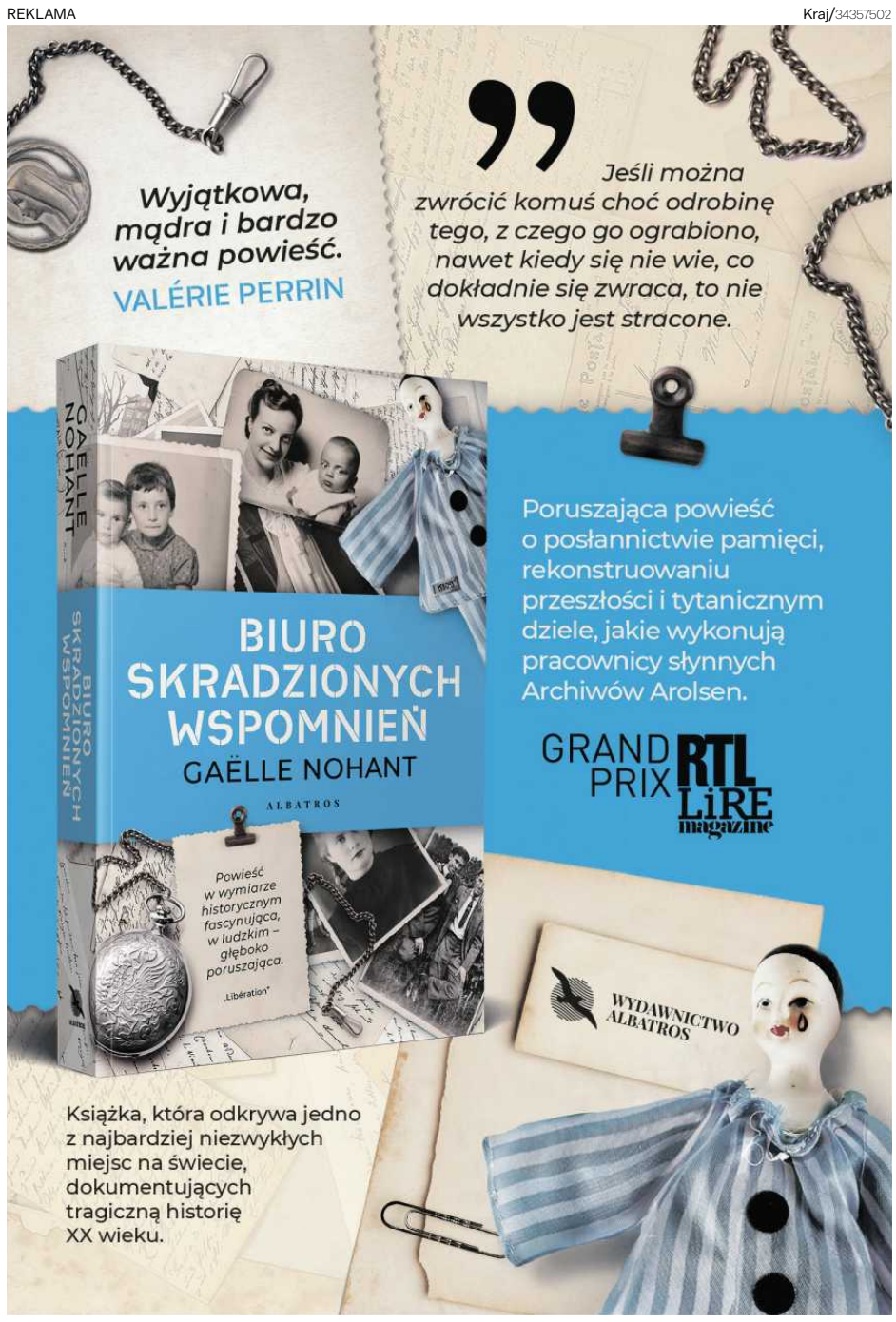

eprasa.pl b89c1dd19d

JAK BYĆ *wysłuchanym*

• **II Zjazd Socjologów w Warszawie w 1935 roku, od lewej: Ludwik Krzywicki (na katedrze), Czesław Znamierowski, Stefan Czarnowski, Florian Znaniecki (przewodniczący zjazdu) i Jan Bystroń** FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Robotnika, który wygrał konkurs pamiętnikarski w 1921 roku, inni robotnicy skrytykowali. Pisali do gazet, że to ohydna pornografia, a autor przynosi im wstyd.

Z PROF. **PAWŁEM RODAKIEM** ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

PAWEŁ RODAK: To jest fenomen na skalę światową.

WOJCIECH SZOT: Opowiadaj!
– Polskie konkursy pamiętnikarskie to zjawisko absolutnie wyjątkowe. Oczywiście wszędzie powstawały pamiętniki, chłopi pisali listy, a robotnicy prowadzili dzienniki. Ale nigdzie nie było tylu konkursów pamiętnikarskich. Do 1989 roku zorganizowano ich około 1400. Konkursy też były organizowane po przełomie – ostatnio mieliśmy choćby ważne konkursy na pamiętniki pandemii czy osób LGBTQ+. Łącznie przez sto lat ogłoszono w Polsce ponad 1500 konkursów.

Wszystko zaczęło się w 1921 roku.
– Wtedy pracujący na Uniwersytecie Poznańskim najwybitniejszy polski socjolog Florian Znaniecki zorganizował konkurs na życiorys własny pracownika fizycznego.

W 1914 roku, tuż przed wybuchem I wojny światowej, Znaniecki wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Pracował na Uniwersytecie w Chicago, gdzie przyjechał na zaproszenie Williama Thomasa, jednego z twórców słynnej socjologicznej szkoły chicagowskiej. Razem przygotowywali monografię życia polskich emigrantów w Ameryce. Na przełomie wieków setki tysięcy osób wyjechało z polskiej wsi do Stanów, było to zjawisko niezwykle ciekawe dla socjologów.

Thomas pierwszy wpadł na pomysł zbierania listów polskich emigrantów jako możliwego źródła dla socjologa. Dawał ogłoszenia do prasy polonijnej i płacił niewielkie sumy za każdy pozyskany list. Ostatecznie listów tych zebrano ponad 750 i wypełniły one dwa pierwsze tomy przyszłego dzieła.

Znaniecki, którego rola we wspólnej pracy z Thomasem rosła coraz bardziej, wpadł na pomysł wykorzystania jeszcze innego źródła. Namówił polskiego emigranta Władysława Wiśniewskiego, żeby spisał wspomnienia. Efekt był zaskakujący – Wiśniewski napisał pamiętnik liczący kilkaset stron. Mniej więcej połowa została opublikowana w trzecim tomie dzieła Thomasa i Znanieckiego „Chłop polski w Europie i Ameryce", które ostatecznie ukazało się w pięciu tomach w latach 1918-1920.

Po tym doświadczeniu Znaniecki wiedział, jak wielkie znaczenie mają takie dokumenty osobiste – listy czy pamiętniki. Dlatego, gdy pojawił się w Poznaniu, tworząc Polski Instytut Socjologiczny, jednym z pierwszych jego przedsięwzięć było rozpisanie konkursu na pamiętniki robotników.

Jakie były warunki wzięcia w nim udziału?
– W specjalnym ogłoszeniu informowano, że w konkursie może wziąć udział każdy, kto zarabia na życie pracą fizyczną. Proszono, aby „szczerze, prawdziwie i szczegółowo opisać całe swe życie od dzieciństwa aż do chwili obecnej". Zwracano uwagę, aby nie przejmować się językiem, błędami gramatycznymi, brzydkim pismem, bo adresowano konkurs do osób dalekich od umiejętności pisarskich. Pozwalano nawet dyktować życiorys komuś innemu.

Pamiętnik miał zawierać opis całego życia, dzieciństwa, szkoły, jeśli piszący do niej chodził, stosunków w rodzinie, a przede wszystkim pracy zarobkowej. Organizatorzy zaznaczali, że czekają na życiorysy liczące co najmniej 600 stron.

Dużo.
– Gdy pierwszy raz przeczytałem odezwę Znanieckiego, pomyślałem, że to błąd. A jednak to prawda. Opisanie całego życia zajmuje sporo miejsca. Pamiętniki, które nadesłano na konkurs, miały faktycznie po kilkaset rękopiśmiennych stron, nierzadko znacznie więcej niż 600! Konkurs okazał się sukcesem. Nadesłano 161 życiorysów. Dwa z nich zdecydowano się potem opublikować.

Wygrał Jakub Wojciechowski?
– Tak, dwie pierwsze nagrody dostali Wojciechowski i kamieniarz ze Lwowa Kornel Franciszek Żelazkiewicz, którego pamiętnik niestety przepadł. W ogóle z tego konkursu zachowały się tylko dwa życiorysy. Wielkim szczęściem jest to, że jeszcze przed wojną nad tym materiałem pracował Józef Chałasiński, którego wydana w 1931 roku książka „Drogi awansu społecznego robotnika" zawiera też sporo obszernych cytatów.

Jaki był odbiór pamiętnika Wojciechowskiego?
– „Życiorys własny robotnika" Wojciechowskiego – wydany w 1930 roku – stał się bestsellerem tamtych czasów, miał bardzo dużo omówień i recenzji. Zachwycił się nim Boy-Żeleński, nazywając autora „naszym Szwejkiem" i „klasykiem polskim w bluzie robotniczej". Wojciechowski dostał nawet nagrodę Polskiej Akademii Literatury, choć daleko mu było do poziomu literatury ówczesnych lat. „Życiorys" wydano po redakcji. Zmiany były daleko idące. Wojciechowski pisał w sposób ciągły, bez podziału na rozdziały, akapity, prawie w ogóle nie stosował interpunkcji. Po wojnie, tuż przed śmiercią w roku 1958, ukończył drugi tom swojego „Życiorysu", bardzo interesujący, ale zupełnie inny, bowiem ten pierwszy pisany był przez kogoś nienawykłego do pisania.

A opinie o Wojciechowskim wśród samych robotników?
– Były często negatywne. Krytykowano go za to, że w bardzo bezpośredni, niemalże fizjologiczny sposób opisuje swoje doświadczenia seksualne. Robotnicy pisali do gazet, że to ohydna pornografia, a autor przynosi im wstyd. Jeden z górników opublikował w „Kurierze Poznańskim" obszerną „rozprawę z dziełem Kuby", którą kończył słowami: „Jako Polak – katolik i robotnik, ojciec licznej rodziny, paszkwil Wojciechowskiego rzucam w kąt na zawsze".

Kim właściwie był Wojciechowski?
– Urodził się w 1884 roku w rodzinie chłopskiej w Tworzymirkach w Wielkopolsce. Od 15. roku życia pracował w niemieckich w kopalniach i cegielniach, był pomocnikiem przy objazdowej karuzeli, a finalnie motorniczym tramwaju w Magdeburgu. Wrócił do Polski w 1924 roku, już po napisaniu pamiętnika.

Dla mnie niezwykłe są w nim dwie rzeczy: praca i ruch. Wojciechowski cały czas ciężko pracuje i cały czas jest w ruchu. Dzisiaj towarzyszy nam złudzenie, że Polska to kraj ludzi osiadłych „z dziada pradziada", a pamiętniki doskonale pokazują, że tak nie jest. Polska to

eprasa.pl b89c1dd19d

był – i wciąż do pewnego stopnia jest – kraj tych, którzy byli w ciągłym ruchu: emigrowali, przenosili się ze wsi do miasta, czasem z powrotem.

Tę pracę i mobilność widać też w drugim wydanym pamiętniku z pierwszego konkursu. Nie dostał on nagrody, bo uznano, że nie spełnia kryteriów. Mowa o „Życiorysie własnym" Władysława Berkana, wydanym w 1924 roku. Znaniecki w swojej przedmowie nazwał go „typowym self-made manem". Berkan co prawda pochodził z rodziny chłopsko-rzemieślniczej i zaczynał jako prosty czeladnik, ale z czasem zarabiał coraz lepiej i po przeprowadzce do Berlina założył własną firmę krawiecką. Szło mu tak dobrze, że zatrudniał kilkadziesiąt osób. Po niemal czterdziestu latach, już jako osoba zamożna, wrócił do Polski.

Kobiety wzięły udział w konkursie Znanieckiego?
– Zaledwie cztery. Trudno się dziwić. W ogłoszeniu konkursowym nie wspominano nawet kobiet, wszystkie formy są męskoosobowe. Tak, jakby zakładano, że tylko mężczyźni są adresatami konkursu.

W rozstrzygnięciu poinformowano, że życiorysy kobiece zasługujące na trzecią lub czwartą nagrodę przesuwa się do następnego konkursu, gdzie będą miały widoki otrzymania większych nagród". Postanowiono więc inaczej oceniać pamiętniki mężczyzn i kobiet. Zapowiadanego konkursu już nie ogłoszono.

W kolejnych konkursach kobiety też brały udział, najpierw sporadycznie, potem coraz częściej. Na przykład w konkursie na pamiętniki chłopów z 1933 roku na 498 pamiętników było zaledwie 17 nadesłanych przez kobiety. W 1936 w konkursie na pamiętniki młodego pokolenia chłopów było to już 381 na 1544. Po wojnie było różnie. Zdarzały się konkursy z niewielkim procentowym udziałem kobiet, jak również takie, gdzie był niemal parytet. Organizowano także osobne konkursy tylko dla kobiet. Zwykle do publikacji wybierano pamiętniki łagodniejsze, w których kobieca skarga jest mniej słyszalna. To, co znajdujemy w archiwach, jest dużo mocniejsze.

Szczególnie ciekawy pod tym względem jest pamiętnik nr 3 z pierwszego wydanego tomu „Pamiętników chłopów" z 1935 roku. Jego anonimowa autorka – w publikacjach nie było nazwisk piszących – w sposób wstrząsający opisuje swoje doświadczenie życia z przemocowym ojcem, potem mężem. Pisze w ukryciu przed nim, kończąc słowami: „Chcę tylko współczucia i zrozumienia. Chcę, by nareszcie zrozumieli, że my, kobiety wiejskie, na których barki spadł ogromny ciężar obowiązku, stokroć cięższy jak na mężczyzn, wołamy o swoje prawa!".

Konkurs Znanieckiego uruchomił lawinę?
– Zdecydowanie. Konkursy zaczęły organizować bardzo różnorodne środowiska – od instytucji badawczych po gazety popularne. Przed wojną najważniejsze konkursy organizowały Polski Instytut Socjologiczny Znanieckiego, Instytut Gospodarstwa Społecznego prowadzony przez Ludwika Krzywickiego, Państwowy Instytut Kultury Wsi oraz wileński Żydowski Instytut Naukowy kierowany przez Maxa Weinreicha.

Po wojnie bardzo aktywny był w tym zakresie poznański Instytut Zachodni. W 1969 roku powstało Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa, które niejako przejęło pieczę nad konkursami. Utworzono również Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego oraz pismo „Pamiętnikarstwo Polskie". Na niektóre konkursy przysyłano po kilkadziesiąt tekstów, ale były też takie, które mobilizowały tysiące osób.

Największy konkurs na pamiętniki „młodego pokolenia wsi Polski Ludowej" z 1961 roku to prawie 5500 pamiętników i dziewięć grubych tomów drukowanych z wyborem ponad 300 z nich.

Finalnie dorobek konkursowy liczył – to są tylko szacunki – blisko milion pamiętników. W 1980 roku Chałasiński oceniał liczbę pamiętnikarzy konkursowych na blisko

• **Tadeusz Boy-Żeleński i Jakub Wojciechowski, zwycięzca konkursu na „życiorys własny pracownika fizycznego" ogłoszony w 1921 roku przez socjologa Floriana Znanieckiego** FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

500 tysięcy. Gdyby te wszystkie materiały konkursowe się zachowały, byłoby to dziś zapewne dla nauk społecznych najważniejsze archiwum na świecie. Jednak w czasie II wojny światowej przepadły archiwa poznańskie, niewiele zostało też ze zbioru IGS, choć tu zachowały się na szczęście częściowo pamiętniki z konkursu dla emigrantów w 1936 roku. Dobrze, że wybrane pamiętniki wydawano drukiem. Te tomy są dla nas dzisiaj wyjątkowo cenne, ale to tylko niewielki ułamek tych materiałów.

Po 1989 roku Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa utraciło swoje siedziby, w tym tzw. pałac w Rudnie, który został sprzedany prywatnemu właścicielowi. Przechowywano tam tysiące pamiętników, a Towarzystwo nie zadbało o to, żeby zabezpieczyć te materiały. W efekcie nowy właściciel nie wiedział, co z nimi zrobić.

Najpierw przeniósł je do garażu, potem na zewnątrz. Dowiedział się o tym Zbigniew Gluza, czyli szef Ośrodka Karta, który postanowił te materiały uchronić. Doszedł do porozumienia z właścicielem domu i razem ze swoim zespołem zabrał to wszystko dwoma ciężarówkami. Choćby za to powinniśmy być Karcie wyjątkowo wdzięczni! Dzisiaj jest to kilkanaście tysięcy bezcennych jednostek archiwalnych, które znajdują się w Archiwum Akt Nowych. Coraz częściej korzystają z nich i będą korzystać badacze i badaczki, co widać choćby w „Chłopkach" Joanny Kuciel-Frydryszak, u Magdy Szcześniak w „Poruszonych" czy w książce o konkursowych pamiętnikach kobiecych przygotowywanej przez Antoninę Tosiek.

Zanim porozmawiamy o współczesności, wróćmy jeszcze do przedwojnia. Polska była wtedy krajem wieloetnicznym. Na konkursy pisali też przedstawiciele mniejszości?
– Niewiele. W tych pamiętnikach, które znam – chłopów, bezrobotnych, emigrantów – nie ma prawie pamiętników pisanych przez przedstawicieli mniejszości. Natomiast w latach 30. Żydowski Instytut Naukowy (JIWO) zorganizował trzy konkursy na autobiografie młodzieży żydowskiej. Nadeszło ponad 600 prac, pisanych przede wszystkim w jidysz, ale też po polsku i po hebrajsku. Wiele z nich odnaleziono niedawno w Wilnie, niemal 400 znajduje się w archiwum JIWO w Nowym Jorku. Ich polski wybór w opracowaniu Aliny Całej ukazał się pod tytułem „Ostatnie pokolenie".

Ten przejmujący materiał wnikliwie opisał Kamil Kijek w książce „Dzieci modernizmu".
– Kijek pokazał, że bardzo mocno odczuwanym przez młodzież żydowską doświadczeniem było napięcie pomiędzy emocjonalnym związkiem z polskością i odrzuceniem, z jakim się spotykali. Polska szkoła, której zadaniem była socjalizacja do życia w nowoczesnym państwie, kompletnie tej funkcji nie spełniała. Przeciwnie.

Dzięki szkole mieli oni oczywiście możliwość rozwoju, realizacji swych aspiracji, ale też cały czas dowiadywali się, że są osobami obcymi i niechcianymi. Stąd między innymi pomysły na emigrację i udział w organizacjach politycznych. Raz po raz w autobiografiach mowa o narastającym polskim antysemityzmie, który w latach 30. przybierał coraz to bardziej radykalne formy.

Pamiętniki pisano jednak na konkurs. Czy zatem autorzy próbowali tak ubarwiać swoje historie, by być atrakcyjniejszymi dla oceniających?
– Na pewno piszący starali się spełnić wymagania podawane w ogłoszeniach konkursowych, czasami zapewne przesadzali czy koloryzowali, ale zasadniczo nie zmienia to wartości pamiętników widzianych całościowo jako zjawisko. A byli też zawodowi pamiętnikarze, którzy wysyłali swoje teksty na kilka różnych konkursów.

To, co dzisiaj zaskakuje czytelnika, zwłaszcza w pamiętnikach przedwojennych, to poddańczy ton. Działa wciąż dziedzictwo pańszczyzny, poczucie, że zabieranie głosu nie jest czymś oczywistym. Piszący często podkreślają, że nie są zawodowymi literatami, że nie potrafią pisać, wątpią, czy to, co piszą, ma jakąkolwiek wartość. Aczkolwiek mamy też osoby bardzo świadome siebie, pamiętnikarzy, którzy są działaczami społecznymi.

A nagrody w tych konkursach były atrakcyjne?
– W pierwszym konkursie dwie pierwsze nagrody wynosiły po 100 tys. marek polskich. „Dziennik Poznański" z marca 1923 roku, w którym pojawiła się informacja o rozstrzygnięciu konkursu, kosztował wtedy 400 marek, paczka papierosów 2 tys., chleb około tysiąca. Trzeba jednak pamiętać, że był to czas hiperinflacji, i ten sam chleb pod koniec roku kosztował już ponad 50 tys. marek. W konkursie na pamiętniki chłopów z 1933 roku najwyższa nagroda wynosiła 100 zł, a więc mniej więc tyle, ile przeciętna miesięczna płaca robotnika.

W konkursie z 1938 roku nagrodą główną była wycieczka okrętem do Danii. To były dość pokaźne nagrody, stanowiące zachętę do pisania. Ale motywacje przeważnie jednak nie były tylko finansowe. W pamiętnikach konkursowych wciąż powraca motyw pisania, żeby być wysłuchanym.

Jak wyglądały kryteria oceny? Poza sprawdzeniem, czy opisano to, o co proszono w ogłoszeniu?
– Tu pojawia się chyba największy problem konkursów pamiętnikarskich. Jak ocenić pisanie, które jest jednocześnie czyimś życiem? Przede wszystkim brano pod uwagę realizację zamówienia konkursowego i kompletność opisu swojego życia. Szczególnie po wojnie brano jednak także pod uwagę aspekt literackiej czy kompozycyjnej jakości. Odbija się to w krzywdzących ocenach pamiętników kobiet, które często określano jako nudne, sentymentalne, rozwlekłe.

Pisanie pamiętnika, nawet na konkurs, to jednak praktyka bardzo intymna...
– Oczywiście! Mamy tu do czynienia z praktyką powszechną, a jednocześnie bardzo intymną. Pamiętnikarze często wspominają o tym, że piszą w ukryciu przed rodziną. Nie tylko kobiety. Mają poczucie wstydu, że opisują własne życie i zdradzają coś z życia rodziny. Zresztą takie pisanie często było źle widziane, postrzegane jako rodzaj dziwactwa, umiejętność niespecjalnie przydatna w życiu.

W pamiętnikach mamy stały motyw braku pieniędzy na kupno dzieciom zeszytów czy książek. Dzieciaki nierzadko same musiały na nie zapracować. Dla pokolenia rodziców pierwszych pamiętnikarzy książki i zeszyty były, po pierwsze, kompletnie niepraktyczne, bo nie uczą konkretnego fachu. Po drugie, kosztowne – po co wydawać na nie pieniądze, gdy brakuje jedzenia? Po trzecie – zabierające czas, który można przeznaczyć na opiekę nad rodzeństwem czy pasionkę.

Pisanie i czytanie rozrywało wspólnotę, bo osoba wchodząca w świat pisma była samotna w swoich praktykach pisania i lektury, patrzyła na swoje otoczenie z rodzącego się dystansu, krytycznie. Stąd słowa jednego z pamiętnikarzy, które przytacza Chałasiński, że w oczach teściowej prenumerowanie przez niego gazet było zbrodnią. „Wolałaby – pisał – ażebym się upijał, aniżeli co dzień gazetę czytał". W kolejnym pokoleniu będzie już inaczej. Ci, którzy wkroczą w świat pisma, będą chcieli za wszelką cenę dać dostęp do tego świata swoim dzieciom.

Po czyje pamiętniki warto dzisiaj sięgnąć?
– Ta lista nie ma końca. Oprócz wszystkich pamiętników, o których już mówiliśmy, choćby trzy tomy „Wspomnień kobiet wiejskich", ponad tysiącstronicowy tom „Pamiętników inżynierów", trzy tomy z cyklu „Mój dzień powszedni". Te ostatnie powstały w wyniku konkursu na codzienne zapiski prowadzone w 1972 roku. Niedawno ukazał się dziennik górnika Wiesława Złocha napisany na ten konkurs.

Ale są też pamiętniki nie konkursowe, wydane już kilkadziesiąt lat temu, a dziś

eprasa.pl b89c1dd19d

zapomniane: Marcjanny Fornalskiej, Lucjana Rudnickiego, Zofii Solarzowej. Jest też zupełnie niezwykła „Kronika wsi Pomygacze" Michała Więcki...

...która ukazała się nakładem Ośrodka Karta.
– Tak, w opracowaniu Agnieszki Knyt. Ośrodek Karta ma wielkie zasługi w zbieraniu, archiwizowaniu i wydawaniu dokumentów autobiograficznych. Tworzące go osoby od samego początku miały świadomość, że pamiętniki, listy czy dzienniki zwykłych ludzi są niezwykle ważne.

Państwowe instytucje często omijały takie dokumenty, były zainteresowane dziennikami czy listami pisarzy lub polityków, ale nie chłopów i robotników. Z Karty wyrosło także Centrum Archiwów Społecznych, które od kilku lat istnieje jako osobna instytucja pomagająca rozproszonym lokalnym archiwom, których znaczenie trudno przecenić. Dzisiaj coraz lepiej bowiem zdajemy sobie sprawę z tego, że to w naszych domach, zakładach pracy, lokalnych instytucjach tworzą się bardzo ważne archiwa dla rozumienia nas samych, naszej przeszłości i teraźniejszości – dokumenty, zapisy, relacje, zdjęcia, pamiątki materialne...

Zgoda. Ale wróćmy do Więcki.
– To dzieło niezwykłe, w którym autor opisał historię podlaskiej wsi Pomygacze. Więcko urodził się na początku XX wieku, zmarł w 1997 roku. W Pomygaczach spędził całe swoje życie, pracując najpierw jako stolarz, a potem kierownik wiejskiej świetlicy. Nie ukończył żadnej szkoły, sam nauczył się czytać i pisać. W grubych zeszytach dużego formatu opisywał przez dziesiątki lat historię swojej wsi – od XIV wieku do współczesności – wydarzenia, zwyczaje, zachowania, zwracając szczególną uwagę na zmiany w sposobach pracy i życia codziennego mieszkańców. To fascynująca opowieść!

Jego pisanie odkrył Edward Redliński, w „Konopielce" znajdziemy kilka wątków ewidentnie zaczerpniętych od Więcki. Reportaż poświęcony Więcce opublikowała Małgorzata Szejnert, pisał o nim też między innymi Roch Sulima. Jednak przez dziesiątki lat Więcko był tylko dla wtajemniczonych, tekst „Kroniki..." był niedostępny dla czytelników, poza publikacją fragmentów w piśmie „Regiony" w 1996 roku.

Ze współczesnych konkursów pamiętnikarskich najgłośniejsze były te dotyczące pandemii i doświadczenia osób LGBTQ+.
– To są niezwykle ciekawe teksty. W pamiętnikach pandemii uderzające były dla mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, opis świata, który nagle staje się zupełnie inny, nieprzewidywalny. I z trudem daje się opisać. Przypominało to zmagania Nałkowskiej z opisem wojny, która w Wigilię 1940 roku pisze: „Tak jest dziwnie, tak jest inaczej". Drugą zaskakującą rzeczą był swoisty regres partnerskich relacji, kiedy okazywało się, że w zamkniętej przestrzeni domowej to kobiety muszą wziąć na siebie większą odpowiedzialność za rodzinę.

Natomiast lektura niemal tysiąca stron pamiętników osób LGBTQ+ zaskoczyła mnie siłą, z jaką piszący chcieli opisać swoje doświadczenia. Jakby w końcu mogli to wszystko z siebie wyrzucić, a pamiętnik pełnił funkcję autoterapeutyczną, pozwalał przepracować trudne doświadczenia i pójść dalej. Nie przypadkiem tom z tymi pamiętnikami został zatytułowany „Cała siła, jaką czerpię na życie".

Czy jednak nie przesadzasz ze znaczeniem tych wszystkich pamiętników konkursowych?
– Tak, pewnie trochę przesadzam, ale to dlatego, że jest to pisanie, które dotyka życia. Dlatego czytając pamiętniki, warto wyłączyć aparat krytycznoliteracki, nie opisywać ich za pomocą kategorii stworzonych przez literaturoznawstwo. Z pewnością w tych pamiętnikach istnieje napięcie pomiędzy dokumentem i literaturą, co było już zresztą opisywane. Nie znaczy to jednak, aby traktować je po prostu jako inny rodzaj literatury.

Dzisiaj mamy zresztą wielki problem z samą kategorią literatury. Moim zdaniem te pamiętniki to nie jest literatura. Literatura to twórczość, która w pewnym sensie uniezależnia się od codziennego życia.

Jeśli jednak uznamy, że te setki tysięcy pamiętników wchodzą w obręb literatury, to powinniśmy o nich mówić w podręcznikach języka polskiego i w historiach literatury polskiej. Tymczasem tu o nich głucho. Tylko Miłosz o nich wspominał w swojej „Historii literatury polskiej". O „Pamiętnikach chłopów" i „Pamiętnikach emigrantów" pisał, że „jako autentyczne świadectwa spotykały się z żywym oddźwiękiem u publiczności i często były cenione wyżej niż beletrystyka". Miłosz przed wojną widział wielką popularność pamiętników wydawanych po konkursach.

Obecnie pracuję z ocalałymi materiałami z archiwum IGS, które znajdują się w bibliotece SGH. Jest tam między innymi opasły tom z wycinkami prasowymi o „Pamiętnikach bezrobotnych" z 1933 roku. To ponad 300 wycinków! Nawet jednego dnia w różnych gazetach potrafiło się ukazać kilka artykułów na ich temat. Wtedy naprawdę wszyscy o tym pisali!

Historia konkursów pamiętnikarskich, ale też archiwum pamiętników, po 1989 roku jest ciekawą opowieścią o Polsce – od utraty większości archiwów, zapomnienia, po powrót, a może w przyszłości wręcz uznanie tych pamiętników za – jak mówisz – podstawowe źródło wiedzy do opisu zmian społecznych w Polsce w XX wieku. Co się musiało z nami stać, żeby zaszedł taki proces?
– To, co wydarzyło się z pamiętnikami po 1989 roku, pokazuje, że nowy system nie dbał o to, co działo się wcześniej. Tu nastąpiło radykalne cięcie. Potrzeba było wielu lat, żebyśmy to dostrzegli.

W ciągu ostatnich 35 lat niemal całkowitej zmianie uległ paradygmat polskiej kultury. Z kultury inteligenckiej, dla której w warstwie symbolicznej podstawowym punktem odniesienia była literatura, po paradygmat takiej kultury, w której sfera symboliczna nie jest ani jedyną, ani może nawet najważniejszą sferą naszego życia – są nią codzienne doświadczenie każdego z nas, codzienna praca, krzątanina, wysiłek, codzienne praktyki, więzi, relacje międzyludzkie. A gdzie je odnaleźć jak nie w listach, zapiskach, dziennikach, pamiętnikach? Czyli raczej poza literaturą niż w literaturze, a w każdym razie nie tylko w literaturze. ●

Więcej o pamiętnikach i konkursach można przeczytać w magazynie „Teksty Drugie", nr 2/2024 pt. „Życie pisane na konkurs".

Paweł Rodak

• Jest profesorem w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Opublikował m.in. „Między zapisem a literaturą. Dziennik polskiego pisarza w XX wieku (Żeromski, Nałkowska, Dąbrowska, Gombrowicz, Herling-Grudziński)"

FOT. FILIP KLIMASZEWSKI

(2011). Kieruje projektem badawczym NCN „Życie pisane na konkurs. Praktyki pamiętnikarskie w Polsce 1918-1939 (analiza – recepcja – znaczenie)". Przygotowuje książkę „Poza literaturą. Pisania Polaków w XX wieku".

Antypolityka historyczna

Ciężar przeszłości

W dziejach na ogół to Polacy prześladowali Ukraińców, a nie odwrotnie.

Janowski

Niestety, wygląda na to, że kwestie stosunków polsko-ukraińskich, a przede wszystkim rzeź wołyńska, stają się częścią polskiej polityki wewnętrznej, szczególnie kampanii prezydenckiej. Nie tylko po prawej stronie sceny politycznej, gdzie od dawna przyzwyczailiśmy się do skrajnej demagogii, ale również po stronie demokratycznej koalicji. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Czy stratedzy polityczni uznali, że nastroje społeczeństwa polskiego tak bardzo wychyliły się na prawo, że także politycy demokratyczni muszą od czasu do czasu powiedzieć coś lekko antyukraińskiego, aby okazać swój patriotyzm? Bo nie chcę nawet myśleć, że mogą takie wypowiedzi oddawać ich prawdziwe poglądy. Na szczęście nie jestem politykiem i powiem bez oglądania się na taktykę: wywoływanie rzezi wołyńskiej jako argumentu w bieżącej polityce wewnętrznej uważam za skandaliczne.

Po pierwsze, rzecz najoczywistsza z oczywistych, która zaczęła nam ostatnio umykać. Niezależnie od tego, co robili ukraińscy nacjonaliści na Wołyniu 82 lata temu, w ciągu ostatnich trzech lat Ukraińcy nas nie mordują, tylko bronią. Wyobraźmy sobie, co by się działo, gdyby Ukraina upadła w lutym 2022 r. Gdyby armia rosyjska, niezniszczona i zwycięska, podbiwszy Ukrainę, stanęła nad Bugiem – czy wtedy pijany triumfem Putin by się zatrzymał? Pewności oczywiście mieć nie możemy, ale jestem prawie pewien, że uznałby „teraz albo nigdy" i zaryzykował konfrontację z krajami NATO. Być może nie pełnoskalową – ale istnieje duże prawdopodobieństwo, że to na Warszawę spadałyby rakiety i bomby, że to nasi żołnierze ginęliby w okopach. Podejmując walkę, Ukraina, broniąc samą siebie, najprawdopodobniej ocaliła życie dziesiątków tysięcy Polaków. Nigdy dość przypominania o tym.

Po drugie. Historyczne stosunki polsko-ukraińskie od średniowiecza są w dużym stopniu historią polskiej dominacji nad Rusią/Ukrainą. W dziejach na ogół to Polacy prześladowali Ukraińców, a nie odwrotnie. To prawda, że zawsze byli w Polsce politycy i publicyści dążący do porozumienia z Kozakami, z Rusią, z ukraińskim ruchem narodowym – ale nie byli w stanie przeprowadzić swoich postulatów, bo wewnątrz Polski ich przeciwnicy byli silniejsi. To nie jest żadne usprawiedliwienie morderców z Wołynia, ale to jest przypomnienie niezbędne, kiedy często przedstawia się rzeź wołyńską jako pars pro toto całej historii stosunków polsko-ukraińskich. Bardzo łatwo stworzyć sytuację, w której polsko-ukraińska debata będzie przerzucaniem się oskarżeniami „wy nam to", a „wy nam tamto". Gdy zaś do tego dojdzie, bardzo trudno będzie taką licytację zakończyć.

Po trzecie wreszcie – nikt od nas nie wymagał, przyjmując ponad 20 lat temu do Unii Europejskiej, abyśmy się przedtem rozliczyli z Berezą Kartuską, procesem brzeskim, Jedwabnem czy gettem ławkowym. Gdyby takie wymaganie stawiano, żaden kraj – ani Anglia, ani Francja, ani Niemcy – nie mógłby zostać członkiem Wspólnoty. Przedstawianie podobnych żądań Ukraińcom jest stosowaniem podwójnych standardów.

I jeszcze uwaga ogólniejsza. Jako historyk całe życie siedzę w problemach przeszłości, a ciągle nie jestem w stanie zrozumieć, jak to być może, że coś, co się zdarzyło dawno temu – czy rzeź wołyńska, czy zbrodnie hitlerowskie, czy amerykańskie niewolnictwo, czy cokolwiek – może w ogóle wpływać na współczesną politykę. Że kiedy współpraca między jakimiś dwoma państwami jest dla obu korzystna gospodarczo, politycznie, wojskowo – może do niej nie dojść z powodu czegoś, co się wydarzyło kilkadziesiąt czy nawet kilkaset lat temu.

Ten ciężar historii przygniatającej teraźniejszość jest i fascynujący, i przerażający. A z drugiej strony społeczeństwo, które odrzuca zupełnie przeszłość, postanawia nic o niej nie wiedzieć, również nie mogłoby normalnie funkcjonować. Nie wiem, gdzie jest ta cienka linia między nadmiarem historii w teraźniejszości a jej brakiem – w Polsce dzisiaj jesteśmy jednak daleko po stronie nadmiaru.

Wobec polityków nie mam już, niestety, wysokich oczekiwań. Jednak w marzeniach wyobrażam sobie, jak by to było miło, gdyby zrozumieli – a jeśli rozumieją, to aby nie bali się mówić tego otwarcie – że w tej chwili wszelkie, choćby najmniejsze, aluzje antyukraińskie są przejawem zarówno małoduszności, jak i postawy wyższościowej, do której nie mamy prawa. ●

Maciej Janowski
historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

eprasa.pl b89c1dd19d

weekendówka 139

ZIMA USPORTOWIONA

Oj, było się czym ekscytować, zawrotna prędkość Jewtrawa, mocarna szarża Skutnabba, niezwykłe ślizgi na torze bobslejowym, który pomagał zbudować La Frégeolière, lot na 58 metr Thamsa czy wirtuozeria kanadyjskich hokeistów, którzy balansując na stalowych ostrzach łyżew, dali pokaz elegancji i wielkości" – tak pisał Frantz Reichel, francuski sportowiec (mistrz olimpijski), działacz i dziennikarz, swego czasu sekretarz generalny francuskiego komitetu olimpijskiego. Co opiewał? Pierwsze zimowe igrzyska olimpijskie, jakie 101 lat temu, 25 stycznia 1924 roku rozpoczęły się w Chamonix, u stóp Mont Blanc.

Po prawdzie, to wówczas nikt jeszcze zawodów tak nie określał. Zawody w Chamonix miały być częścią letnich igrzysk olimpijskich 1924 roku, które rozegrano w Paryżu, a zwały się Tygodniem sportów zimowych. Pomysł, by coś podobnego zorganizować, narodził się na kongresie Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego w Lozannie w 1921 roku, choć hokej czy łyżwiarstwo figurowe były włączane wcześniej do programu letnich igrzysk.

Dopiero dwa lata później imprezie w Chamonix oficjalnie nadano imprezie status igrzysk olimpijskich. Regularnie odbywały się potem co cztery lata, w tym samym roku, co letnie igrzyska. Dopiero w 1992 roku odseparowano oba wydarzenia.

W Chamonix wystartowało 258 sportowców reprezentujących 16 państw, w tym Polskę (7 zawodników). Pierwszym zimowym mistrzem olimpijskim został wspomniany już Amerykanin Charles Jewtraw, najszybszy panczenista na dystansie 500 m. Inny wychwalany przez Reichela, Fin Julius Skuttnab zdominował z kolei dłuższy dystans łyżwiarski, 10 000 m. Kończąc zaś wątek łyżwiarski: elegancja i wielkość Kanadyjczyków objawiła się rzecz jasna w wynikach turnieju hokejowego – wygrali wszystkie 6 meczów; w grupie mieli bilans 3 wygranych i stosunek bramek 85:0, w rundzie medalowej kolejne 3 wygrane i 47:3 (postawili im się tylko Amerykanie, którzy przegrali tylko 1:6). Ale serca kibiców i tak skradła 11-letnia Norweżka Sonja Henie, choć rywalizację zakończyła na ostatnim miejscu. Zresztą powetowała sobie to na trzech kolejnych zimowych igrzyskach, na każdych wygrywając złoto.

58-metrowy skok Norweg Jacob Tullim Thams oddał (ściślej, osiągnął 57,5 m), ale dopiero w konkursie pokazowym, zorganizowanym przez samych skoczków dla zachwyconej zawodami publiki. Podczas zawodów Thams dwukrotnie lądował na 49. Metrze, ale to i tak wystarczyło do złota. Ostatni z bohaterów z notki Reichela, hrabia Renaud de la Frégeolière, człowiek, który położył gigantyczne zasługi dla światowych bobslejów i saneczkarstwa, pomógł wznieść słynne Piste de Bobsleigh des Pellerins. Bobslejowe sanie osiągały tam prędkość do 115 km na godz., a złoto wywalczyła osada Szwajcarii.

Dzisiejszą „Weekendówkę" poświęcamy więc wszelakim zimowym sportowym aktywnościom, które, nie licząc chlubnych wyjątków, długo nie przynosiły nam zbyt wiele radości, który to stan rzeczy zmienili choćby nasi skoczkowie narciarscy czy wielka Justyna Kowalczyk. Dziękujemy!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

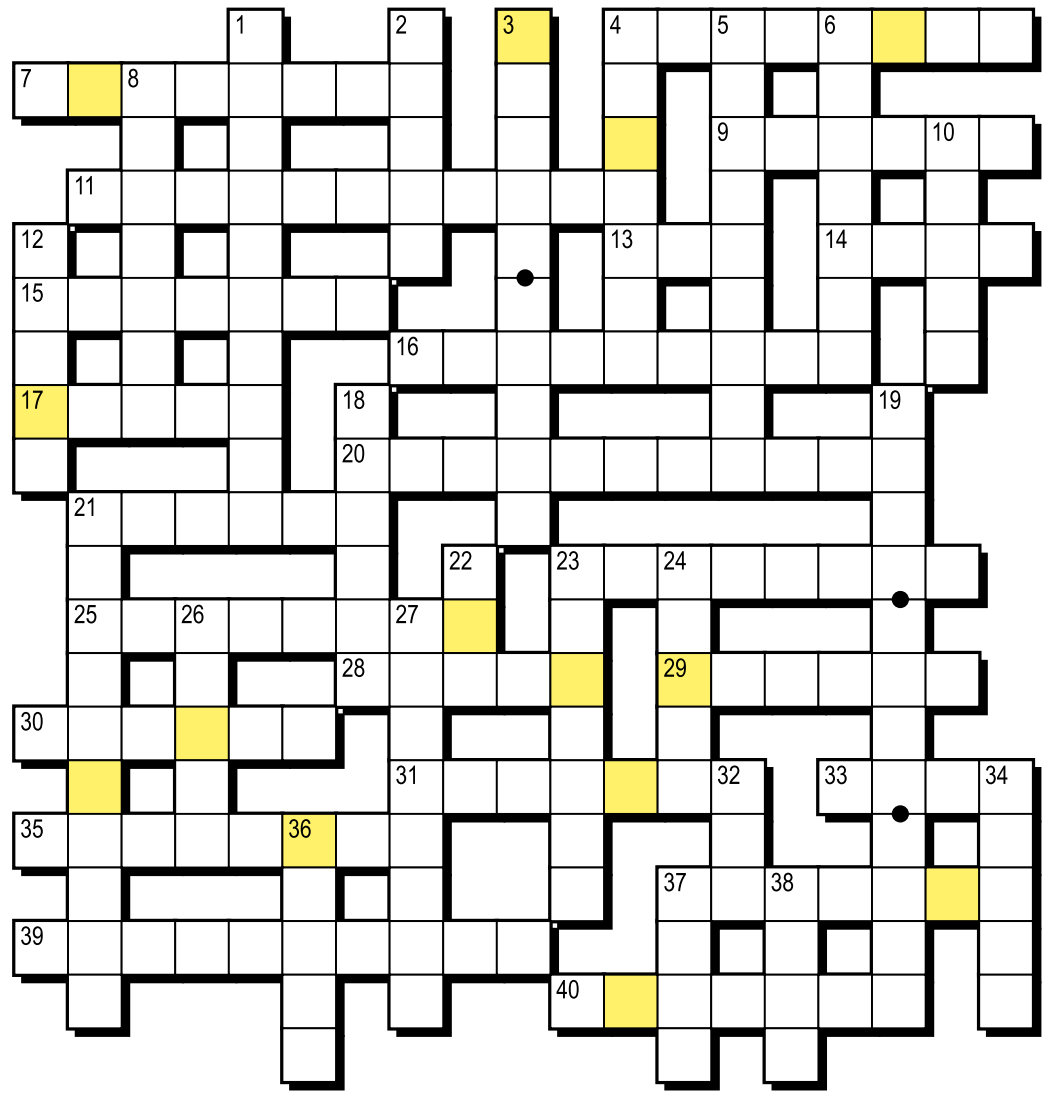

SPORTY ZIMOWE
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
4) dobre miejsce, by trenować przez cały rok
7) sanie wagi ciężkiej
9) rozpinany na bojerze
11) trenują na skeletonach
13) zimą krótsze niż latem
14) góry, w których odbywa się Turniej Czterech Skoczni
15) transmisja telewizyjna np. z zawodów Tour de Ski
16) oddają się białemu szaleństwu
17) okalają tor saneczkowy albo lodowisko
20) sportowiec uprawiający łyżwiarstwo szybkie
21) towarzyszy występującym łyżwiarzom figurowym
23) narciarski bieg rozstawny
25) miasto – gospodarz zimowej olimpiady w 1984 roku
28) ... Południowa, gospodarz zimowej olimpiady w 2018 roku
29) „... na lodzie", komedia filmowa o bobsleistach z Jamajki
30) Zbigniew, w 2014 r. w Soczi został mistrzem olimpijskim w łyżwiarstwie szybkim na dystansie 1500 m
31) suną kamienie po lodzie i szczotki pracują...
33) np. spotkanie Podhale Nowy Targ – Unia Oświęcim
35) w USA i Kanadzie rywalizują między innymi w lidze NHL
37) skojarz: Słowenia, skoki narciarskie, Letalnica
39) Hermann Maier – zjeżdżanie, Justyna Kowalczyk – ?
40) kręcone na czubku figurówki

Pionowo:
1) narciarze startujący w slalomach, zjazdach
2) sprzęt snowboardzisty
3) odmiana łyżwiarstwa szybkiego rozgrywana na krótkim torze
4) Bieg Piastów – Polacy, Bieg Wazów – ?
5) Anna Szczerbakowa, Aleksandra Trusowa i Kaori Sakamoto
6) zwycięstwa, wiktorie, triumfy
8) konkurencja sportowa, w której królował Ole Einar Bjoerndalen
10) imię Bredesena i Halvorsena, norweskich skoczków narciarskich
12) jedna z dwóch w każdym starcie Kamila Stocha, Dawida Kubeckiego
18) znacznie słabiej oceniany niż telemark
19) miasto – gospodarz zimowej olimpiady w 2002 roku
22) bobslejowy – z kilkunastoma zakrętami
23) nazwisko kojarzące się z najważniejszym trofeum ligi NHL
24) włoskie miasto, w którym Tomasz Sikora został wicemistrzem olimpijskim
26) Jaromir, panczenista, dwukrotny olimpijczyk
27) imię skoczka narciarskiego, któremu w Sapporo sprzyjała fortuna
32) krążek w siatce
34) jedna z konkurencji alpejskich
36) start bobsleistów, saneczkarzy
37) ... sportowe i taneczne, rywalizują w łyżwiarstwie figurowym
38) podwójny lub potrójny, wykonany na lodowisku

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 138 z 18.01:

Poziomo:
2) część, 6) Woreczko, 8) Irena, Tuwim, 9) pnie, 10) Stumilowy Las, 12) nóżki, 13) małe co nieco, 14) hohonie, 15) szałas, 19) łasica, 21) Kaczmarski, 25) strach, 27) tran, 28) poetka, 29) Robin, 30) patysie, 31) parasol, 32) widok, 34) Mały, 35) dobranocki, 36) wzrost.

Pionowo:
1) kangurek, 2) cętki, 3) śpiew, 4) Krzysztof, 5) Prosiaczek, 7) książki, 9) Pan, Sowa, 11) osioł, 16) Alan, 17) zagajnik, 18) Disney, 20) schronisko, 22) chatka, 23) serial, 24) Bronisław, 26) zabawa, 30) pomoc, 33) oset, 34) Miś.

HASŁO:
PUŁAPKA NA SŁONIE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34354617

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ
Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz

Pobierz w App Store
POBIERZ Z Google Play

Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

1 RP

eprasa.pl b89c1dd19d